

Richard Paul Evans:

Słonecznik:

Z języka angielskiego przełożyła Dorota Kaczor

Tytuł oryginału:

The Sunflower

Copyright 2005 by Richard Paul Evans

Copyright 2006 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright 2006 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska Korekta: Anna Rzędowska, Beata Iwicka

ISBN: 83-89779-80-3

AW\ 5

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejukul.

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa tel.

/fax (22)631 48 32, 632 91 55 e-mail:

hurtolesiejuk.pl

/www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa:

www.merlin.

com.pl Diamond Business Parkul.

Jana Pawła II nr 6605-500 Piaseczno

-3

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp.

z a aPl.

Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice tel.

(32) 782 6477, fax (32) 253 77 28

e-mail:

infosoniadraga.pl

/ www.soniadraga.pl

Katowice 2006.

Wydanie i Druk: WZDZ - Drukarnia Lega, Opole

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować następujących osobom, które przyczyniły się do powstania tej książki:

Mojemu bratu Vanowi za wszystkie trzy wyprawy do Cuzco, Puerto Maldonado i do dżungli.

Carolyn Reidy i Davidowi Rosenthalowi za to, że mnie przywitali po powrocie.

Sydney Miner (praca z tobą to zawsze jest przyjemność).

Ekipie "Słonecznika": Kelly Gay, Heather McVey, Karen Christofferson, Frań Platt i Judy Schiffman (ludy, jeśli kiedykolwiek trzeba ci będzie wytrzepać pająki z butów, możesz namnie liczyć).

Karen Roylance za pomoc i zarwane noce (oraz Markowi, który dzielnie to znosił).

Doktorowi Brentowi Mabeyowi za konsultacje techniczne i zato, że Sylwestra spędził na ostrym dyżurze.

Doktorowi Michaelowi Fordhamowi, którego cenne uwagi doprowadziły mnie do napisania tej powieści.

Carolyn Andersen i Mary Williams za informacje z pierwszej ręki na temat gorączki denga.

Jessice Evans.

Tym, którzy na miejscu, w Peru, pomagali mi w zbieraniu materiałów: Leonidasowi, Jaime i Terry'emu Figueroa oraz Gilbertowi.

Laurie Liss.

Oraz, jak zawsze, mojej najbliższej przyjaciółce i towarzyszce życia, Keri.

Pomysł na napisanie Słonecznika przyszedł mi do głowy, kiedy przebywałem z misją humanitarną w głębi peruwiańskiej dżungli.

Na wyprawę zabrałem swoją nastoletnią córkę, w nadziei, że nauczy się tamczegoś o życiu i pozna, co to wdzięczność i miłość.

Potygodniuspędzonymna pomaganiumięscowym plemionom indiańskim córkabyła wyraźnie poruszona ogromem otaczającejjábiedy i cierpienia.

Pewnego dnia, gdy wyjeżdżaliśmy z małej wioski, powiedziała: "Tato, to niesprawiedliwe.

My mamy tak wiele, a oni tak mało".

Zapytałem, czego ją nauczyło to doświadczenie.

Zastanowiła się chwilę i odparła: "Kochamy tych, dla których się poświęcamy".

Chociaż nasze przeżycia w Peru mogłyby dostarczyć materiału na więcej niż jedną książkę, najbardziej zapadł nam w pamięć pobyt w małym sierocińcu, gdzie znajdują schronienie dzieci żyjące na ulicach.

Podczas mojej trzeciej wizyty jeden z tamtejszych opiekunów opowiedział mi o swoim przyjacielu, którego żona niedawno zmarła na ŚLĄ - wyniszczającą chorobę, wywołującą postępujący paraliż i w końcu prowadzącą do śmierci.

Obserwując jego cierpienie i zaangażowanie w opiekę nad ukochaną, która powoli gasła na jego oczach, człowiek ten poznał jedną z najgłębszych życiowych prawd: miłość jest silniejsza od bólu.

Kiedy to usłyszałem, wiedziałem, że oto znalazłem główny temat swojej książki.

Słonecznik to opowieść przygodowa i zarazem miłosna, historia o poświęceniu i zaufaniu.

Ale przede wszystkim jest to opowieść o nadziei.

Z najlepszymi życzeniami

Richard Paul Evans.

Yarwvi.

"Doskonała miłość usuwa lęk" I list sw.

Jana 4,18

Cyt za Biblią Tysiąclecia [przyp tłum.
]..

ROZDZIAŁ Pierwszy:

El Girasol (Słonecznik) jest dla mnie sanktuarium w takim samym stopniu jak dla tych osieroconych chłopców, których udaje nam się ocalić z peruwiańskich ulic.

Myślę jednak,

ze może być czymś-więcej.

Ponieważ ID świecie, w którym najczęściej -zdaje się triumfować zło, El Girasol jest dowodem na to, że i my możemy być lepsi -że możemy być dobrzy.

Choć wiecej tym, corobimy, wie prawdopodobnie niewiele, wartość tego skromnego sierocińca -wyraża się nie tylko liczbą chłopców, których ratujemy.

Bo może tomy, a nie oni, potrzebujemy ratunku.

I właśnie dlatego Słonecznik to coś więcej niż tylko miejsce.

To nadzieja.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

To nie ja wpadłem na pomysł wyprawy do dżungli.

Gdyby taka myśl rzeczywiście pojawiła się w mojej głowie, natychmiast zepchnąłbym ją do tej zagraconej części mózgu, w której "rzeczy, które powinienem kiedyś zrobić, ale naszcześnie nie zrobię" tkwią bezpiecznie zamknięte, aż umrą śmiercią naturalną.

Ten pomysł zrodził się w głowie mojej córki, McKenny.

Kiedy byłem ostatniej klasie liceum, na trzy miesiące przed końcem roku jej nauczyciel socjologii, siwiejący, długowłosy relikwiarz ery hipisowskiej, który farbowane T-shirty zamienił na tweedową marynarkę z łątanymi łokciami, przedstawił swoim uczniom propozycję wyjazdu z misją humanitarną do Ameryki Południowej. McKenna zapaliła się do tego pomysłu i zapytała mnie, czy chciałbym jej towarzyszyć (taka ekstremalna wersja "Niedzieli ztatusiem").

Zgodziłem się.

Nie żebym rzeczywiście miał ochotę czy zamiar to zrobić.

Po prostu stwierdziłem, że niedługo McKenna skończy szkołę i jej głowę zaczną zaprzętać zupełnie inne sprawy.

Nie przypuszczałem, że coś z tego wyjdzie.

Chyba za mało znałem swoje dziecko.

Cztery miesiące później w towarzystwie tuzina jej szkolnych kolegów znalazłem się na lotnisku w Salt Lake City i wsiadałem na pokład samolotu do Limy

Jeszcze tym nie wiedząc, powierzyliśmy wówczas swoje życie nowicjuszom.

Byliśmy pierwszą grupą, którą nasi przewodnicy przeprowadzali przez Amazonię, a dowiedzieliśmy się o tym fakcie dwadzieścia cztery godziny później, kiedy znajdowaliśmy się głęboko w dżungli pełnej anakond, jagua

14

rów i pajaków wielkości dłoni.

Kilka razy w trakcie wędrówki nasz peruwiański przewodnik, starszy mężczyzna, nagle przystawał, kładł maczetę u stóp drzewa i wspinał się ponad korony drzew, żeby się rozejrzeć.

I za każdym razem schodził nadół z wyrazem niejakiego zakłopotania na twarzy

Potrykrotnej całkowitej zmianie kierunku zapytałem go (wykazując tyle taktu, na ile może sobie pozwolić człowiek zdany na czyjąś łaskę w środku dżungli), czy zna drogę.

Mężczyzna odparł łamaną angielszczyzną:

- Tak, już tu kiedyś byłem.

- Po czym dodał: - Jak miałem sześć lat.

W czasie wędrówki natrafiliśmy na wioskę zamieszkaną przez amazońskie plemię Los Palmas.

Uradowani wieścią, że nie są tołowcy głów ani kanibale, szybko się zorientowaliśmy, że miejscowa ludność składa się wyłącznie z kobiet i starców.

W zasięgu wzroku nie było żadnych młodych mężczyzn.

Przewodnik spytał jedną z kobiet, gdzie się podziali.

- Poszli do miasta zabić burmistrza - odparła.

-Dlaczego?

- Burmistrzpowiedział, że nie wolnonam już ścinaćdrzew z lasudeszczowego.
Bez drewna nie możemyżyć, więcnasi mężczyźni poszli go zabić.

- I myślicie, że to jest dobry pomysł?

- zapytał przewodnik.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Chybanie, ale tak się załatwia sprawy w dżungli.

Wtej logicebyłocoś pokrzepiającego.

Nigdy nie byłemzbytnim fanem polityki i wizja wymalowanych Indian
wkraczających do ratusza z dzidami i łukami bardzo mi się spodobała -
zdecydowanie przydałoby się nam coś takiego w SaltLakeCity.

Wciążsię zastanawiam, jak tosię skończyło.

Po dwóch dobach skończyło nam się jedzenie.

Przez kilka następnych dni żywiliśmy się wyłącznie owocami piraniami, które
łapaliśmy w rzece (smaktej ryby wcale nie jesttaki zły -trochę przypomina mięso
kurczaka).

15.

Pamiętam, kiedy jako mały chłopiec pewnej soboty podczas poranka w kinie oglądałem jak zaczarowany film o stadzie piranii terroryzującym małą wioskę w dżungli.

Te hollywoodzkie piranie pływały ławicami, wolno i majestatycznie, w widowiskowy sposób wzburzając powierzchnię wody i dając bohaterowi szansę przepłynięcia na drugi brzeg rzeki uratowania kobiety, którą tylko centymetry dzieliły od śmierci w paszczach okrutnych stworzeń.

Piranie, które spotkaliśmy w dżungli, były zupełnie inne.

Po pierwsze, w Amazonii są one niemal tak wszechobecne jak roślinność.

Wystarczy zarzucić wędkę nad którąkolwiek rzekę, a w kilka sekund żyłka zostanie przegryziona.

Po drugie, na powierzchni wody nie pojawiają się żadne ostrzegawcze bąbelki.

Dodawszy do tego krokodyle, węgorze elektryczne oraz

pijawki, uznaliśmy, że najlepiej będzie trzymać się z daleka od wody.

Po kilku dniach wędrówki dotarliśmy namiejsce, do małej wioski, gdzie założyliśmy naszą klinikę.

Tam czekali już

na nas tubylcy z plemienia Keczua.

Cel naszej misji był trojaki:

wpoić podstawowe zasady higieny, wyleczyć zęby i poprawić wzrok.

Mnie przydzielono to ostatnie zadanie.

Okulista z naszej ekipy przeprowadzał badania wzroku, potem wręczał mi receptę, a ja próbowałem ją zrealizować, przeszukując torby pełne używanych okularów, które zabraliśmy ze sobą do dżungli.

Jeden pacjent szczególnie utkwił mi w pamięci.

Był to stary człowiek o drobnej posturze i spalonej słońcem twarzy. Miało tylko jedno oko.

Kiedy go przyprowadzono z punktu badań do mojego stanowiska, lekarz podał mi pusty blankiet recepty

- Co mam z tym zrobić?

- zapytałem.

- Znajdź najgrubsze szkła, jakie masz - odpowiedział, -

On jest kompletnie ślepy

Wiedziałem, które mu dać.

Wcześniej, kiedy porządkowałem okulary, natknąłem się na parę okularów tak grubych, że

16

byłem przekonany, iż są kuloodporne.

Wyjąłem je i założyłem temu człowiekowi na nos.

Kiedy jegotwarz rozjaśnił szeroki uśmiech, przekonałem się, że staruszek ma nie tylko jedno oko, lecz także jeden ząb.

- ¡Puedo ver!

'- wykrzyknął.

Do zadań McKenny należało pilnowanie dzieci w czasie, gdy lekarze badali

ichrodziców.

Na stałe wbił mi się w pamięć wzruszający obraz mojej córki, która krzycząc z udawanym przerażeniem, uciekała przed tłumem mrozebranych dopasa małych chłopców, a ci śmiali się tak histerycznie, że co chwila któryś padał na ziemię i chwycił się za brzuch.

Kiedy opuszczaliśmy wioskę, dzieciaki otoczyły McKennę kółkiem, a ona każde kolejno uściskała.

Potem usadowiliśmy się razem na tylnym siedzeniu minibusa i moja córka umilkła.

Po kilku minutach zapytałem, czego ją nauczyło to doświadczenie.

Zastanowiła się chwilę i powiedziała:

- Kochamy tych, dla których się poświęcamy. Popłynęliśmy łodzią przez Rio Mądre de Dios, mijając obozowiska nielegalnych poszukiwaczy złota, którzy kaleczyli las buldożerami i urządzeniami do płukania piasku.

W końcu dotarliśmy do niewielkiego skrawka wykarczowanej dżungli, służącego za lądowisko.

Samolotem transportowym poleciliśmy na południe do Cuzco, skąd autobusami przewieziono nas do starej, zaniedbanej hacjendy w Andach.

Kiedyś musiała się prezentować bardzo okazale, sądząc po wyszukanych wzorach kafelków i kunsztownie zdobionej stolarce.

Był tam kamienny dziedziniec, taras i dzwonnica.

Ale czasy przepychu sprzed wieków dawno minęły, a to, co pozostało, ograbione i niszczone, z trudem nadawało się na schronienie dla osieroconych chłopców, którzy obecnie tu mieszkali.

To miejsce nazywało się El Girasol - Słonecznik - i powstano w ramach programu niesienia pomocy dzieciom.

Spośród wszystkich ludzi napotkanych w tej mistycznej krainie, tego, który najbardziej zapadł nam w pamięć, poznaliśmy właśnie tam.

Był to Amerykanin nazwiskiem

Paul Cook.

Jeden z przewodników powiedział, że Paul był kiedyś świetnym specjalistą medycyny ratunkowej.

Aż do pewnego Bożego Narodzenia, kiedy wszystko nagle się zmieniło.

Któręś wieczoru po skończonej pracy usiedliśmy przy ognisku i w zapadającym mroku omawialiśmy wydarzenia całego dnia.

Nasza grupa zaczęła się stopniowo rozchodzić dokwater i w końcu zostałem samna samz tym cichym, skromnym, acz intrygującym człowiekiem.

Rozmawialiśmy głównie o Ameryce: o NBA, o najnowszych filmach, o Oscarach i o tym, kto moim zdaniem wygra następne wybory prezydenckie.

Kiedy już zaspokoiliem ciekawość Paula co do aktualnych wydarzeń, spytałem, co go skłoniło do przyjazdu do Peru.

On tylko wpatrywał się w ogień.

W końcu, nie odrywając wzroku od płomieni, powiedział:

- To długa historia.

- W dzunglinie ma zegarów - odrzekłem.

Uśmiechnął się, słysząc, że przytaczam jedno z jego własnych ulubionych powiedzeń.

Po chwili rzekł:

- Coś panu pokażę.

Poprowadził mnie przez labirynt hacjendy do małej komórki bez okien, z podłogą z desek.

Pomieszczenie było wysokie i tak surowe, jak żadne z tych, które widziałem w sierocińcu.

Jedynym oświetleniem stanowiła goła żarówka zwisająca na kablu z odsłoniętej krokwi.

Stało tam kilka prostych mebli:

mała blaszana umywalka, skrzynka służąca za biurko, drewniane krzesło i łóżko w postaci materaca ułożonego na drewnianych klockach.

Były tam też książki, mnóstwo książek z widocznymi śladami używania.

Leżały pod ścianą w bezładnych stertach.

Przejrzałem tytuły Klasyka i bestsellery, kolekcje "Reader's Digest", czasopisma medyczne i krzyżówki, biografie i sensacja.

sacja.

Książki po hiszpańsku i angielsku.

Nawet kilka romansów.

Nad nimi wisiały na ścianie dwie fotografie: jedna przedstawiała parę starszych osób, pewnie rodziców Paula, a druga - piękną, młodą kobietę, która, jak się później dowiedziałem, miała na imię Christine.

Najdziwniejszą dekoracją w tym pokoju był plakat filmowy: mroczny, niebiesko-czarny, przedstawiający mężczyznę całującego się z kobietą.

U góry widniał tytuł: Cinema Paradiso.

Paul pozwolił mi w spokoju się rozejrzeć, a potem wskazał ręką łóżko i

zapropował, żebym usiadł.

Zauważyłem, że trzyma coś w dłoni - ręcznie szytą sakiewkę ze skóry.

Rozwiązał sznurek, wyjął z niej zabawkowego żołnierzyka i podał mi go.

Potem usiadł obok mnie i zaczął opowiadać.

Kiedy mniej więcej po godzinie skończył, wyglądał na zmęczonego i wyczerpanego, a w jego zachowaniu znów wyczułem rosnący między nami mur, jak gdyby się bał, że powiedział za dużo.

Włożył żołnierzyka z powrotem do sakiewki i powiesił ją na gwoździu wbitym w ścianę.

Spytałem, czy wolno mi opowiedzieć jego historię.

Niewykazał zbytniego zainteresowania moją prośbą, ale powiedział, że się z tym prześpi, co przyjąłem jako odmowę.

Trzy dni później, na kilka godzin przed naszym odlotem do Limy, zgodził się.

Jest takie powiedzenie: "Nie szukaj swego przeznaczenia, bo to ono szuka ciebie".

Opowieść Paula, jak chyba żadna inna, dowodzi, ile w nim jest prawdy. Równie prawdziwe okazało się ono dla pewnej młodej kobiety o imieniu Christine, która przybyła do dżungli bynajmniej nie w poszukiwaniu miłości.

Oto ich historia.

ROZDZIAŁ Drugi:

Mam wrażenie, że czasami Bóg przestawia jakąś kosmiczną zwrotnicę która przesuwa pod nami toryi gwałtownie popycha nasz los w zupełnie nieznanym kierunku.

W takich chwilach pewne są tylko dwie rzeczy:

że lepiej nie wiedzieć, dokąd zmierzamy, i że nie będziemy już mogli zawrócić.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

BOŻE NARODZENIE 1999ST.

PAUL, MINNESOTA

"Chyba się przeprowadzę do Arizony" - myślał Paul, gdy wycieraczki w jego samochodzie ledwo nadążały z odgarnianiem padającego śniegu.

Nie docenił siły śnieżycy.

Zacząła się krótko po południu, tuż po świątecznym obiedzie.

Około drugiej opuścił ciepło kominka i ramiona narzeczonej, dając sobie niespełna godzinę na dojazd, który zwykle zajmował mu trzydzieści pięć minut.

Był prawie wpół do czwartej, gdy zaparkował swoje porsche na parking przed szpitalną izbą przyjęć.

Przez tylne drzwi pośpiesznie wszedł do środka, strzepując śnieg z ramion.

W szatni inny lekarz wkładał własne cywilne ubranie.

Podniósł czoły i odetchnął na widok zmiennika.

- Zdążyłeś.

- Ledwo co - odparł Paul, zdejmując kurtkę.

- Na drogach koszmar.

- Poczekaj, aż wejdiesz na oddział.

- Aż tak źle?

- Jak w supermarkecie w ostatni weekend przez świętami.

Tylko że tutaj wszyscy albo rzygają, albo krwawią.

- To czemu wychodzisz?

- Zaliczyłem dwa dyżury z rzędu.

Padam na pysk.

Przez ostatnie cztery godziny byliśmy tylko ja i Garrity.

Paul powiesił kurtkę, zdjął buty i spodnie, awłożył ubranie lekarskie.

21.

- Co dzisiaj mamy?

- Sama radość, jak zwykle w święta: próby samobójcze, awantury rodzinne, wypadki z tymi wszystkimi nowymi zabawkami, które ludzie dostają pod choinkę tylko po to, żeby sobie nimi zrobić krzywdę.

No i twoje ulubione wypadki z naśnieżarkami.

Paul pokręcił głową.

- Nigdy nie zrozumieję, co ludziom strzela do głowy, żeby wkładać ręce do naśnieżarek.

- Mnie na początku dyżuru trafił się ośmiolatek, który wetknął sobie lizaka do nosa.

Zaczynam się zastanawiać, jakim cudem nasz gatunek w ogóle przetrwał.

- Włożył kurtkę narciarską.

- A jak tam twoja szalowa narzeczona?

- Wściekła, że muszę pracować w święta.

- Nie martw się, któregoś dnia przestanie się tym przejmować.

- Wtedy dopiero zacznę się martwić.

Tamten uśmiechnął się drwiąco.

- Stary, ja ją widziałem.

Lepiej zacznij się oswajać z myślą, że będziesz żył w ciągłej niepewności.

- Podeszedł do drzwi.

- Trzymaj się.

- Jedź ostrożnie.

I wesołych świąt.

- Może w przyszłym roku.

Paul schował spodnie do szafki, zarzucił na ramiona białe fartuchy i udał się do pracy.

W izbie przyjęć panował zgiełk krzątania, technicy i pielęgniarki wpadali na siebie w ciasnych korytarzach.

- Wesołych świąt wszystkim!

- przywitał się Paul.

Pielęgniarka dyżurna oderwała wzrok od monitora i odetchnęła z ulgą.

- Bałam się, że niezdolna pandojechać.

Wesołych świąt, doktorze.

Pięgowata, rudowłosa siostra Marci paradowała w opasce z pluszowymi rogami renifera.

Mijając Paula, zatrzymała się i uśmiechnęła.

22

- Wesołych świąt, doktorze Cook - przechyliła zalotnie głowę.

- Nawzajem, Marci.

Z miejsca, gdzie stał, dokładnie widział świątecznie udekorowaną poczekalnię: papierowe śnieżynki zrobione przez dzieci z pobliskiego przedszkola, doniczki z gwiazdami betlejemskimi, których czerwone liście ożywiały szarość ściany wykładziny.

W kącie stała sztuczna choinka ozdobiona białymi lampkami i łańcuchami z

różowych, metalicznych koralików.

Wszystkie krzesła były zajęte, ludzie stali oparci o ściany lub siedzieli na podłodze.

Przy kontuarze, gdzie odbywała się wstępna selekcja, uformowała się długa kolejka.

Paul wtarł w dłonie preparat antybakteryjny

- Zdaje się, że nie grozi nam dzisiaj nuda.

Dyżurną pielęgniarką spojrzała na niego.

- Tak pan sądzi?

Paul wszedł do pomieszczenia dla lekarzy. Doktor Aaron Garrity siedział przed komputerem i czytywał na głos dane z karty pacjenta.

Przerwał wpółzdania i wyłączył dyktafon.

- Cześć, Paul.

Wesołych świąt.

- Dzięki.

Wzajemnie.

- Przypiął do pasu radiotelefon.

- Tylko my dwaj dzisiaj jesteśmy?

- Jak zwykle daliśmy się zrobić.

Paul podszedł do monitora, gdzie na ekranie wyświetlały się nazwiska przyjętych pacjentów.

- Comasz?

- Cztery osoby z wysoką gorączką, faceta z podciętymi żyłami, dwa przypadki przedawkowania, kobietę, której mężowi nie smakował świąteczny obiad, więc rozbił jej czaszkę.

Paul spochmurniał.

- A na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

- ...i gościa, który wsadził łapę do naśnieżarki.

23.

Gdy Paul studiował dane na monitorze, weszła pielęgniarka.

- Dzień dobry, doktorze.

Podniósł wzroki zobaczył Kelly: młodą, filigranową osóbkę o blond włosach i zaraźliwym uśmiechu.

Kelly była równie sympatyczna co kompetentna i Paul zawsze się cieszył, kiedy mieli razem dyżur.

- Witaj, Kell.

Wesołych świąt.

- Nawzajem.

Dobrze, że udało się panu bezpiecznie dojechać.

Jak drogi?

- Szybciej bym dotarłpsim zaprzęgiem.

Uśmiechnęła się.

- Kto ma dyżur oprócz ciebie?

- Marci, Ken, Jean, Paula, Gary i Beverly - Dotknęła jęgoramienia.

- W sali H czeka kobietaz raną ciętą dłoni.

To tylko czwarty stopień, ale ciągle krwawi.

Ona tu siedzi prawie od trzech godzin.

- Pewnie cały jej świąteczny nastrój zdążył prysnąć.

- Jest zdumiewająco cierpliwa, ale mam wyrzuty sumienia.

Oczyściłam ranę i założyłam tymczasowy opatrunek, ale trzeba to będzie zszyć.

- Masz jej kartę?

- Proszę - podała mu.

- Skaleczyła się, krojąc świąteczną szynkę.

Paul obejrzał kartę.

- Duża jest?

- Ta szynka?

Popatrzył na nią z uśmiechem.

- Rana.

Kelly się zarumieniła.

- Przepraszam.

Jakieś dwa i pół centymetra.

- Chodźmy obejrzeć.

Kobieta miała dwadzieścia kilka lat; była ubrana w czarne, obcisłe dzinsy biodrówki i różowy T-shirt z długim rękawem.

Miała mocno podkreślone ciemnym tuszem oczy i czarne,

24

nastroszone włosy Siedziała na stole do badań, przyciskając do palca kawałek gazy.

Opatrunek przesiąkł krwią.

Kiedy weszli, spojrzała nerwowo w ich stronę.

Paul przywitał ją serdecznym uśmiechem.

- Nazywam się Cook.

Przepraszam, że musiała paniyleczyć.

- Nic nie szkodzi.

Macie dziś bardzo pracowity dyżur.

- Rozumiem, że postanowiła pani podać na obiad własny palec?

Kobieta lekkosię uśmiechnęła.

- Kroiłam szynkę i nóż mi się wyślizgnął.

- Kiedy to się stało?

- Jakieś trzy godziny temu.

Od razu przyjechałam tutaj.

- Zobaczmy - Delikatnie odwinął opatrunek.

Rana miała ponad dwa centymetry i była głęboka: dochodziła prawie do kości.

- Jest pani bardzo dzielna.

Ja już bym dawnowyżył bólu.

Zanim dam pani środek znieczulający, sprawdzę, czy nie został uszkodzony jakiś nerw lub ścięgno.

Proszę wyprostować palec w ten sposób.

- Zadeemonstrował jej, a ona posłusznie wykonała polecenie.

- I proszę go tak trzymać, nie pozwalając, żeby go zgiął.

- Zaczął naciskać od góry, ale palec stawiał opór.

- Świetnie.

Niech pani go jeszcze chwilę potrzyma w tej pozycji, a ja zbadam przepływ krwi.

Ścisnął czubek palca, aż zrobił się biały, po czym zwolnił ucisk.

Palec natychmiast się zaróżowił.

- Ukrwienie w porządku.

Jeszcze ostatnie badanie.

Wyjął z karty spinacz i rozgiął tak, że oba końce wystawały na zewnątrz.

- Proszę zamknąć oczy.

- Dotknął spinaczem opuszcza jej palca.

- Ile ukłuć pani czuje?

- Dwa.

Przesunął nieco niżej.

- A teraz?

- Dwa.

25.

- Dobrze.

Może pani otworzyć oczy.

Kobieta przyjrzała się spinaczowi.

- Macietu supernowoczesny sprzęt.

-Wszystko, co najlepsze dla naszych pacjentów - uśmiechnął się Paul.

- Kelly, przygotuj mi trzycentymetry sześciennie dwuprocentowej ksylokainy

Kelly trzymała już w ręku gotowy zastrzyk.

- Proszę.

Paul wziął od niej strzykawkę i z powrotem odwrócił się stroną młodej kobiety

- Stracił pani dużo cennego czasu, założę więc tyłkoszwy i odeślemy panią do domu.

Proszę położyć tu rękę i odwrócić wewnętrzną stroną dłoni do góry. Znieczulę teraz palec przewodowo, żeby nie bolało.

Gdy Paul wprowadzał igłę, kobieta odwróciła głowę.

- Ależ ze mnie idiotka - powiedziała.

- Pracuję w kwaciarni, całym dniami przycinam kwiaty i nigdy mi się coś takiego nie przytrafiło.

- Wypadki chodzą po ludziach.

A idiotami są ci, którzy krzywdzą się celowo.

- Wyjął igłę.

- Jeszcze tylko raz.

Kobieta przygryzła dolną wargę, a Paul ponownie się wklął.

- Dużo macie samobójstw?

- spytała.

Paul kiwnął głową.

- Zwłaszcza tej porze roku.

- Wstał, złamał igłę na pół i wrzucił do pojemnika na odpadki.

- Znieczulenie zacznie działać po kilku minutach.

Przepraszam, że znowu każe paniczkać, ale muszę na chwilę wyjść.

Za dziesięć minut będę z powrotem.

Obiecuję.

- Dziękuję.

Wrócił do gabinetu, wpisał do karty opis zabiegu, poczym wyszukał na monitorze następnego pacjenta.

W pomieszczeniu znajdowała się pielęgniarka, Keń.

- Byłeś u pani Schiffman w sali G?

- Jakieś dziesięć minut temu.

26

- Chodźmy do niej.

Zabrał kartę pacjentki i skierował się w stronę czwartych drzwi.

W sali leżała trzydziestoparoletnia kobieta ubrana w szpitalną koszulę.

Jedną nogę miała uniesioną kilkanaście centymetrów nad łóżkiem.

Jej mąż, potężnie zbudowany brodac z czerwonej twarzy i z wydatnym brzuchem, siedział obok i czytał pismo "Car and Driver".

Kiedy weszli Paulz Kenem, podniósł oczy i skrzywił wargiz irytacją.

- No, wreszcie ktoś się zjawił.

Lekarzom się wydaje, że ich czas jest cenniejszy niż innych.

- Mamy dziś sporo pacjentów- wytłumaczył Paul i odwrócił się do kobiety, która najwyraźniej czuła się skrepowana nerwową reakcją męża.

- Dzień dobry, jestem doktor Cook.

Co się stało?

- Wychodziłam z synem na ulicę i poślizgnęłam się na lodzie.

Chyba coś złamałam.

Paul obejrzał jej nogę.

Na kostce, która spuchła dwukrotnie, widniał rozległy siniak.

Obmacał kończyne, naciskając w kilku miejscach.

- Boli?

- Tak.

- A tutaj?

- Auć!

Też.

- Przepraszam.

Ken, zrobimy komplet zdjęć.

- I zwróciłem się do kobiety: - Podejrzewam u pani złamanie pozastawowe kości strzałkowej.

Czyli miała panirację, no najprawdopodobniej jest złamana, ale żeby się upewnić, musimy ją prześwietlić.

Dostała pani środek przeciwbólowy?

- Nie.

- A jest pani na coś uczulona?

- Navium.

Paul wziął do ręki kartę i coś zanotował.

- Ken, dziesięć miligramów morfiny i pięćdziesiąt feneganu, domięśniowo.

- Położył rękę na ramieniu pacjentki.

- Wróć do pani, jak tylko dostarczą mi zdjęcia.

27.

- Zaraz!

Chyba nie zamierza pan wyjść?

- oburzyłam się mężczyzna.

- Nic nie zrobię, dopóki nie zobaczę zdjęć.

Ale za to Kenza opiekujesz się odpowiednio pańską żoną.

Kobietą się zaczerwieniła, ale nic nie powiedziała.

Gdy odchodziła, jej mąż warknął coś pod nosem.

- Przyjemniaczek - skomentował Paul.

- Daj mi znać, jak zdjęcia będą gotowe.

- Jasne.

- A to weźże sobą.

- Podał Kenowi kartę i poszedł z powrotem do sali H.

Kobieta uśmiechnęła się na jego widok.

- Obiecałem, że wrócę.

I jak, znieczulenie działa?

Skinęła głową.

- Palec mam jak z drewna.

Uśmiechnął się.

- Świetnie.

Ksylokaina czynicuda.

To największy wynalazek od czasów bikini.

- Wyjął z szafki zestaw do zakładania szwów.

- Zeszyjemy panią wypuścimy do domu.

- Usiadł obok pacjentki i założył gumowe rękawiczki.

- No dobrze.

Niech pani położy na tym dłoń.

- Nakierował jej rękę nawyłożony miękkim materiałem podłokietnik.

- Proszę się zrelaksować.

Najpierw założę opaskę uciskową.

Palce lubią bardzo krwawić, a wtedy nic nie widzę.

- Nasunął jej na palec cienką gumową obrączkę.

- Poczuj pan delikatny ucisk, ale boleć nie powinno.

- Przebił igłą fałd skóry Kobieta się szarpnęła.

Spojrzał na nią.

- Coś pani poczuła?

- Przepraszam, to nerwy

- Niech pani spróbuje się nie ruszać.

- Przepraszam.

Zahaczył przeciwległy fałd skóry i zaciągnął pierwszyszew.

- Ile tych szwów potrzeba?

- Sześć albo siedem.

- Wyczuł, że jest zdenerwowana.

- A więc pracuje pani w kwaciarni?

-Tak.

- A gdzie?

-W Hyde Floral.

To niedaleko stąd, jakieś kilka kilometrów, przy Dziewiątej ulicy.

- Naprzeciwko salonu Hondy.

-Zgadza się.

- Kupowałem już u pani kwiaty

-Super.

Następny bukiet będzie na mój koszt.

- Dziękuję.

Jak się pani nazywa?

- Lily Rose.

Podniósł wzrok.

- Poważnie?

-Wiem, wiem.

To pobabci.

Lilian Rose.

W pracy codziennie się ze mną bójczą.

Zdaje się, że trafiłam do niewłaściwej branży

- Przeciwnie.

- Podciągnął nić w górę i zawiązał supełek.

-Miło mi cię poznać, Lily Mam na imię Paul.

Ale następnym razem spotkajmy się lepiej u ciebie.

- Nie ma sprawy

-Dla kogo kroiłś tę szynkę?

- Dla mojej rodziny.

Spotykamy się raz do roku, żeby sobie przypomnieć, dlaczego przez pozostałą jego część nie chcemy się widzieć na oczy Jeśli niedługo kończysz, zapraszam do nas.

Uśmiechnął się.

- Kusząca propozycja.

-Moja matka byłaby wniebowzięta.

Zawsze chciała, żebym przyprowadził do domu jakiegoś lekarza.

W dodatku tak przystojnego.

Paul znów się uśmiechnął.

- Dziękuję.

W tym momencie do sali weszła Kelly.

- Panie doktorze, karetka jest w drodze.

Wiozą dziecko z zaburzeniami oddychania.

Paul nie przerywał szycia.

29.

- Gdzie jest doktor Garrity?

- Miał nagły wypadekna ginekologu: u rodzącej kobiety doszło do zatrzymania akcji serca.

- Ile mamy czasu?

- Około dwóch minut.

- Dziecko jest przytomne?

- Tak.

- Saturacja?

- Spada.

W domu było osiemdziesiąt osiem procent, a teraz osiemdziesiąt dwa.

Paul zmarszczył czoło.

- Co się stało?

- Prawdopodobnie czymś się zakrztusił.

Rodzice i sanitariusze próbowali rękoczynu Heimlicha, ale nie pomogło.

- Przekaż im, żeby na razie podłączyli kroplówkę, alenich go przywiozą jaknajszybciej.

- Już dzwonię.

Paul spojrzał na Lily

- Będę musiał wyjść, kiedy przyjadą.

Chybanie zdążę tego skończyć.

Wytrzymasz jeszcze trochę?

- Tak.

- przerwała na moment.

- Kiedy byłam nastolatką, opiekowałam się córką sąsiadów i ona pewnego razu zakrztusiła się ciastkiem.

W końcu je wypluła, ale o mało niedostałam zawału.

Paul zaciągnął kolejny szew.

- Zawsze się boję takich przypadków.

W tym momencie do sali wszedł Ken.

- Panie doktorze, wiozą pacjenta z atakiem serca.

Paul jęknął.

- Jeszcze tego brakowało.

Ile mamy czasu?

- Pięć minut.

- Stan chorego?

- Sanitariusze go reanimują.

To czterdziestodwuletni mężczyzna, który zasłabł, odśnieżając chodnik przed domem.

Z zapleców Kena wyłoniła się Kelly

30

- Panie doktorze, przyjechała karetka z dzieckiem.

Paul odłożył igłę, wziął nożyczki i rozciął opaskę uciskową.

Spojrzał na Lily

- Wrócę tu.

- Powodzenia.

- Owiń to bandażem, a potem przyjdźmi pomóc- rzucił do Kelly

Wszedł na korytarz, gdzie sanitariusze wieźli dziecka Był to trzy-, może czteroletni chłopczyk.

Miał siną twarz i wytrzeszczone oczy, a potężnie zbudowany sanitariusz z trudem utrzymywał go na rękach, bo mały wiał się i wierzgał nogami, rurka od kroplówki podskakiwała w rytm jego ruchów.

- Jaka saturacja?

- spytał Paul.

- Siedemdziesiąt dziewięć.

-Daj mi go.

- Paul chwycił chłopca wpół i zaczął wykonywać rękoczyn Heimlicha.

Bez skutku.

- Połóżcie go na stolei podłączcie do monitora.

Nagle na korytarz wpadła kobieta, krzycząc:

- Gdzie jest mój synek?

Za nią biegła pielęgniarka, która próbowała ją zatrzymać.

- Proszę pani, musi pani poczekać w holu.

-Gdzie jest mój syn?

Ja muszę do syna.

Nadeszła Kelly

- Panie doktorze, matka tego chłopca.

-Dajcie ją tu.

- Proszę pani!

- krzyknęła Kelly w głąb korytarza.

Kobieta podbiegła domiejsca, gdzie grupa ludzi zgromadziła się wokół jej syna.

Na jego widok wpadła w jeszcze większą panikę.

- Zróbcie coś.

Błagam!

- Czy pani wie, co on połknął?

- zapytał Paul.

- Nie mam pojęcia.

Siedział sobie przy choince i się bawił.

- Wisiały na niej jakieś drobne ozdoby?

-Nie wiem.

Po prostu mu to wyjmijcie!

Ratujcie go!

Onnie może oddychać!

,

Paul zwrócił się do Kelly.

- Musimy mu dać coś na uspokojenie.

Przygotuj miligram versedu.

Kelly wstrzyknęła środek przez wenflon, ale chłopiec nadal się rzucał i wrywał z rąk trzymających go mężczyźni.

- Saturacja spada- powiedziała.

- Yersed niewystarczy.

Ile jest?

- Siedemdziesiąt pięć.

- Pięknie - mruknął wściekle Paul.

- Muszę się dowiedzieć, co on połknął.

- Odwrócił się do matki chłopca.

- Ile waży panisyn?

- Yyy.

niedługo piętnaście kilo.

- Kelly, przygotuj piętnaście miligramów sukcyliny

W tym momencie rozsunęły się drzwi i na korytarz wdarł się podmuch zimnego powietrza.

Dwaj sanitariusze w ciężkich butach wpadli do środka, wioząc nanoszących mężczyznę.

Nadbiegła Marci, która już zdążyła zdjąć z głowy rogi renifera.

- Panie doktorze, jest pacjent z zatrzymaniem akcji serca.

- Gdzie Garrity?

- Wciąż na górze.

- Będziesz musiała mi pomóc.

Mamy jakąś wolną salę?

- D. Delta.

- Zawieźcie go tam i kontynuujcie reanimację.

Jaki rytm?

- Tachykardia.

- Defibrylowali go w karetce?

- Tak.

Dwieście, trzysta, trzysta sześćdziesiąt dzuży.

- Dajcie mu miligram epinefryny, poczekajcie minutę i jeżeli migotanie komór nie ustąpi, powtórzcie defibrylację natrzysta sześćdziesiąt.

Kelly co z tym zastrzykiem?

- Już daję.

- Saturacja spadła do siedemdziesięciu - powiedział Ken.

- Dajcie zestaw do intubacji.

- Proszę.

32

- Dobra, zaczynamy Kelly, sukcyliny.

Kelly nacisnęła tłok strzykawki.

Ciało chłopca w jednej sekundzie stało się zupełnie bezwładne.

Kobieta wydała z siebie krzyk.

- Zabiliście go!

Zabiliście mojego syna!

- On żyje, proszę pani.

Kolego, niech pan zaprowadzi panią do poczekalni.

Sanitariusz chwycił kobietę za ramię.

- Proszę pójść ze mną.

- Kocham cię, Stevie.

Mamusia cię bardzo kocha - szlochała, kiedy ją wyprowadzano.

Paul włożył do ust chłopca laryngoskopi uniósł mu żuchwę, żeby uwidocznić struny głosowe.

Do sali weszła Marci.

- Doktorze, jest pan potrzebny Pacjent wymiotował i sanitariusze nie mogą go intubować.

- Nie mogę teraz wyjść.

Odessijcie wymiociny i wentylujcie, dopóki nie przyjdę.

Kelly, dajmi.

- zanim zdążył dokończyć, Kelly podała mu szczypce.

Paul zajrzał chłopcuw głąb gardła.

Tam pomiędzy strunami głosowymi dostrzegł kolorową plamkę.

- Jest.

- Panie doktorze - odezwał się Ken.

- Saturacja sześćdziesiątosiem.

- W tym momencie monitor zaczął piszczeć.

- Bradykardia.

- Jakie tętno?

- Trzydzieści.

- Ken, zacznij reanimację.

Kelly, dwie dziesiąte miligramatropiny dożylnie, i przygotuj rurkę intubacyjną, szóstkę.

- Zacisnął szczypce i powoli wydobyl przedmiot spomiędzy strun głosowych.

Był to mały plastikowy żołnierz.

Rzuciłgo na stolik razem z narzędziem.

- I co, Ken?

- Bez zmian.

- Kelly, rurka.

Kelly podała mu cienką, plastikową rurkę.

Paul wprowadził ją między struny głosowe chłopca i nasłuchiwał.

33.

- Szmerem oddechowe prawidłowe, końcowo-wydechowestężenie CO₂ też.

Kelly, wentyluj.

- Doktorze - zawołał Ken - migotanie komór!

Paul sprawdził puls.

- Spróbujemy defibrylować.

Ken!

Elektrody Ken podciągnął chłopcu koszulkę, przykleił elektrody klipsami przypiął kable.

- Już.

- Ładuj dwadzieścia dzuli.

Uwaga!

- Prąd wstrząsnął małym ciałkiem dziecka.

Wszyscy zwrócili oczy na monitor.

Bez zmian.

- Zwiększ do czterdziestu.

Uwaga!

- Kolejny wstrząs.

- Saturacja wzrosła do dziewięćdziesięciu - zameldowała Kelly

- Tlen już jest, żeby jeszcze tylko serce zaczęło pracować.

- Ciągle nic - powiedział Ken.

- Ken, masaż serca.

Kelly, dwie dziesiąte miligrama epinefryny dożylnie.

Ken zaczął zaczął uciskać klatkę piersiową chłopczyka.

Paul wpatrywał się w monitor.

- Ruszże wreszcie.

- Odwrócił się.

- Jeszcze raz czterdzieści dzuli.

Uwaga!

W drzwiach znowu pojawiła się Marci.

- Panie doktorze, co mamy dalej zrobić z pacjentem w D?

Intubować nie możemy, sześć razy próbowaliśmy defibrylować, dostał trzy dawki epinefryny i prawie sto pięćdziesiąt miligramów lidokainy

Po skroni Paula spłynęła kropla potu.

- Nie ma w szpitalu jakichś innych lekarzy pomocy?

- Wzywaliśmy przez centralę, ale nikt się nie zgłosił.

Zadzwoniliśmy do doktora Mabeya do domu, ale on tu może być dopiero za dwadzieścia minut.

- Za dwadzieścia minut to już będzie po wszystkim.

Ken, nie przerywaj reanimacji.

Wracam za pół minuty.

Przebiegł do sali D, która znajdowała się kilkanaście metrów dalej.

Leżał tam dosyć tęgi mężczyzna z rozciętą na pierśsiach koszulką.

Stało nad nim dwóch sanitariuszy: jeden wykonywał intensywny masaż serca, a drugi

patrzył.

Camille, terapeutka oddechowa, trzymała przy twarzy pacjenta maskę i pompowała powietrze z worka, żeby wtłoczyć tlen do płuc.

Paul przebiegł wzrokiem kartę informacyjną pacjenta, próbując stwierdzić, co zostało zrobione i co jeszcze da się zrobić.

Wszyscy skupili na nim wzrok, w ich oczach malowała się bezradność.

- Marci, podaj mu jeszcze miligram epinefryny i poczekaj minutę.

Jeśli tętno się nie pojawi, powtórz defibrylację na trzysta sześćdziesiąt dzuli.

Przygotuj mi zestaw do intubacji, zaraz wracam.

Paul pobiegł do drugiej sali.

Chłopiec miał siną twarz.

- Na czym stoimy?

- zapytał.

- Cały czas migotanie - odparł Ken.

- Ładuj trzysta dzuli.

Kelly popatrzyła na niego.

- Trzysta?

- Chciałem powiedzieć czterdzieści - wymienili spojrzenia.

- Czterdzieści dzuli.

Uwaga!

Ciało chłopczyka poderwało się w górę.

Monitor przestał piszczeć.

- Mamy rytm - powiedział Ken.

Paul złapał nadgarstek dziecka.

- Jest puls.

Kell, dzwoń do szpitala dziecięcego, będzie nam potrzebny OIOM.

Zapytaj, czy w taką śnieżycę dadzą radę przysłać helikopter.

- Saturacja wzrosła do dziewięćdziesięciu pięciu - powiedziała Kelly

Twarz chłopca powoli nabierała koloru.

Paul odetchnął z ulgą.

- Dobra robota, kochani.

Zostańcie z nim, ja muszę wracać.

Pobiegł do sali D.

Zespół ratowników nadal próbował reanimować mężczyznę, ale byli już wyraźnie załamani.

Marci spojrzała na Paula.

35.

- Nie możemy przywrócić akcji serca i ciągle nie udajemy się go zaintubować.
Paul wziął rurkę i wprawnie wprowadził ją dotchawicypacjenta.
- Świetna robota, doktorze - powiedziała Marci.
- To dlatego zarabiacie kupę kasy - dorzucił jeden z sanitariuszy
- Spróbujmy defibrylować jeszcze raz - zarządził Pauli wziął do ręki łyżki.

- Marci, trzysta sześćdziesiąt dzuili.

Uwaga!

Prąd wstrząsnął ciałem mężczyzny

- 1 co?

Sanitariusz pokręcił głową.

- Atropina?

- Wykorzystaliśmy już maksymalną dawkę.

- Masaż serca, natychmiast.

Marci, dodatkowe dwie dziesiąte miligrama epinefryny

Marci wstrzyknęła steryd przez wenflon.

- Brak reakcji - powiedział Paul.

- Powtarzamy Trzystasześćdziesiąt dzuili.

Uwaga!

Ciało znów się uniosło i tak samo szybko opadło.

"Jakby ożywiać sofę" - pomyślał Paul.

- Zero reakcji.

Na monitorze pojawiła się płaska linia.

- Asystolia!

- krzyknęła Marci.

- Jeszcze raz.

Trzysta sześćdziesiąt dzuili.

Uwaga!

Bez zmian.

Paul rozejrzał się posali.

- A pojawił się pulschoć na chwilę?

- spytał.

- Nie - odparł sanitariusz.

- Nie, panie doktorze - powiedziała Marci.

- Jak długo serce niepracuje?

- Zabraliśmy go z domu czterdzieści trzy minuty temu - powiedział sanitariusz.

- A wezwanie odebrano pięćdziesiąt sześć minut temu.

W tym momencie szyby w oknach zadrżały od huku lądującego śmigłowca.

Paul popatrzyła mężczyzną.

Nie żył, i to conajmniej od pół godziny.

36

- Stwierdzam zgon - westchnął przygnębiony Marci zerknęła na zegarek.

- Czas zgonu szesnasta dwadzieścia siedem.

Za drzwiami korytarza mignęła im załoga śmigłowca ratunkowego.

W tym momencie do sali weszła Kelly

- Doktorze, musi pan przyjąć, tętno chłopca spadło do czterdziestu.
- Jak wrócę, porozmawiam z rodziną - powiedział Pauldo Marci i wybiegł.

W połowie drogi wyrósł przed nim brodaty mężczyzna z sali G.

- Chyba już się dosyć naczekaliśmy Co z prześwietleniem mojej żony?
Paulowipuściły nerwy.

Ominął mężczyznę, mówiąc:

- Proszę natychmiast wracać na salę.

Ja tu próbuję ratować ludzkie życie.

Mężczyzna pokornie wycofał się za drzwi.

Załoga śmigłowca stała w oczekiwaniu przed salą, w której leżał maluch.

- Podróż przełożona, chłopcy - powiedział Paul.

Wchodząc, zerknął na monitor.

Częstość uderzeń serca spadła o kolejne cztery punkty

- Atropina!

- krzyknął.

- Dwie dziesiąte miligrama dożylnie.

Monitor znów pokazał migotanie komór.

- Co jest grane?

- mruknął pod nosem Paul.

- Kell, ładuj do dwudziestu dzuli.

Uwaga!

- Ciałem szarpnęło w górę.

- Jest rytm - powiedział Ken.

- Tylko na chwilę - dodał Paul, gdy tętno zaczęło spadać.

- Trzymamy go przy życiu dzięki epinefrynie.

Jak saturacja?

- W porządku, panie doktorze.

Dziewięćdziesiąt pięć procent.

Do sali zajrzał doktor Garrity

- Już jestem.

Potrzebna wam pomoc?

- Nie możemy utrzymać rytmu serca.

Dostał maksymalną dawkę atropiny, a za chwilę dojdziemy też do trzech miligramów epinefryny Masz jakiś pomysł?

Garrity pokręcił głową.

- Robicie wszystko, co się da.

Zaraz będziemy tu mielirannych z wypadku.

Liczne obrażenia ciała drugiego stopnia.

Monitorznów zaczął pisać.

- Doktorze, migotanie komór.

Paul wznowił masaż serca.

- Dawaj, dawaj, ruszże wreszcie.

Kelly, spróbujmy jeszcze raz.

Epinefryna dożylnie, dwie dziesiąte miligrama.

- Jest.

- Dwadzieścia dzuli.

Uwaga!

Ciało podskoczyło.

Bicie serca powróciło na chwilę, aletym razem nikt się nie ucieszył.

Prawie natychmiast zaczęło zanikać.

- Stop - powiedział Paul.

- Stop, stop.

Czekajcie.

- Monitor zaczął pisać.

Paul rozejrzał się po sali.

- Czy ktoś ma jakiś pomysł?

Nikt nie odpowiedział.

- Dobra, Kell, jeszcze raz: dwie dziesiąte miligrama epinefryny.

Kelly ponownie wstrzyknęła środek do wenflonu.

- Gotowe.

- Ken, ładuj czterdzieści.

Uwaga!

Ciało podskoczyło.

Monitor nadal pisał i tym razem wykres nawet nie drgnął.

- Jeszcze raz - powiedział z złością Paul.

- Sześćdziesiąt dzuli.

Uwaga!

Tym razem drobne ciało chłopca uniosło się prawie trzydzieści centymetrów nad łóżkiem, ale bez rezultatu.

- Ciągle nic!

- krzyknął Paul.

Monitor cały czas pisał.

- Jeszcze raz sześćdziesiąt.

Uwaga!

I kolejny szarpnięcie.

I znów żadnej reakcji na monitorze.

Kontynuowanie elektrowstrząsów byłoby okrucieństwem.

Przez jakiś czas wszyscy stali w milczeniu.

Gorączkowakrzętanina, która jeszcze przed chwilą panowała w tej sali, ustała
piła miejsca letargicznemu odrętwieniu.

Po chwili Kelly dotknęła ramienia Paula.

- Panie doktorze, stwierdzamy zgon?

Paul nawet się nie poruszył.

- Doktorze?

Zakrył twarz dłońmi i głębokowestchnął.

- Ile to trwało?

Kellyzerknęła na zegarek.

- Trzydzieścisiedem minut.

Paul spojrział na delikatną, spokojną twarzchłopca, a potemnaplastikowego
żołnierzyka, któryleżał obok łóżka.

Łamiącym sięgłosem powiedział:

- Stwierdzam zgon pacjenta.

-Godzina zgonu: szesnasta czterdzieści dwie - dodałacicho Kelly

Paul stał jak sparaliżowany

Za plecami Kelly ukazała się Marci, która właśnie weszła do sali.

- Doktorze, żonai dziecitemężczyzny chcą z panem rozmawiać.

Paul nadal wpatrywał się w chłopczyka, jakgdyby nicnie słyszał.

A po chwili powiedział:

- Dajcie mi minutę.

Na oczach wszystkich przeszedł na drugi koniec sali,usiadł na taborecie i ukrył
twarzw dłoniach.

Zaczął się całotrząść.

Płakał.

Kelly otarła łzę z policzka.

- Zrobił panwszystko, co tylkobyło możliwe - powiedziała.

- Bóg tak chciał.

Chwilępóźniej po korytarzu rozszedł się krzyk kobietyszukającej swego
dziecka.

ROZDZIAŁ Trzeci:

Nadzieja sprawia, że chwytny się wszystkiego, co nam podrzuci los.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

CZTERY LATA PÓŹNIEJ 22 PAŹDZIERNIKA 2003 DAYTON, OHIO

Christine Hollister przymierzyła welon na kasztanowewłosa i stanęła przed lustrem w przedpokoju.

Poza tym miała na sobie popielate spodnie od dresu i bluzę z logo uniwersytetu w Dayton - kombinacja wybitnie niestosowna.

Już za tydzień założy ten welon naprawdę.

Ta myśl wywoływała podniecenie i jednocześnie duży stres.

Przed ślubem jest jeszcze tyle do zrobienia.

Poszła do kuchni, położyła welon na blacie i wzięła doręki segregator, w którym trzymała wszystko związane z organizacją wesela.

Zawartość była starannie skatalogowana, ułożona alfabetycznie i opatrzona indeksem, a foliowe koszulki wypchane wycinkami z gazet, zdjęciami sukien ślubnych, notatkami oraz wizytówkami.

Przewertowała strony, od czasu do czasu zatrzymując się przy pozycjach, które czekały na odfajkowanie.

"Firma cateringowa prawie załatwiona - ciągle żądają zadatku.

Muszą zamówić więcej eklerów.

Mama obiecała się tym zająć.

Lepiej zadzwonić i jej przypomnieć.

"

Facet od wideo zostawił wiadomość dotyczącą podkładu muzycznego.

"Nie chcę żadnych piosenek - pomyślała Christine.

- Najlepszy byłby jakiś fortepian.

Co to było, Rachmaninow?

Z tego filmu z Jane Seymour i Christopherem Reeve".

Zapisała notatkę na marginesie.

Kwiaty.

Byle nie róże.

Nienawidzi róż.

Bukiet ślubny zrobiono ze stokrotek i czerwonych słoneczników, podobnie.

nie jak dekoracje na stoły.

Biały, trzypiętrowy tort również udekorowano świeżymi kwiatami słonecznika.

Także zaproszeń ten motyw nie ominął: słonecznik był wytłoczony na głównej karcie, którą przykrywał półprzezroczysty pergamin w kolorze kości słoniowej.

Nikt nie może wątpić, że Christine uwielbia te kwiaty

Zatrzymała się przy zdjęciu sukienki dla druzhen, wyciętym z "ModemBride".

Ciemnognatowy atłas, rozszerzane u dołu, długość do pół łydki.

Przekreśliła stronę grubą krechą.

Pierwsza druzna w końcu wybrała coś dla siebie, tę sprawę można więc było uznać za ułatwioną.

Teraz Christine pozostało tylko zająć się własnym strojem.

Była to suknia ślubna jej prababci, uszyta z kremowej, błyszczącej szaramezy, wyszywana perłami i kryształkami.

Z tego, co pisali w magazynach ślubnych, kremowy odcień powinien idealnie pasować do jasnej karnacji Christine.

Suknia była oszałamiająco piękna, ale widać, że szyto ją dla kobiety nie z tej epoki.

Na biodrach leżała dobrze, w biuście była trochę przyciasna, ale do wytrzymania, za to w talii - fatalnie.

Christine z konieczności włożyła ją na sesję zdjęciową.

Fotografowi powiedziała, że tak ją ciśnie w pasie, że pewnie by krzyczała, gdyby tylko zdołała nabrać odpowiednią ilość powietrza do płuc.

Zawsze myślała, że jest szczupła w talii, ciekawiło ją, czy kobiety sprzed dwóch pokoleń rzeczywiście były aż takie filigranowe, czy po prostu nosiły lepsze gorsety i wykazywały większą odporność na ból.

Teraz suknia znajdowała się u krawcowej i Christine rozważała, czy powinna jeszcze raz zadzwonić i upewnić się, że napewno będzie gotowa na czas.

Trochę się jednak obawiała, bo kiedy ostatnio dzwoniła, krawcowa powiedziała, że gdyby nie jej nieustające telefony, już dawno skończyłaby poprawki.

Na jednej ze stron dołu widniała notatka: "Przypomnieć Martinowi, żeby zawiózł ojca i Roberta do wypożyczalni smokingów".

Skreśliła ją.

Sama tam zadzwoniła.

Od pewne

42

go czasu, ilekroć próbowała omówić z Martinem jakiś szczegół przyjęcia, robił się drażliwy. W ciągu ostatniego tygodnia doszło między nimi do kilku drobnych sprzeczek na ten temat, a nie dalej jak wczoraj Christine z płaczem zadzwoniła do swojej najlepszej przyjaciółki Jessiki, która miała być jej pierwszą druzną. Jessica pocieszyła ją, że kłótnie przed ślubem to nieodłączna część przygotowań, tak samo jak wybór kwiatów.

"Nic tak nie psuje małżeństwa jak wesele" - stwierdziła.

Nie można powiedzieć, żeby Christine ułatwiała Martinowi sprawę.

Marzyła o tym dniu, odkąd skończyła dziesięć lat i nieustannie sobie wyobrażała, jak powinien wyglądać.

Tak stanowczo obstawała więc przy najmniejszych szczegółach, że czasem robiło jej się głupio, że zachowuje się jak rozkapryszona panna młoda.

Przy tym wszystkim Martini tak był niezwykle cierpliwy - jak również przystojny, inteligentny i całkiem dobrze ustawiony. Pomijając przedślubny stres, trzeba powiedzieć, że Christine miała wszelkie powody, by czuć się szczęśliwa.

Plany weselne niemal idealnie pokrywały się z jej wyobrażeniami, z wyjątkiem jednej drobnej rzeczy: nie miał jej kto poprowadzić do ołtarza.

Ojciec dwa lata wcześniej zmarł na raka, ale nawet gdyby żył, nie poprosiłaby go.

Rodzice się rozwiedli, gdy miała dziewięć lat.

Matka nie wyszła ponownie za mąż, za to ojciec już po kilku miesiącach ożenił się z młodszą od siebie kobietą, która miała dwójkę własnych maluchów.

Z czasem stał się dla Christine obcym człowiekiem.

Nie przyjechał nawet na rozdanie dyplomów w szkole średniej, przysłał tylko czek na pięćdziesiąt dolarów, który od razu ze złością wyrzuciła.

Spojrzała na zegarek.

Dziś ma się odbyć jej wieczór panieński i Jessica zapowiedziała, że przyjedzie po nią o szóstej.

Na myśl o imprezie Christine znów zaczęła się denerwować.

Chociaż wydusiła z przyjaciółki obietnicę, że nie będzie żadnych szaleństw, wiedziała, że taka prośba mogła

43

1.

wręcz sprowokować Jessicę do podjęcia decyzji całkiem odwrotnych.

Byłoby jej odwieczną misją - zmusić Christine, żeby choć raz poszła na całość.

Christine i Jessica stanowiły żywy dowód na przyciąganie się przeciwności.

Jeśli porównać Christine do jedwabiu, to Jessica była skórą.

Christine nigdy nie spotykała się z więcej niż jednym facetem naraz, za to Jessica zawsze otaczała się całym ich wianuszkami, ponieważ w ten sposób - jak twierdziła - wygodniej jej było nimi manewrować.

Obie kobiety naturą hojnie obdarzyła.

Uroda Christine była bardziej klasyczna - jak u gwiazdy filmowej z lat pięćdziesiątych, którą podziwiała się na ekranie, ale nie bardzo wiadomo, co można by z nią zrobić poza nim.

Jessica była bardziej wyzywająca - goły brzuch, kuse szorty.

Mężczyźni tapali wokół Christine na palcach, jak gdyby była porcelanową laleczką.

Jessica nie spędziła ani jednej sobotniej nocy w własnym domu.

Obie także na swój sposób zazdrościły sobie nawzajem.

Christine zazdrościła Jessice, że potrafi się bawić i jest przebojowa, a wszelkie życiowe problemy zdają się po niej spływać.

I choć Jessica uwielbiała sobie pokpiwać z dobrych manier Christine, jednocześnie podziwiała ją za stałość charakteru i jasność przekonań, czyli to, czego jej samej zawsze brakowało.

Christine odłożyła segregator, podeszła do kuchennki i postawiła czajnik na gazie.

Miała w planie zrzucić do ślubutry kilo i osiągnęła już połowę sukcesu, żywiąc się wyłącznie herbatą i szpinakiem.

Kiedy wyjmował z szafki puszkę z herbatą, ktoś zapukał do drzwi.

Otworzyła i zobaczyła na progu Martina.

Martin zawsze chodził nienagannie ubrany i teraz też, pomimo weekendu, miał na sobie idealnie wyprasowane spodnie, jasną koszulkę polo i tweedową marynarkę.

- Mogę wejść?

- Głos miał napięty

- Oczywiście.

Co się stało?

44

Nie odpowiedział, a ona podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

Przycisnęła ją do siebie.

Po chwili powiedział cicho:

- Musimy porozmawiać.

Odsunęła się i spojrzała mu w twarz.

Dostrzegł w jej wyrazie coś, co wzbudziło w niej lęk.

- O co chodzi?

Martin wszedł do środka, podszedł do kuchennego stołu i usiadł, kryjąc twarz w dłoniach.

Christine ściszyła muzykę.

Czuła, jak ze strachu ścisną jej żołądek.

- Napijesz się coli?

-Nie.

- Czegoś mocniejszego?

-Nie.

Usiadła naprzeciwko.

- Co jest?

Martin milczał przez chwilę, a potem spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie mogę tego zrobić, Christine.

-Czego niemożesz?

- Ożenić się.

Przez moment wpatrywała się w niego, nie wierząc, że on mówi na poważnie.

Zaschło jej w gardle.

- Czy zrobiłam coś nie tak?

-Nie.

- To może czegoś nie zrobiłam?

Nierozumiem.

Nie usłyszała odpowiedzi.

Łzy zaczęły napływać jej do oczu.

- Masz kogoś?

-Nie.

- Martin wstał.

Widać było, że czuje się niezręcznie.

Przez chwilę wpatrywała się w podłogę, po czym podniósł wzrok i spojrzał na Christine z wyrazem bólu na twarzy

- Po prostu nie jestem jeszcze na to gotowy.

Wszystko dziejesię za szybko.

To było tak, jakby ślubny ekspres Christine nagle zaczął się rozpędzać, zanim zdążyłem wyskoczyć.

45.

Słuchała tego jak sparaliżowana.

- Tego właśnie chciałeś?

Wyskoczyć?

- Ależ nie; tonie tak.

To znaczy.

- westchnął i spokojniejszym tonem dodał: - Nie dam rady tego zrobić, Chris.

Przynajmniej narazie.

- Ślub za tydzień, zaproszenia już rozesłane.

Dziś jest mój wieczór paniński.

- Powinienem być wcześniej coś powiedzieć.

Spojrzała na niego ostro.

- Tak.

Chyba powinieneś.

- Położyła głowę na stole.

- Nie, to niemożliwe.

- I rozplakała się.

- Hej - powiedział cicho Martin.

Chciał dotknąć jej włosów, ale ona odepchnęła jego rękę.

Podszedł do niej i przykucnął.

- Kocham cię, Chris.

- I w ten sposób mi to okazujesz?

- Wolałabyś się przekonać dopiero po ślubie, że nie byłem gotowy?

Miałbym udawać, że jestem szczęśliwy?

Zakryła twarz dłońmi.

- Myślałam, że jesteś szczęśliwy - Głos jej się łamał.

- Myślałam, że chcesz być ze mną.

- No pewnie, że chcę.

Ale nie tak.

- Poglądził ją po włosach.

- To co mam zrobić?

Chcesz to ciągnąć dalej?

Spojrzała na niego z wściekłością.

- Ach prawda, mój wymarzony ślub.

- Zdjęła z palca pierścionek i rzuciła nim w Martina.

Pierścionek potoczył się po podłodze.

- Zabierz go sobie i wyjdź stąd.

Zostaw mnie w spokoju.

Martin wziął głęboki oddech, wstał, a potem schylił się po pierścionek.

- Miałem nadzieję, że zrozumiesz.

- Podszedł do drzwi.

- Bardzo cię przepraszam, Christine.

Wiem, że tookrutnie nie w porządku wobec ciebie, ale gdybym się teraz z tobą ożenił, czując to, co czuję, byłoby jeszcze gorzej.

- Przerwał na chwilę, poczym otworzył drzwi.

-Zadzwoń później.

Christine nawet nie spojrzała w jego stronę.

46

- Proszę cię, idź już.

Drzwi się zamknęły a Christine poczuła, że jednocześnie zatrzaśnięte zostało jej serce.

W przyływie rozpaczyci chciała wybiec za Martinem i błagać, żeby został, ale tylko opadła na stół rozszlochała się spazmatycznie.

W kącie zaczął gwizdać czajnik.

ROZDZIAŁ Czwarty:

7

Dziwna ta nasza amerykańska kultura.

Załamujemy ręce,

gdy słynny sportowiec skręci kostkę albo jakiejś gwieździe powiedzie się w małżeństwie, ale już mało nas obchodzi,
że gdzieś na świecie sto milionów dzieci żyje na ulicach.

Z PAMIĘTNIKAPAULA COOKA

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

"Dlaczego to się musiało przytrafić właśnie jej?

" - myślała Jessica, waląc do drzwi mieszkania Christine.

Oddwochniprzyjaciółka nie odbierała telefonów.

Teraz w dodatku chce otworzyć.

- Christine, to ja, Jessica.

- Zastukała jeszcze raz.

-No, otwórz wreszcie.

Wiem, że tam jesteś.

Sąsiadka, rozczochrana starsza kobieta z przerzedzonymi włosami,
wyrzała przez wąską szparkę, najakapozwalał zasunięty łańcuch.

Z wnętrza jej mieszkania dolatywały dźwięki ryczącego telewizora - teleturniej Dobra cena.

- Nikogo nie ma - odezwała się.

- Od paru dni nikt stamtąd nie wchodził.

- Alena dole stoi samochód - zwróciła uwagę Jessica.

- Nie powiedziałam, że nie, ale odkąd tamten chłopak ją zucił, nie widziałam tej dziewczyny na oczy

- Dziękuję pani za informację - wycedziła Jessica.

Oczy kobiety zwęziły się i zniknęły za drzwiami.

"Christine nie mogła przecież zrobić nic głupiego.

" Nasamą myśl serce jej się ścisnęło.

-Christine!

Natychmiast otwieraj!

Christine leżała na łóżku ubrana w dres.

Ostre słońce padało do pokoju przez częściowo zasunięte rolety.

Obróciła się, żeby spojrzeć na budzik.

Zbudziła ją walenie drzwi, ale w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest, dopóki nie spłynęła na nią z powrotem cała świadomość, nie49.

chciana i bolesna.

Dzisiaj, szczególnie dzisiaj, nie miała ochoty z nikim się widzieć.

Wychyliła się z łóżka i zbliżyła twarz do żarzących się cyfr na wyświetlaczu budzika.

Jęknęła, obróciła się na plecy i zakryła oczy ramieniem.

Była za piętnaście pierwsza.

Gdzieś w głowie majaczyły jej pozostałości pierwotnego planu dnia.

O tej porze nie miała leżeć w łóżku.

Miała stać w kościele ubrana w piękną suknię, z idealną fryzurą na głowie i idealnym mężczyzną u boku.

O tej porze byłaby już panią Christensen.

Znów usłyszała walenie do drzwi, a po nim głos Jessiki:

- Christine, jeżeli zaraznie otworzysz, dzwonię na policję.

- Już idę, idę!

- zawołała zachrypniętym głosem.

Wygramoliła się z łóżka i odgarnęła włosy z twarzy. W pokoju panował potworny bałagan: wszędzie leżały porzucane ubrania, puszki i styropianowe pojemniki po daniach na wynos.

Ostatni tydzień przetrwała w zasadzie tylko dzięki dietetycznej coli, chińskim zupkom i cukierkom lukrecjowym.

Jakoś do drzwi odsunęła łańcuch.

Na twarzy Jessiki malowała się ulga pomieszana z wściekłością.

- Dwanaście razy wczoraj do ciebie dzwoniłam.

- Przepraszam.

- Mogę wejść?

- Tak.

Jessica ze zgrozą rozejrzała się po pokoju.

Jak długo stała Christine, nigdy nie widziała jej mieszkania w takim stanie.

Jej przyjaciółka należała do kobiet wpadających w popłoch, gdy na dywanie nie widać było śladów wgnieceń odkurzacza.

- Kurczę, zupełnie jak u mnie.

- Jessica zamknęła zasobę drzwi i przytuliła Christine.

Ta położyła jej głowę na ramieniu i zaczęła płakać, najpierw po cichu, a potem coraz głośniejsze, aż zamieniło się to w szloch.

50

- Tak mi przykro, kochanie - powiedziała Jessica, głaszcząc ją po plecach.

- To strasznie niesprawiedliwe.

Gdy płacz Christine osłabł, Jessica odsunęła się nieco i spojrzała jej w twarz.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie.

Zobaczysz, jeszcze lossię odwróci.

- Odgarnęła jej włosy z czoła.

Kiedy ostatnio jadłaś?

- Nie wiem.

- O rany - westchnęła.

- Idź, weź prysznic.

Zabieram cię na lunch.

- Nie chcę nigdzie iść -jęknęła Christine.

-Wiem.

I dlatego właśnie cię wyciągam.

U Lorda i Taylor jest wyprzedaż.

Wszystko za pół ceny. Wiesz, że zakupy zawsze wyciągają cię z dołka.

- Uśmiechnęła się.

-Poza tym mam dla ciebie niespodziankę.

- Mam dosyć niespodzianek.

-Wiem, wiem, ale ta ci się spodoba.

To będzie miła niespodzianka.

Uwierz mi.

ROZDZIAŁ Piąty:

Kiedyś jedna z pacjentek zdradziła mi, że -wyprawa do supermarketu działa dwa razy skuteczniej niż prozac.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Kiedy Christine wróciła z sypialni, żaluzje w kuchni były podniesione, a okno otwarte.

Pomieszczenie wypełniło się światłem i świeżym, rześkim powietrzem.

Jessica nalała kawy do filiżanki i podała ją Christine.

- Wypij.

Tylko uważaj, jest dość mocna.

- Zachowujesz się, jakbym miała kaca.

- Wiem.

Christine pociągnęła pierwszy łyk i o mało się nie zakrztusiła.

- Co to ma być?

- U mnie w pracy nazywają to "paliwemodrzutowym".

- Są bardzo delikatni.

Jessica się roześmiała.

- No to mów, co robiłaś przez te ostatnie trzy dni, poza tym, że nie odbierałaś telefonów.

- Oglądałam telewizję - odparła Christine i rozejrzała się.

- Czemu otworzyłaś okno?

- Bo tu śmierdzi trzydniowym jedzeniem.

- Zimno mi.

Jessica zamknęła okno.

- Ładnie ci w tej bluzce.

To nowa?

- Nie, tylko dawno jej nie nosiłam.

Martinowi się nie podobała.

- Kolejny dowód, że jest idiotą.

- Spojrzała na zegarek.

- Chodźmy, skarbie.

Wyprzedza nie lubią czekać.

Było po trzeciej, gdy obie usiadły w zatłoczonej kawiarni centrum handlowego, obstawione torbami z zakupami.

W tle sączyła się lekka świąteczna muzyka.

Gdy tylko kelnerka oddaliła się, aby zrealizować zamówienie, Christine powiedziała:

- Uważam, że nie powinno się puszczać bożonarodzeniowych piosenek w październiku.

- W jednym sklepie widziałam tekturowego Frankensteiną w czapce Świętego Mikołają.

- Nie powinno tak być.

- Christine wypięła łyk wody Pochwilidodała - Dzięki, że mnie wyciągnęłaś z mieszkania.

- Nie ma za co.

Lepiej ci chociaż?

- Nie bardzo.

- Spojrzała Jessice w oczy.

- Jakie to upokarzające.

Chyba się zgłoszę do jakiegoś talk-show typu "Kobiety porzucone przed ołtarzem".

W tym momencie nadeszła kelnerka.

Kiedy stawiała nastoliku talerz z sałatką, Christine powiedziała:

- Przepraszam, ale prosiłam, żeby sos podać osobna. Kelnerka zmarszczyła brwi.

- To moja wina.

Przyniosę pani inną.

- Czy to malinowy winegret?

- Tak, proszę pani.

- Chyba jednak wołałabym samą oliwę z octem.

- Już się robi.

- Odwróciła się w stronę Jessiki - A z panizamówieniem wszystko w porządku?

- Jak najbardziej.

- Aha - dodała Christine.

- Czymogłabym zamiast cytryny dostać limonkę?

- Oczywiście.

Zaraz przyniosę.

Kelnerka zabrała talerz Christine i odeszła.

Jessica pokręciła głową niedowierzaniem.

- Kobieto, ależ ty jesteś wybredna.

- Po prostu lubię, kiedy wszystko jest podane tak, jak chcę.

- Wyjęła z torebki tubkę żelu antybakteryjnego, wycisnęła odrobinę na dłoń i wtarła w rękę.

- Długo chodziłyśmy po sklepach - wyjaśniła.

- Chcesz trochę?

- Nie.

Podejmę ryzyko.

54

Christine włożyła tubkę do torebki i uniosła do ust szklanę z colą.

- Coś zaczęłaś mówić.

- przypomniała Jessica.

Christine pokręciła głową.

- Całe życie hodujesz w głowie romantyczne fantazje.

Niespodziewasz się, żetwój rycerz zrzuci cię z konia dziesięćmetrów od zamku.

Nie mam pojęcia, coja takiego zrobiłam.

- Nic.

Tu nie chodzi o ciebie, tylkoo Martina.

Ten facetjeszcze się kiedyś opamięta.

- Uniosła szklanę.

-Pytanietylko, czy ty będziesz na tyle głupia,żeby go przyjąć z powrotem, kiedy wróci na kolanach, błagając o przebaczenie.

- Naprawdę myślisz,że wróci?

- spytałaChristine znadzieją wgłosie.

Jessica natychmiastpożałowałaśwych słów.

- Doprawdy Christine.

Martin nigdy nie był ciebie wart.

-Pociągnęła łyk.

- Zawsze cipowtarzałam, że ten facet to mięczak.

- Mówisz,jakby był jakimś beznadziejnym nieudacznikiem.

-Bo jest.

Christine zwilgotniały oczy

- Nieprawda.

On prezentuje wszystko, czego zawsze pragnęłam.

Gdyby w tej chwili zadzwonił i przyznał, że popełniłbłąd, umówiłabym się z nim w najbliższym urzędzie stanucywilnego.

Jessica skrzywiła się, ale nic nie powiedziała.

Po chwili Christine dodała:

- Myślisz,że ten bólkiedyś minie?

-Nieprędko, ale w końcu się pozbierasz.

Tylko że chowanie się w domu w niczym ci nie pomoże.

Im szybciej wróciszdonormalnego życia, tym wcześniej poczujesz się lepiej.

-Wyraz twarzy Jessiki raptowniesię zmienił.

- A właśnie.

-Sięgnęła podstół i wyjęła z torebki składaną ulotkę.

Położyła ją na blacie i rozprostowała kantem dłoni.

- Oto mojaniespodzianka.

55.

Christine spojrzała na ulotkę, nic nie rozumiejąc.

Był to folder turystyczny wydrukowany na błyszczącym papierze.

Na głównej fotografii widniały okrągłe, porośnięte bujną roślinnością wzgórza z fragmentami jakichś ruin.

Wśródkuwstawione było mniejsze zdjęcie, przedstawiającechłopcapasącego stadko lam o sierści w kolorze czekolady

- Co to jest?

-Machu Picchu - odparła Jessica.

- Po co mi topokazujesz?

Jessicaodchyliła się do tyłu, żeby wzmocnić wrażenie.

- Ponieważ tam się właśnie wybieramy.

-My?

- Zapisałam nas nawycieczkę.

Jest taka organizacja, która zabiera Amerykanów na misje humanitarne do Peru.

Pracuje się w wioskach, zakłada w dżungli szpitaledla tubylców, a w wolnym czasiemożna zwiedzać kraj.

Obejrzymyinkaskie ruiny, powspinamy się po Andach, pomieszkamywchatkach w amazońskiej dżungli.

Christine gapiła się na nią wytrzeszczonymioczami.

- W dżungli?

-Toniezapomnianeprzeżycie.

- Tak jak leczenie kanałowe.

Nie chcejechać dodżungli.

- Czemu?

-Posłuchaj, Jess.

Dla mnie wystarczającą przygodą jestnocleg w trzygwiazdkowym hotelu.

Jeśli mamy się wybraćna wakacje, jedźmy doPalm Beach.

- To nie będą wakacje.

Mówią, że w życiu nie napracujesz się tak ciężko jak tam.

-1 to ma byćatrakcja?

- Słyszałam, że najlepszym lekarstwem na złamane serce jest oddać je innym.

-Ja już swoje oddałam.

- Wiem,skarbie, wiem.

- Nachyliła się.

-Ale my tammy pomagac biednym sierotkom.

Będziemy pracować

56

z dziećmi.

- Uśmiechnęła się i nachyliła jeszcze bliżej.

-A typrzecieżuwielbiasz dzieci.

Christine skrzyżowała ręce na piersiach.

- Dlaczego ty zawsze usiłujesz mnie zmusić, żebym robiła to, czego nie chcę?

-Bo ty nigdy nie chcesz nic robić.

Zabardzo boisz sięzycia.

Przysięgam, gdyby nie ja, w ogóle nigdy byś nic nieprzeżyła.

- Nieprawda.

-Wymień choć jednąspontaniczną rzecz, którą zrobiłaśw tym roku, a do której bym cię nie zmusiła.

- Zareczyłamsię.

-To było spontaniczne?

Byliście ze sobą sześć lat.

- Pięć.

- Christinejeszcze razzerknęła na ulotkę.

-2rcszta i tak niemam pieniędzy

- O to się nie martw.

Tojużzałatwione.

Christine nie spodobałsię ten nieodwoławny ton vf gtosie przyjaciółki.

- Jak to "załatwione"?

-Twoja matka za wszystko zapłaciła.

- Mojamatka sięna to zgodziła?

-Przysłała mi czek.

- Nie staćjejna to.

-Chciała to zrobić dla ciebie.

Poza tym, wychodzi taniejniż urządzenie wesela.

- Byłoby miło, gdyby ktoś wcześniej spytał mnie ozdanie.

-Tak by się stało, gdybyśraczyła odbierać telefony - odparła cierpko Jessica.

- A co na to twoi rodzice?

- spytała Christine.

-Nie mająnic przeciwko temu, żebyś jechała?

- Żartujesz?

Pan kongresman o mało sam nie zaczął mmepakować.

Pomyśl tylko, ile punktówzyska u wyborców kiedy im opowie oswojej cudownej córeczce, która się udziela w organizacji humanitarnej.

57.

Wróciła kelnerka z sałatką dla Christine.

- Czy teraz dobrze?

Christine przyjrzała się talerzowi.

Kelnerka skierowała się na Jessicę, która posłała jej współczujący uśmiech.

- Tak, dziękuję.

- A tu dla pani miseczka limonek.

Życzę smacznego.

Christine wytarła skórę owocu serwetką, a potem wycisnęła go, przejeżdżając po krawędzi filiżanki.

- Nie masz pojęcia, przez co musiałam przejść, żeby to załatwić.

Już nie wspomnę, ile wolnego wzięłam w pracy. Ani mi się śni jechać samej.

- To zabierz kogoś innego.

- Nikogo innego nie biorę.

Robię to dla ciebie.

- Ja nie chcę jechać do Peru.

- A skąd wiesz?

Przecież nigdy tam nie byłaś.

- Nie byłam też nigdy w piekle, a jestem raczej pewna, że tam również nie chciałabym trafić.

- Co to ma wspólnego z piekłem?

- Dla mnie ma.

- Podaj mi choć jeden sensowny powód, dla którego tak się wzbuniasz.

- Proszę bardzo.

Choćby pająki.

- Pająki - powtórzyła jak echo Jessica.

- Miliony pajaków.

Są tak wielkie, że mogą złapać ptaka.

Jessica przyglądała się jej w zdumieniu.

- Skąd to wiesz?

- Oglądałam na Discovery. Poza tym są tam węże.

- Jesteś okropna - potrząsnęła głową Jessica.

- Ja? Wcale cię otonie prosiłam.

- Nie musiałaś.

Przyjaciele są po to, żeby się troszczyć o człowieka.

Ty po prostu nie wiesz, co jest dla ciebie dobre.

Christine uniosła ręce w geście bezradności.

- Ta znowu swoje.

Co mi z tego przyjdzie, że będę przez tydzień gniała w jakimś trzecim świecie?

58

- Bo to lepsze niż gnienie w Dayton i zadreżenie się, z ciebie rzucił facet.

Christine w milczeniu patrzyła naprzeciw siebie i w końcu się rozplakała.

- Przepraszam, nie chciałam cię okropnie - powiedziała Jessica.

Christine nie mogła wyrzucić słowa, a łzy leciały jej po policzkach.

Jessica wzięła ją za rękę.

- Wybacz, skarbie.

Christine wytarła oczy serwetką.

- Słuchaj, w niedzielę wieczorem jest spotkanie organizacyjne.

Pójdziemy dowiemy się, co i jak.

Wstrzymaj się decyzją tylko do tego czasu, dobrze?

Christine na chwilę spuściła wzrok, a potem głęboko westchnęła.

- Ale nic nie obiecuję.

- W porządku - odparła Jessica.

ROZDZIAŁ Szósty:

Aby lżej nam było dźwigać własne brzemie, najlepiej jest wziąć na siebie cudze.

Z PAMIĘTNIKAPAULACOOKA

Jessica pilnowała się, żeby nie poruszać tematu wyprawy do czasu spotkania organizacyjnego.

Po piętnastu latach przyjaźni wiedziała, że przekonanie Christine, aby zrobić coś wbrew swojej woli, bardzo przypomina łowienie ryb - należy popuścić żyłkę, by ofiara myślała, że kontroluje sytuację, a następnie powoli zwijać.

Christine wystarczająco długo rozważała sprawę wyjazdu, żeby nabrać pewności, iż nie chce jechać.

Spotkanie odbywało się w bibliotece miejskiej.

Gdy przyjaciółki wchodziły do budynku, Christine została zatrzymana przez jakąś kobietę, która właśnie go opuszczała.

Była to osoba wysoka i elegancka; miała na sobie różowy zakłeci pierścionek na każdym palcu.

- O, Christine, widzę, że już wróciłaś z podróży poślubnej.

Wybacz, że nie mogliśmy być na uroczystości, ale Chuck w ostatniej chwili dostał wezwanie z pracy i musiał wyjechać z miasta.

Na pewno było cudownie.

- Ślub został odwołany - odparła Christine ze stoickim spokojem.

Kobieta w pierwszej chwili przeżyła szok, ale zaraz przybrała współczującą minę.

- Moje biedactwo, tak mi przykro.

Dobrze się czujesz?

- Dziękuję, nic mi nie jest.

Kobieta objęła ją ramionami.

- Trzymaj się, słonko.

I powiedz mamusi, że do niej zadzwonię - powiedziała i odeszła.

- Nie wątpię - mruknęła Christine i zmarszczyła brwi.

- Kto to był?

- spytała Jessica.

61.

- Kobieta z klubu czytelniczego mojej matki.

Mogę się domyślić, jaki będzie temat najbliższej dyskusji: biedna, porzucona Christine.

- Świetny powód, żeby wyjechać do Dayton - powiedziała Jessica, zatrzymując się przy kobiecie, która układała książki na półkach.

- Przepraszam, nie wie pani, gdzie się odbywa spotkanie uczestników wyprawy do Peru?

Kobieta spojrzała ponad okularów i wskazała im drzwi podругiej stronie korytarza.

- Sala konferencyjna jest tam.

-Dzięki.

Na podwójnych drzwiach naprzeciwko biblioteki wisiała przyklejona taśmą kartka z napisem PUMA-CONDOR EXPEDITIONS.

W środku znajdowało się już kilkadziesiąt osób.

Była to różnicowana grupa, złożona z tyluż kobiet, co mężczyzn, w większości dwudziestoparoletnich, chociaż niektóre osoby wyglądały dopiero na licealistów.

Z przodu sali stał wysoki młody mężczyzna o wysportowanej sylwetce.

Szperał w otwartej aktówce.

Na głowie miał filcowy kapelusz, który upodabniał go do Indiany Jonesa.

Spojrzał na wchodzącą kobietę i podszedł się przywitać, niosąc w ręku plik szarych kopert.

- Dobry wieczór paniom.

Mam na imię Jim.

- Otaksował je szybko i zatrzymał wzrok na Jessice.

Jessica uśmiechnęła się zalotnie.

- Cześć, jestem Jessica, a to Christine.

-Ach tak, Jessica.

Rozmawialiśmy przez telefon.

Miło mi was wreszcie poznać.

- Zwrócił się do Christine: - Cieszę się, że postanowiłaś do nas dołączyć.

- Jeszcze nic nie postanowiłam - odparła.

Jim kiwnął głową.

- Cóż, może dzisiejsza prezentacja pomoże ci w podjęciu decyzji.

Tymczasem.

- Przewertował koperty -To są materiały dla ciebie, Jessico.

A to dla Christine.

Za chwilę wszystko po kolei omówimy.

- Zerknęła na zegar ścienny -Właściwie

wie to już powinniśmy zacząć.

Fajnie, że jesteście.

Zapowiadając świetną zabawę.

- Uśmiechnęła się tajemniczo do Jessiki i wrócił na miejsce.

- On jest boski!

- jęknęła Jessica, siadając na krześle.

-Czujesz?

Będziemy się włóczyć po gorącej, parnej dżungli z takim facetem.

Christine pokręciła głową.

- Super.

W takim razie nie będę ci już potrzebna.

- Pogadamy po spotkaniu - powiedziała Jessica.

Jim zamknął aktówkę, a potem stanął przodem do zebranych i oparł się o kant biurka.

- Ciągle brakuje paru osób, ale już zaczniemy; może się pojawią.

Bierwenidos.

Nazywam się Jim Hammer, jestem stanowym przedstawicielem organizacji Puma-Condor Expeditions i już ponad dwadzieścia razy byłem w Peru.

Na początek chciałbym wyjaśnić jedną rzecz: to nie są wakacje.

Powtarzam: to nie są wakacje.

Gdyby to przyrównało do reality show, będzie to raczej .

Wyprawa "Robinson" niż "Kawalerdo wzięcia".

Jeśli myślicie, że to luksusowy rejs i co wieczór znajdziecie czekoladki na poduszce, to trafiliście w niewłaściwe miejsce.

Tu i ówdzie rozległy się śmiechy. Jim z uśmiechem rozejrzał się po sali.

- Z własnego doświadczenia mogę wam powiedzieć, że większość z was straciła nawadze kilka kilogramów.

- To ja się zapisuję!

--zawołała kobieta siedząca za Christine.

Wywołało to salwę śmiechu wśród zebranych.

- Nie ma sprawy, Joan - powiedział Jim.

- Jeżeli jednak chcecie przeżyć przygodę, o której będziecie potem mogli opowiadać wnukom, to trafiliście w sam raz.

Czy to jest jasne dla wszystkich?

Zebrani przytaknęli, kiwając głowami bądź mruczając coś pod nosem.

- A ja lubię znajdować czekoladki na poduszce - szepnęła Christine.

63.

- Świetnie.

W takim razie zacznijmy.

Każdy zwas powinien mieć przed sobą coś takiego.

- Jimpomachał kopertą nad głową.

- W środku znajdziecie między innymi taki żółty formularz.

- Drugą ręką uniósł do góry kartkę papieru.

- To lista rzeczy, które musicie zrobić do drugiego grudnia.

Proponuję niczego nie odkładać, zwłaszcza spraw związanych z paszportem.

- Spójrz, Chris - szepnęła Jessica.

- Lista.

Ty uwielbiasz takie listy

- Zamknij się.

Jim wyjął następną kartkę.

- Jasnoniebieski formularz to karta szczepień.

To dla waszego dobra.

Napobyty trwający poniżej dwóch tygodni władze peruwiańskie nie wymagają świadectwa szczepień, ale my od was wymagamy, żebyście mieli aktualne szczepienia przeciwko tężcowi oraz żółtaczce typu A i B.

Pryszczaty młodzieniec siedzący w pierwszym rzędzie podniósł rękę.

- A co z malarią i żółtą febrą?

- Najedno i drugie można się zaszczepić, ale to już zależy od was.

Prawdę mówiąc, te choroby występują rzadko. W Cuzco i w Andach nie będzie problemu, bo to za duże wysokości dla komarów, ale w dżunglicy w Puerto Maldonado zakażenie jest możliwe.

W czasie moich dwudziestu z górą wypraw nigdy się taki przypadek nie zdarzył, ale ryzyko istnieje zawsze.

Proponuję skonsultować się z lekarzem.

Muszę was jednak ostrzec, że leki przeciwmalaryczne często wywołują objawy przypominające chorobę.

Nie wspominając o halucynacjach.

- Cudownie.

Nie dość, że pająki, to jeszcze malaria - odezwała się Christine.

Jim wziął ze stołu kolejną kartkę.

- Różowy formularz to listy rzeczy, które musicie ze sobą zabrać.

Bagaż ma być lekki.

Bardzo lekki.

Możecie mieć przy

64

sobie tylko jedną podręczną torbę, bo resztę dozwolonego bagażu wykorzystamy na przewiezienie zaopatrzenia.

- Jedna torba na dziesięć dni?

- oburzyła się jakaś kobieta.

- A nie można by tych rzeczy wysłać statkiem?

- Nie bardzo.

Transport do Peru jest utrudniony.

Urzednicy mogą skonfiskować rzeczy w czasie odprawy celnej i zażądać opłat.

Poza tym, wierzcie mi, w dżungli nie będzie wam potrzebne sześć par butów.

No dobra, wyjmijcie teraz te trzybiałe, spięte kartki.

To jest program całej wyprawy. Nastąpił kilka zmian w stosunku do

pierwotnego planu, więc proszę pamiętać, że tylko ten jest aktualny i obowiązujący -

Na ustach Jima pojawił się leciutki uśmiech.

- Chyba że znowu się coś zmieni.

Przygotowywanie wyprawy do Peru przypomina organizowanie wesela na wolnym powietrzu.

Można zaplanować każdy szczegół, a i tak pogoda może wszystko zepsuć.

- Albopan młody - dodał szeptem Christine.

Jessica w geście otuchy poklepała ją po udzie.

- Wyprawa potrwa dziesięć dni.

Trzeciego grudnia wieczorem wylatujemy z lotniska w Cincinnati i wracamy w samraz na święta.

To, jak dotrzecie na lotnisko, zależy już od was.

W miarę możliwości sugerowałbym wspólny dojazd samochodem.

Z Cincinnati udamy się prosto do Limy. Będziemy tam około wpół do ósmej rano.

Odprawa paszportowa i odbiór bagażu zajmą nam mniej więcej godzinę, więc chociaż będziecie podekscytowani tym, co was czeka, radziłbym się wyspać w samolocie.

Pozostaniemy jakiś czas na lotnisku.

Około południa mamy lot do Cuzco, więc na parę godzinie opłaca się rezerwować hotelu.

Dobra wiadomość jest taka, że w Limie jest tylko godziną do tyłu względem naszego czasu, więc nie stracie zbyt wiele snu.

Na lotnisku też coś zjemy. W Cuzco będziemy około pierwszej.

Po odebraniu bagażu wynajęty autobus zawiezie nas do hotelu.

Dotego czasu wszyscy będziecie już niezłe zmęczeni, więc nocleg się przyda.

Wieczorem macie czas dla siebie.

Można po 65.

zwiedzać miasto.

Następnego dnia czeka nas pierwsze zadanie: praca w sierocińcu El Girasol, co po hiszpańsku znaczy "Słonecznik".

- Podniosłoczy znalazł kartki.

- Na liście rzeczy dowiedzieliście zauważyliście pewnie punkt, w którym sugerujemy zabranie ze sobą zabawek i dziecięcych ubrań.

Zbliżając się święta, poproszono więc nas, żebyśmy przywieźli prezenty dla wychowanków sierocińca.

Oczywiście to jest całkowicie dobrowolne, ale jeśli ktoś jest zainteresowany, to na liście znajdzie kilka propozycji oraz rozmiary ubrań.

- Ponownie spojrzę na plan.

- Tego pierwszego dnia będziemy zajęci do późnego popołudnia, a potem wracamy do Cuzco, jemy obiad i zwiedzamy okolicę. Pewnie będziecie trochę zmęczeni po pracy, ale wieczór należy do was.

- Słyszałaś, Chris?

Słonecznik - powiedziała Jessica.

- To znak.

- Przez następne dwa dni również będziemy pracować w Słoneczniku, ale trzeciego dnia z samego rana wyruszamy autobusem do Świętej Doliny Inków. Noc spędzimy w Urubambie, a następnego dnia pociągiem pojedziemy do Aguas Calientes i Machu Picchu.

To miejsce, którego nie zapomnicie do końca życia.

Tam spędzimy cały dzień, a na jutro wrócimy pociągiem do Cuzco.

Wieczorem się rozerwiemy.

Są tam kluby, nocny targ, a dla tych, którzy lubią sobie poszaleć, jest nawet całkiem niezły dyskoteka.

- Super!

- wyrwało się Jessice, nieco głośniejszym niż zamierzała.

Wszyscy odwrócili głowy w jej stronę.

- Już widzę, gdzie będzie największa impreza - uśmiechnął się Jim i wrócił do notatek.

- Wczesnym rano wymeldujemy się z hotelu i pojedziemy do Puerto Maldonado.

To jest niewielkie miasteczko w dżungli.

Tam czeka nas dzień pracy w szkole podstawowej.

O ile wiem, chodzi o remont łazienki.

Następnego dnia rano pojedziemy autobusem do Laberinto, gdzie wsiądziemy na łódź, którą popłyniemy przez Amazonkę.

Rejs potrwa około czterech i pół godziny.

Po drodze zatrzymamy się w wiosce zamieszkałej przez plemię Amaryre, żeby dostarczyć im książki.

Spodobałam się tam.

Będziecie się czuli jak odkrywcy z "National Geographic".

Wódz plemienia nosi kość w nosie.

Nie zostaniemy tam długo, bo musimy dotrzeć na kemping, zanim zrobi się ciemno.

Wierzcie mi, chodzenie nocą po dżungli to średnia przyjemność.

- Rozejrzał się po sali i widząc zdenerwowanie natwarzach, uśmiechnął się.

- Nie bójcie się, jeszcze nigdy nikogo nie zgubiliśmy

- Fantastycznie, nie?

- powiedziała Jessica.

- O tak.

Bardzo.

- Na brzegu zostawimy łódź i dalej będziemy wędrować przez dżunglę.

To nie będzie długi spacer: jakieś dwadzieścia minut.

Podrugiej stronie, na brzegu jeziora Huitoto będą nas czekały czółna.

Dopłynięcie do Makisapa Lodge zajmie kolejne czterdzieści minut.

Tam zostaniemy trzy dni.

Wierzcie mi, po ciężkiej pracy męczącej podróży, będziecie szczęśliwi, że wreszcie możecie odpocząć.

Jakiś młody człowiek zgłosił się z pytaniem.

- A co tam można robić?

- Donajciekawszych rozrywek w dżungli należy polowanie na krokodyle, obserwowanie ptaków, łowienie piranii, noi pieszewycieczki, ale tylko w grupie. To jest jednak dżungla i żyją w niej jaguary, anakondy i całe mnóstwo paskudnych gatunków żmij.

Tam nawet żaby motylesajadowite.

- Znowu się uśmiechnął.

- Duża frajda, mówię wam.

Christine podniosła rękę.

- Tak, Christine?

- Czy są tam pająki?

- Są.

Tak wielkie, że mogą schwytać ptaka.

Po sali przeszedł jęk.

Christine trąciła Jessicę łokciem.

Ta zrobiła dzielną minę.

- Ale ja bym się nimi nie przejmował.

Tak jak w wypadku większości dzikich zwierząt, jeżeli zostawimy je w spokoju, one też nam nic nie zrobią.

- Znowu się uśmiechnął.

- Chyba że będą głodne.

67.

Znowu rozległ się jęk.

- Czy ktoś jeszcze chciałby o coś zapytać?

Zgłosiła się kolejna osoba.

- Jaka tam panuje pogoda?

- Dobre pytanie.

Peru leży na południe od równika, więc u nich będzie wtedy lato.

Ubić się odpowiednio.

Ponieważ to również pora deszczowa, weźcie ze sobą peleryny albo nieprzemakalne kurtki.

No i będziemy przebywać wysoko w Andach, więc przydadzą się ciepłe bluzy albo lekkie kurtki.

- I wszystko ma się zmieścić w jednej torbie.

- Odezwała się Christine.

- Są jeszcze jakieś pytania?

Nik się nie odezwał.

- No dobrze.

Przygotowałem dla was małą prezentację PowerPointa.

Chciałbym, żebyście zobaczyli, dlaczego wszystko robimy. Mogę prosić o zgaszenie światła?

Kiedy zrobiło się ciemno, Jim włączył rzutnik.

Pięciominutową prezentację stanowił pokaz zdjęć z poprzednich wypraw.

Można było zobaczyć, jak grupy Amerykanów pracują ramię w ramię z Peruwiańczykami przy budowie szklarni i toalet, kopaniu rowów pod wodociągi i malowaniu szkolnych klas.

Indianie Keczua, ubrani w jaskrawe, ręcznie barwione poncze i czarne kapelusze, stali w andyjskim śniegu w sandałach zrobionych ze starych opon.

Wszystkich rozbawił widok małego chłopca, który prezentował swoje nowe okulary, promieniejąc z dumy, jakby co najmniej zdobył złoty medal.

Na innym slajdzie pokazano grupkę Amerykanek kąpiących niemowlęta.

Na koniec wyświetliła się seria zdjęć małych dzieci śpiących w bramach lub zebranych na ulicach.

Ich ciemne oczy były zupełnie pozbawione wyrazu.

Prezentację zilustrowano muzyką, co dało bardzo sugestywny efekt.

Kiedy zapalono światła, większość obecnych chciała, żeby Jessica podała Christine chusteczkę.

68

Jim wrócił do biurka.

- Na tym to właśnie polega.

Dajemy wam okazję, żebyście spróbowali odnaleźć siebie poprzez zatracenie się w służeniu innym.

Mam nadzieję, że za parę tygodni spotkamy się w komplecie.

Macie mój numer.

Gdybyście chcieli o coś spytać, dzwońcie.

Jeśli nie, to do zobaczenia na lotnisku.

Punktualnie.

Kiedy uczestnicy spotkania zbierali się dowyjścia, Christine, wciąż pociągając nosem, powiedziała:

- Jadę.

Jessica spojrzała na nią.

-Co?

- Powiedziałam, że jadę.

Jessica się uśmiechnęła.

- Nie będziesz żałować.

Gdy sala opustoszała, Jessica przystanęła, żeby porozmawiać zJimem.

- Udało się - powiedziała.

- Christine beczała jak dzieckaJim uśmiechnął się triumfalnie.

- Ten pokaz zawsze działa.

ROZDZIAŁ Siódmy:

Zawsze gdzie jest zima.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

-Strasznie się cieszę, że uciekniemy od zimy - powiedziała Jessica.

Przy włączonym na maksimum ogrzewaniu jeepea trudno było uwierzyć, że gdzieś na świecie trwa właśnie lato.

- Wrócimy opalone, kobieto.

- Fajnie - odparła cicho Christine.

Jessica spochmurniała i odwróciła głowę.

Przyjaciółka prawie całą drogę milczała.

Czyżby żałowała swojej decyzji?

Ale ta melancholia wynikała z innych przyczyn.

Martin wciąż się nie odzywał i Christine zaczęła wątpić, czy on wogóle wie o jej wyjeździe i czy go to cokolwiek obchodzi.

Jessica zaparkowała na strzeżonym parkingu przy lotnisku.

Wyjęły z samochodu podręczny bagaż i popędziły do hali odlotów.

Tuż przy wejściu natknęły się na Jima, stojącego w otoczeniu stosów używanych walizek, plecaków i wielkich marynarskich worków.

W rękę trzymał notatnik, który na ich widok podniósł do góry.

Jessica się rozpromieniła.

- Cześć, przystojniaku.

Uśmiechnął się do niej.

- Zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie zmieniliście zdania.

- Nie ma takiej możliwości - powiedziała Jessica.

Christine nie miała tak radosnej miny.

- Jeszcze się będziesz cieszyć, że wyjechałaś - zapewnił ją Jim.

- Cały czas sobie powtarzam, że robię to tylko dla tych dzieci.

- Co to zaworki?

- spytała Jessica.

71.

- Zaopatrzenie.

Mamy tu zestawy do higieny osobistej, okulary, książki, koce, lekarstwa; wszystko, co nam będzie

potrzebne.

- Możemy ci jakoś pomóc?

- spytała Christine.

- Nie.

Bagażowy zaraz tu będzie.

Musicie się zgłosić do odprawy, a potem przejść do terminalu B.

Pamiętajcie, że najpóźniej o wpół do jedenastej macie być przy bramce czterdzieści dwa.

Na pokład wejdziemy razem.

- To na razie - powiedziała Jessica.

- Hasta luego - odparł Jim.

- Hasta co?

- To znaczy "do zobaczenia" - wyjaśniła Christine.

Christine nigdy nie wyjeżdżała za granicę i stojąc teraz na międzynarodowym lotnisku wśród tłumu ludzi mówiących w obcych językach, czuła narastający niepokój przednieuchronnym szokiem kulturowym.

W oczekiwaniu na odlot zwiedzały lotniskowe sklepy Christine kupiła sobie romans w kieszonkowym wydaniu oraz awiominerale, który natychmiast zażyła, Jessica natomiast napełniała torebkę słodyczami i kolorowymi czasopismami.

Pół godziny później pod bramkę dotarł Jim i cała grupa zebrała się wokół niego.

Szybko przejrzał listę.

- Brakuje Bryana Davisa i Kenta Wooda.

Czy ktoś wie, dokąd mogli pójść?

Jakaś dziewczyna podniosła rękę.

- Poszli do drugiego terminalu kupić chińszczyznę.

Jim pokręcił głową i westchnął.

- ¡Ay!

caramba.

Posłuchajcie: musimy zawsze trzymać się razem, to bardzo ważne.

Zwłaszcza kiedy już się znajdziemy w Peru.

Wsiądźcie do samolotu, a ja pójdę ich poszukać.

Dziewczyny weszły na pokład Boeinga 737 razem z pozostałymi uczestnikami. Przypadły im miejsca w tylnej części samolotu: Jessica usiadła przy oknie, a Christine w środku.

Od strony przejścia siedziała drobna, siwa Peruwianka.

72

Christine spojrzała na zegarek.

- Co będzie, jak Jim nie zdąży?

- Wtedy się będziemy zastanawiać.

Nie martw się na zapas.

Niespełna kilka minut po planowanej godzinie odlotów kabinie pojawił się Jim,

ciągnąc zasobą dwóch zawstydzonych młodzieńców.

Gdy tylko samolot oderwał się od ziemi, Jessica wyjęła Poda, założyła słuchawki, oparła poduszkę o okno i usadowiła się wygodnie w fotelu, zamykając oczy. Christine przeglądała gazetę, ale wkrótce zaczął działać aviomarin, zasnęła więc oparta o ramię przyjaciółki.

Godzinę później obudziła ją Peruwianka, tarmosząc za rękę i mówiąc coś po hiszpańsku.

Dopiero po minucie dziewczyna zgadła, o co tamte chodzi.

Stewardessa roznosiła posiłki i kobieta uznała, że Christine powinna o tym wiedzieć.

Podziękowała Peruwiance i zamknęła oczy. Męczyła się prawie godzinę, zanim znów udało się jej zasnąć.

Trzy i pół godziny później pilot oznajmił przez głośniki, że właśnie podchodzą do lądowania na lotnisku Jorge Chaveza w Limie.

Komunikat powtórzono w języku hiszpańskim i peruwiańscy pasażerowie zaczęli bić brawo.

Dwadzieścia minut później klaskali po raz drugi, kiedy samolot dotknął ziemi.

Podróżni wysiedli i skierowano ich do punktów kontroli paszportowej.

Już przechodząc przez rękaw, Christine odczuła ciepło i wilgoć peruwiańskiego powietrza.

Przy okienku urzędnika imigracyjnego Jim sprawdzał notatnikiem, czy wszyscy są.

Wyraźnie widać już było napięcie związane z pilotowaniem tak licznej grupy ludzi.

- Każdy z was weźmie teraz dwie torby z zaopatrzeniem i przeniesie przez odprawę celną.

Są w widoczny sposób oznaczone pomarańczowymi nalepkami z logo organizacji.

Nie ma znaczenia, które weźmiecie, byle tylko po dwie.

Po odprawie bagaże zabiorą od was dwaj mężczyźni i pójdą zarejestrować na nasz następny lot.

Wypożyczacie

73

L.

w hali.

Nigdzie się nie rozchodźcie, ponieważ do odlotu zostało tylko kilka godzin.

Nie opuszczajcie lotniska - podkreślił znaciskiem, spoglądając wymownie na dwóch chłopaków, przez których opóźnił się lot.

Następnie rozdał wszystkim formularze deklaracji celnej.

Kiedy podszedł do Christine, ta zapytała:

- Jak się bawisz?

- Łatwiej byłoby upilnować stadokotów.

- Przespałeś się choć trochę?

- spytała Jessica.

- Nigdy nie śpię podczas takich wypraw.

A wy?

- Ja spałam jak zabita.

- A ja prawie wcale - dodała Christine.

- Nadrobisz to w Cuzco.

A przy okazji: teraz jest dobry moment, żeby wymienić walutę.

Kurs na lotnisku jest korzystniejszy niż w hotelach.

- Ile powinnyśmy wymienić?

- Jakies pięćdziesiąt dolarów.

Na razie wystarczy

W czasie gdy Jim pilnował grupowych maruderów, Jessica i Christine przeszły kontrolę paszportową, zdjęły z taśm cztery walizy i przeniosły je przez odprawę celną.

Zgodnie z zapowiedzią, przed halą stało dwóch Peruwiańczyków: obaj młodzi, ubrani w białe koszulki bez rękawów, levisy i adidas. Mieli z sobą wózek bagażowy, a jeden z nich trzymał górze tabliczkę z napisem PUMA-CONDOR EXPEDITIONS. Jessica i Christine zostawiły im bagaże i wróciły do hali.

Wymieniły pieniądze i zaczęły się przechadzać w oczekiwaniu na resztę uczestników.

Nadszedł Jim i zaprowadził wszystkich do innej bramki, przez którą dostali się do mniejszego samolotu.

Okolo pierwszej po południu wylądowali w Cuzco.

Zanim jeszcze otwarto drzwi samolotu, Christine zaczęła odczuwać skutki przebywania na dużej wysokości.

Rozboliła ją głowa; miała wrażenie, że za chwilę eksplodują jej zatoki.

Temperatura była wyjątkowo niska jak na tę porę roku,

74

znacznie niższa niż w Limie, kiedy więc szli w stronę parkingu, Christine objęła się ramionami.

Przystanąła, żeby się rozejrzeć.

Lotnisko w Cuzco było dużo mniejsze niż to międzynarodowe w Limie, ale stosunek liczby obcokrajowców do miejscowych był wyższy. Jako serce i kaskiej cywilizacji, Cuzco nieustannie przyciąga rzesze zagranicznych turystów.

Na środku parkingu stał wielki betonowy obelisk zwieńczony brązowym popiersiem patrona lotniska.

Dookoła wisiało mnóstwo billboardów z reklamami laptopów i telefonów komórkowych, wszystkie w języku hiszpańskim.

Z jednej strony lotniska znajdowało się boisko do piłki nożnej, a z drugiej, niedaleko postoju autobusów, stał rząd drewnianych straganów z wyrobami miejscowego rękodziela.

Jessica poszła obejrzeć, a Christine przysiadła na krawężniku i obserwowała, jak pakują jej bagaż do autobusu.

Zawroty głowy się nasiliły, przyłożyła więc dłoń do skroni.

Jim podszedł do niej i usiadł obok.

- Jak się masz?

- Dobrze.

- Nadal zmęczona?

- Boli mnie głowa.

- To pewnie choroba wysokościowa.

Jesteśmy prawie trzydzieści kilometrów nad poziomem morza.

- Po chwili dodał: - Dam ci coś, co ci pomoże.

- Podniósł się i przeszedł nad drugi koniec parkingu, do kobiety w białym kapeluszu i kolorowym stroju Indian Keczua.

Wręczył jej monetę, a ona zamianała mufoliowy woreczek wypełniony ciemnozielonymi liśćmi.

Przyniósł go Christine.

- Masz.

- Co to jest?

- spytała, przyglądając się zawartości woreczka.

- Liście koki.

- Koki?

Tej, z której się robi kokainę?

75.

- Roślina jest ta sama, ale z tego parzy się herbatę.

Ułatwia aklimatyzację.

W hotelu dostaniesz gorącą wodę.

Christine nieufnie spojrzała na liście.

- Nie bój się.

Nie wyrzucą cię z pracy za branie narkotyków.

Udał się w stronę autobusu i wszedł do środka, żeby zamienić parę słów z kierowcą.

W tym momencie wróciła Jessica w wielobarwnej chustce na ramionach.

Zauważyła woreczek w ręku Christine.

- Co to, kokaina?

- Herbatka - odpowiedziała Christine.

- Chętniebym spróbowała.

- Podzielę się z tobą.

Jessica uniosła ręce do góry i okręciła się na pięcie, powiewając chustą.

- Jak ci się podoba?

- Ładna.

- Kosztowała tylko pięćdziesiąt soli.

Jim wyszedł z autobusu.

- Jedziemy!

- zawołał.

Pół godziny później autobus zajeżdżał pod hotel Yilandre.

Pasażerowie wypełnili niewielkie halle.

Christine była zmęczona i źle się czuła, położyła się więc na sofie, a tymczasem personel hotelu rozdawał klucze do pokoi.

Jessice i Christine dostał się pokój na trzecim piętrze.

W hotelu była tylko jedna winda, poszli więc na górę schodami.

Jessica otworzyła drzwi, ale zatrzymała się w progu.

- Przygotuj się.

- Na co?

- Tu jest okropnie.

Pokój był średniej wielkości, urządzone w surowym i przestarzałym stylu.

W oknach wisiały spleśniałe, jasnobrązowe zasłony, a różowawy, powycierany dywan czasy świetności dawno już miał zasobę.

Podłoga wyglądała na dębową, lecz deski były porysowane i wyszczerbione.

Dwa pojedyncze

76

łóżka przykryte narzutami w odcieniu burego brązu, także w kilku miejscach przetartymi.

Między łóżkami stała prosta, drewniana szafka nocna.

Christine rozejrzała się dookoła.

- No cóż, nie spodziewałam się, że to będzie Four Seasons.

Weszła do środka, rzuciła torby na łóżko i otworzyła je.

Wyjęła kilka ubrań i powiesiła w szafie, potem położyła na narzucie własną poduszkę.

Z wewnętrznej kieszeni wyciągnęła bransoletkę, kucnęła i zapięła ją wokół nogi

łóżka.

- A to co?

- spytała Jessica.

- Mówili, żeby przywieźć obroże przeciwpchelne.

Jessica wybałuszyła oczy.

- To nie wygląda jak obroża przeciwpchelna.

Podeszła bliżej.

- Była brzydka.

Ponaklejałam kryształ górskie.

- Christine wyjęła jeszcze trzy obroże i przymocowała je do pozostałych nóg łóżka.

Jessica zaczęła się śmiać, że się przewróciła na posłanie.

Christine zacisnęła usta.

- Przestań się ze mnie nabijać.

Kiedy Jessica wreszcie dołała się opanować, otarła łzy z twarzy i powiedziała:

- Przepraszam, ale jesteś jedyną swoim rodzaju.

Nie znam drugiej kobiety, która zmywałaby mopem klepisko.

- Miło mi, że dostarczam ci tyle uciechy - odparła sztywno Christine.

Przysiadła na krawędzi łóżka i położyła się.

Materac był twardy i załatywał się chłizną.

Jessica podeszła do okna i odsunęła zasłony. W dołerozciągały się czerwone dachy miasta.

Między domami, niczym gigantyczne pajęczyny, rozpięte były sznury z bielizną.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę jesteśmy - powiedziała.

Nagle rozległ się wrzask Christine.

Jessica błyskawicznie się odwróciła.

77.

-Co się stało?

Christine pokazywała palcem kąt pokoju.

- Tam coś jest.

Jessica spojrzała wewskazane miejsce.

Na ścianie siedziała oliwkowozielona jaszczurka.

Dziewczyzna odetchnęła z ulgą- Jezu!

Myślałam, że tarantula albo coś.

To zwykły gekon.

- Podeszła bliżej, żeby mu się przyjrzeć.

-One przynoszą szczęście.

- Niemogę spać w pokoju, po którym biegają jaszczurki.

-Nie możesz czy nie chcesz?

- Jedno i drugie.

-One są niegroźne.

Poza tym zjadają pająki.

- Bardzo pocieszające.

-Przestań być taka strachliwa.

- Przyjechałam tu tylko ze względu na te dzieci - powiedziała Christine, kładąc się z powrotem na łóżku.

Jessica usiadła na swoim.

Zaskrzypiały sprężyny

- Wybieram się zwiedzić miasto.

Idziesz ze mną?

- Muszę się wyspać.

Kiedy wrócisz?

- Nie wiem.

Jim zaprasza wszystkich na kolację.

- O której?

-O piątej.

Spojrzała na zegarek.

Dochodziła druga.

- Gdzie się spotykamy?

-Restauracja mieści się przy głównym placu miasta.

Zapiszę ci adres.

- Wstała i na odwrocie biletu lotniczego nagryzła nazwę i adres lokalu.

-Jak przyjdzie czas, nadole na pewno zjawi się więcej osób z naszej grupy. Zabierz się z nimi.

- Dobra - odparła Christine, przewracając się na drugi bok.

- Do zobaczenia na miejscu.

Jessica przystanąła w drzwiach.

- O piątej.

-O piątej.

78

- Zamówić ci budzenie?

-Nie.

- Lepiej załóż tę obrożę przeciwpchelną na szyję, może cię ochroni przed gekonem.

-Idź już.

Jessica wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- To pa.

Drzwi się zamknęły Christine obróciła się na bok i tuląc do siebie poduszkę, usnęła.

ROZDZIAŁ Ósmy:

Chociaż zawsze starałem się żyć według planu, wszystkie przełomowe momenty w moim życiu były wynikiem przypadku.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Gdy Christine się przebudziła, przez zasłony sączyło się pomarańczowe światło.

Odrąz spojrzał w miejsce, gdzie wcześniej siedziała jaszczurka.

Gdy tkwił tam nadal, co Christine przyjęła z ulgą z dwóch powodów: po pierwsze, wiedziała, gdzie zwierzę jest, a po drugie, uznała, że tak ospale stworzenie nie może być bardzo groźne.

Zerknęła na zegarek.

Było już pięć po piątej.

Uczesała się, złapała torebkę i zbiegła na dół nadziei, że da jej się zastać jeszcze kogoś z grupy Hol był pusty, jeśli nie liczyć sprzątaczkę, która z plastikową butelką w ręce spryskiwała rośliny.

Christine podeszła do kontuaru zagadnęła recepcjonistę, który coś sobie notował.

- Przepraszam pana.

Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

- Słucham, señorita.

- Czy ta restauracja jest daleko stąd?

- Podala mu biletz adresem.

Rzucił okiem i powiedział:

- Na piechotęza daleko, ale taksówką nie tak bardzo.

To jest przy głównym placu.

- A ile może kosztować taksówka?

- Myślę, że jakieś dwa sole.

- Dwa sole?

- Tak.

Ma pani naszą walutę?

- Coś tam mam.

Wysypała garść monet i zaczęła w nich grzebać.

- To ta - powiedziała recepcjonista, wyławiając z kupki srebrny krążek.

- Potrzebne będą takie dwie.

Iniech pani

weźmie jeszcze to.

- Podał jej wizytówkę hotelu.

- Na wypadek, gdyby się pani zgubiła.

- Dziękuję - odpowiedziała Christine, chowając pieniądze i wizytówkę do kieszeni.

- A gdzie najlepiej złapać taksówkę?

- Na ulicy, señorita.

Nie była pewna, czy recepcjonista sobie z niej żartuje, ale że dobrze patrzyło mu z oczu, podziękowała i wyszła z hotelu.

Powietrze na zewnątrz było ciepłe, wilgotne i wypełnione odgłosami ruchu ulicznego: kłopotem starych aut, wyciemmotocykli oraz nieustającym trąbieniem klaksonów jednych i drugich.

Kilka metrów od wejścia do hotelu młody człowiek trzepał dywan o słup latarni.

Christine natychmiast została ze wszystkich stron zaatakowana przez ulicznych sprzedawców zachwalających swój towar.

Przystanąła, żeby pooglądać.

Mieli tam małe pluszowe lamy, swetry i czapki z alpaki oraz srebrną biżuterię z turkusami, ułożoną na długich tackach wyściełanych czarnymksamitem.

Przykucnęła nad jedną z nich i wzięła doręki parę srebrnych kolczyków.

Nagle ktoś na nią wpadł.

Obejrzała się i zobaczyła małego, rozczochranego chłopca, który właśnie wyciągał rękę z jej torebki.

Miał jej portfel.

- Hej.

Chłopak rzucił się do ucieczki.

W tym momencie z tłumu wynurzył się mężczyzna i chwycił go w pół, unosząc w powietrze.

Ruszył w stronę Christine.

Kiedy znaleźli się przyniej, powiedział do dziecka:

- Devuelveselo a la señorita'.

Chłopak nerwowo strzelał oczami na prawo i lewo.

W końcu, wystraszony, oddał swój łup.

Oddaj to tej pani.

82

- Gracias - powiedział mężczyzna.

Delikatnym ruchem wyjął portfel z rąk chłopca i wręczył Christine.

Ta schowała go z powrotem do torebki.

- Muy bien.

Ahora vete - powiedział mężczyzna do chłopca.

Postawił go na ziemi i dzieciak zniknął w tłumie niczym ryba wypuszczona do strumienia.

Christine przyglądała się nieznajomemu.

Miał na głowie podniszczony skórzaną kapelusz, spod którego opadały na ramiona długie włosy koloru kawy. Na szyi wisiał mu rzemyk, który zniknął w rozcięciu

koszuli.

Oczymężczyzny byłyniebieskie i przenikliwe, aspalona słońcem skóra prawie takciemnajak kapelusz.

Choć twarz pokrywał mu szorstki, kilkudniowy zarost, było w niej coś chłopięcego.

Domyśliła się, że to pewnie Amerykanin, Europejczyk lub może Australijczyk, chociaż wcale nie wyglądał na przyjeźdnego.

Patrząc na niego, Christine poczuła się nagle skrępowana.

- Mówi pan po angielsku?

- spytała.

- Si, señorita - miły uśmiech złagodził surowy wyraz jego twarzy.

- Wszystko w porządku?

- Miał amerykański akcent

- Tak.

Dziękuję panu.

- Nie ma za co.

Wpatrywała się w niego, chcąc jeszcze coś dodać, ale nie bardzo wiedziała, co.

Od tego mężczyzny była jakaś energia, która ją zaintrygowała.

- Dlaczego pozwolił mu pan uciec?

- W Peru obowiązują bardzo restrykcyjne przepisy, jeśli chodzi o ulicznych złodziejaszków - odparł.

- Natychmiast po złapaniu należy ich puścić wolno.

- Christine zorientowała się, że mężczyzna żartuje i uśmiechnęła się.

On odpowiedział tym samym.

- Mogę jakoś pani pomóc?

Gdzieś podwieźć?

- zapytał.

- Właśnie miałam szukać taksówki.

- Pozwoli pani.

- Stał przy krawężniku i wystawił rękę w kierunku nadjeżdżających aut.

Natychmiast zatrzymał się przy nim niewielki samochód.

83.

Christine podeszła do auta.

- Dziękuję.

- ¿A dónde va?

- zapytał kierowca.

- ¿Dónde quiere ir?

- przetłumaczył Amerykanin.

Wyjęła bilet.

- Tutaj.

To restauracja.

Mężczyzna spojrzął na adres i powiedział do kierowcy:

- La señorita va al restaurante Inca Wali en la Plaza de Armas.

- Odwrócił się do niej.

- To pan zapewne przyjechała z którąś grup Jima Hammera.

- ¿Jima?

- Bardzo dobrze.

On uwielbia tę restaurację.

Radzę spróbować cuy.

- ¿Cuy?

- To miejscowy przysmak.

- Dziękuję.

Zapamiętam.

Mężczyzna otworzył przed nią drzwiczki samochodu.

Kiedy wsiadła, powiedział do kierowcy:

- Señor, el restaurante está al norte de la Plaza de Armas.

Gracias.

- I zwrócił się do Christine: - Wie, dokąd jechać.

- Dziękuję panu - powtórzyła raz jeszcze.

- Nie ma zaco - powiedział.

- Hasta luego.

- Zatrzasnęła ją drzwiczki oddalił się, a taksówkaruszyla, wtapiając się w uliczny ruch.

Christine czuła się nieco oszołomiona potym całym incydencie i obejrzała się, ale mężczyzny już nie było.

Hasta luego.

Czy rzeczywiście jeszcze się spotkają?

Taksówka przepychała się przez zatłoczone ulice, a Christine siedziała wygodnie rozparta.

W samochodzie nie było pasów bezpieczeństwa; zważywszy na jego ogólny stan, wcale jej to nie dziwiło.

Dziury w tapicerce pozaklejano taśmą izolacyjną.

Pod lusterkiem dyndały paciorki różańca.

Christine dostrzegła w lusterku spojrzenie kierowcy i odwrócił wzrok.

Wystraszyła się trochę; czuła się bezbronna.

Po chwili taksówka dotarła do Plaza de Armas i zatrzymała się przed długim rzędem zabudowań w stylu hiszpańsko-kolonialnym.

- Ale tempo - powiedziała Christine.

Nachyliła się do kierowcy, pokazując mu bilet z adresem.

- Może mi pan powiedzieć, gdzie to jest?

Kierowca spojrzął na bilet i wskazał na niedużeczerwone drzwi w rzeźbionej fasadzie budynku.

- Estd alli - powiedział.

- Gracias - podziękowała mu Christine.

- -Cuanto?

- DOS soles.

Podala mu dwie monety

- Gracias, señorita.

Christine wysiadła z taksówki na ulicę wybrukowaną czarnym kamieniem.

Plaza de Armas to centrum historycznej dzielnicy Cuzco.

Christine niespodziewała się, że plac będzie miał tak europejski wygląd.

Górująca nad nim olbrzymia barokowa katedra, zwieńczona kopułą i dwiema dzwonniami, została zbudowana w siedemnastym wieku.

W czasach Inków plac ten nosił nazwę Huacaypata - Plac Wojowników - i z tego właśnie miejsca Pizarro ogłosił zdobycie miasta i pokonanie inkaskiego imperium.

Katedra stała się pomnikiem zwycięstwa Hiszpanów, wzniesionym na kamiennych fundamentach pałacu króla Inków.

Na środku placu znajduje się ogromna kwadratowa przestrzeń przecięta brukowanymi chodnikami na planie łacińskiego krzyża.

W części północnej stoi zielona fontanna z motywem łabędzia, która wydała się Christine podobną do gigantycznego pucharu.

Woda przelewa się ze źróbionych czasz do zbiornika na dole, a tam trytony otwarzają satyrów tryskającą z nich wodę.

Granice placu wyznaczają kamienne arkady, portales kolorowych sklepów miejscowych rzemieślników i restauratorów.

85.

Gdy tylko taksówka ruszyła od krawężnika, grupa umorusanych, bosych dzieciaków w podartych ubraniach obiegła Christine.

Napierały na nią agresywnie, rywalizując międzysobą; wyciągały dłonie; niektóre oferowały jakieś towary Christine patrzyła na dzieci ze współczuciem, ale kurczowościskała torebkę.

- Ładna pani kupić pocztówka.

Tylko jeden soi.

Tanio-zawołała dziewczynka, wymachując jej przed nosem plikiem widokówek.

Inne dziecko rzuciło Christine pod nogi brudną szmatę.

- Señońta, jacyścić buty

- Chocolate, sublime - powiedział mały chłopczyk z bielmem na oczach - pyszna, chocolate.

Pewien sześćo-, może siedmioletni chłopiec o pogodnym spojrzeniu zawołał:

- George Bush, Bili Clinton, Abraham Lincoln, tak, tak, tak!

- Uniósł kciuk w górę, a drugą dłoń wystawił po datek.

Christine wyjęła garść monet i dała każdemu dziecku posolu.

Skierowała się w stronę restauracji, aledzieci nie chciały jej opuścić.

Umiały rozpoznać łatwą ofiarę.

Nadal za nią szły, zebrząc, aż człowiek stojący przy wejściu do lokalu podniósł rękę i krzyknął.

Wtedy uciekły

Mężczyzna otworzył jej drzwi Christine weszła do środka.

Wnętrze było mrocznej chłodne: kamienne ściany, posadzka z terakoty. W głębi widniało malowidło ściennie inspirowane sztuką Inków.

Na środku stał rożen, a soki z piekącego się mięsa skapywały na syczące płomienie, wypełniając pomieszczenie jego aromatem.

Gdy oczy Christine przywykły do ciemności, w tylnej części sali dostrzegła dużą grupę osób zajmującą kilka stolików.

Zbliżając się, usłyszała czyjś głos:

- O, idzie!

Jej przybycie powitano głośnym wiwatowaniem, oklaskami oraz tu i ówdzie jękiem zawodu.

- Udało ci się - powiedziała Jessica.

86

Christine spojrzała po sali.

- Co to miało być?

- spytała.

- Robiliśmy zakłady, że nas nie znajdziesz.

- No ładnie - odparła, siadając.

Odwróciła się do stolika obok i powiedziała: - Mam nadzieję, że wszyscy straciliście pieniądze.

Grupa wybuchnęła śmiechem.

- Co tak długo?

- zapytała Jessica.

- Zasnęłam.
- No widzisz, trzeba było zamówić to budzenie.
- Nie - wtrącił się Jim.

- Ona potrzebowała snu.

To najlepsza rzeczna choroba wysokościowa.

Jak się czujesz?

- Czuję się świetnie, dopóki nie przeżyłam spotkania z kieszonkowcem.
- Okradli cię?

- spytała Jessica.

Jim westchnął i pokręcił głową.

- Ile straciłaś?
- Straciłam cały portfel.

Na chwilę.

Ale zaraz go odzyskałam.

Niewiadomo skąd zjawił się jakiś Amerykanin, złapał dzieciaka i kazał mu go oddać.

Twierdził, że cię zna - dodała, patrząc na Jima.

- Mnie?

Kiwnęła głową.

- A jak on wyglądał?
- Dość wysoki szatyn, długie włosy, taki trochę twardziel z wyglądu.
- Brzmi kusząco - rozmarzyła się Jessica.
- To Paul Cook - stwierdził Jim.

- Prowadzi przytułek dla chłopców, do którego się jutro wybieramy To musiało być niedaleko hotelu; Paul miał mi podzucić parę rzeczy

- Nie mogę się doczekać, żeby go poznać - ciągnęła Jessica i pochwyciła wzrok zerkającego na nią Jima.

W tym momencie podeszła kelnerka z kilkoma porcjami półmisek.

Na jednym z nich leżał upieczony w całości jakiś gryzoń.

Potrąba wyglądała tak, jakby ją przygotowała spe87.

cialista od wypychania zwierząt, a nie kucharz.

Kobietapostawiła półmisek z gryzoniemprzed Jimem.

- O Boże, co to jest?

- spytała Jessica.

- Zaraz zwymiotuję - dodała Christine.

-Powinno mu się raczej wyprawić pogrzeb niżgo zjeść -dorzucił ktoś inny
Jim się roześmiał.

Najwyraźniej bawił goszok wywołany jego daniem.

- To smażonaświnkamorska.

Peruviańczycy nazywają to cuy.

- Cuy? - powtórzyła Christine.

-Tak.

Słyszałaś o tym?

- Twój przyjaciel poradził mi, żebym spróbowała.

Jim wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To na pewno był Paul.

Kelnerka postawiła półmisek przed Jessica.

Był na nim smażony banan z pieczoną piersią kurczaka i żółtym ryżem.

- Często się, Chris; starczy dla nas obu.

-Umieram z głodu - przyznała Christine.

- Byłabym w stanie zjeść cokolwiek.

-Spojrzała na talerz Jima.

- No, niezupełnie.

Spożywali kolację niespiesznie, a kiedy skończyli, wyszli na zewnątrz.

O tej porze było już ciemno, a wieczór sprowadził na plac odświętną atmosferę.

Na środku zainstalował się peruwiański zespół folklorystyczny ubrany w tradycyjne,

kolorowe stroje Indian Keczua, i grał dla turystów, którzy rzucali im pieniądze.

Właściciele sklepów wynieśli stoły z towarami na zewnątrz i plac odrodził się nanowo
jako tętniący życiem nocny targ wypełniony gwarem i muzyką.

Jessica i Jim odseparowali się od reszty stawiając Christine w nieco krępującej
sytuacji.

Udała się więc na samotny spacer.

Wszędzie wokół widziała zakochane pary i chociaż próbowała oddalić od siebie myśli
o Martinie, powracały one teraz ze zdwojoną siłą.

Krążąc w labiryncie stolików i wieszaków pełnych ubrań, czuła, jak coraz
więcej cięzar przygniata jej piersi.

88

Jej matka kolekcjonowała dzwoneczki i Christine znalazła dla niej ładny
egzemplarz, srebrny ozdobiony figurką lamy. Kosztował trzydzieści soli.

Sprzedawczyni zapakowała cackow gazetę i Christine schowała je do kieszeni.

Przy innym stoisku, tym razem z ubraniami, wyszperała czarną męską
kamizelkę z alpaki oraz pasujący do niej kapelusz.

Christine pomyślała, że rzeczywiście spodobałyby się Martinowi, kupiła je więc, trochę z
przyzwyczajenia, a trochę w nadziei, że może jednak wszystko się ułoży.

Spostrzegła Jessicę i Jima siedzących na murku okalającym fontannę i dokończywszy zakupy podeszła do nich.

Nie zauważyli jej, gdy się zbliżała.

- Cześć.

Odwrócili się.

- Gdzie się podziewałaś?

- spytała Jessica.

- Robiłam zakupy

Jessica spojrzała na torbę, która Christine trzymała w ręku.

-1 co kupiłaś?

- Takie tam.

Ciuchy.

- Pokaż.

Christine nagle poczuła się głupio, że kupiła prezent dla Martina.

- Później.

Wracam do hotelu.

- Już?

- spytał Jim.

-Jeszcze młoda godzina.

- Nie dla mnie.

Jestem trochę zmęczona.

- Wiesz, jak wrócić?

- spytał Jim.

- Recepcjonista dał mi wizytówkę -odparła Christine

-Idź spać, nie czekaj na mnie - powiedziała Jessica.

Christine wyszła na ulicę i zatrzymała taksówkę.

Znalazłszy się w pokoju hotelowym, rozejrzała się w poszukiwaniu ugekona.

Siedział tam, gdzie zwykle, zaczęła się więc zastanawiać, czy zwierzę w ogóle żyje.

Reklamówkę z rzeczami dla Martina wsunęła podłóżko.

Nie chciała, żeby Jessica je zobaczyła, bo na pewno by ją ochrzaniła za ten zakup.

Zresztą, Christine sama również miała do siebie pretensje.

Dlaczego

89.

tak uparcie nie chce się z tym pogodzić?

Odzerwaniazareczyn Martinnie przysłał nawet e-maila.

Christine wiedziała, dlaczego: rozpaczodzi nadzieję.

Kiedyś psychoterapeuta powiedział jej, że cierpi na lęk przed porzuceniem.

Własnoojciec ją porzucił, najpierw przez rozwódzmatką, a potem, zaledwie dwa lata temu, poprzez śmierć.

A teraz porzuciłją także Martin.

Czy będzie jeszcze potrafiła zaufać jakiemuś mężczyźnie?

Zgasła światło i położyłasię do łóżka, naciągając kołdrę pod brodę.

Leżąc w ciemności,przypomniałasobie o gekonie.

Zastanawiała się, czy zwierzak chodzi wyłącznie pościanach, czy też zdarza musię zawędrować w okolice łóżek.

Szybkowyrzuciła zgłowy tę myśl.

Zamknęła oczy ituląc poduszkę, odwróciła się dościany.

Szybko przebiegła myślami wydarzenia minionego dnia.

Zastanawiała się,co przyniesiejutro.

Potem przypomniała sobie o Paulu, mężczyźnie, który pomógł jejodzyskać portfel.

Ciekawe, co robił pod hotelem.

Zapadając wsen, poczuła cichą nadzieję, że spotka gojutro w sierocińcu.

ROZDZIAŁ Dziewiąty:

Podśluchałem dzisiaj, jak pewna amerykańskanastolatkaporównywała swoje trudne warunki do problemówtutejszych dzieciaków.

Uważała, że ma ciężkie życie, bo rodzice mogli jej kupić tylko używany samochód.

Na lepszynie było ich stać.

Naprawdę, nie ma biedniejszych ludzi niż ci,którzy niepotrafią docenićdobrobytu, w którym żyją.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Nim Christine skończyła poranną toaletę, Jessiki już nie było w pokoju: zeszła na śniadanie.

Christine wytarła się i wskoczyła w dzinsy. Nie leżała na niej tak luźno od prawie dziesięciu lat.

"Na szczęście przygotowania do ślubu nie poszły całkiem na marne - pomyślała.

Skończyła się ubierać, wzięła plecak i zeszła nadół dołączyć do przyjaciółki.

Parter hotelu stanowił otwartą przestrzeń bez okien, ześcianami pomalowanymi naróżowo i obwieszonymi plakatami reklamującymi atrakcje turystyczne Cuzco.

Jessica siedziała w kącie sali pod wielkim zdjęciem przedstawiającym stado lam. Towarzyszyły jej dwie inne osoby z grupy: starsza kobieta o szerokiej twarzy i w grubych rogowych okularach oraz niski, pulchny mężczyzna o rumianych policzkach i sympatycznym uśmiechu.

- Tutaj!

- pomachała Jessica.

Christine podeszła do stolika.

- Buenos dias - przywitała się kobieta.

- Nazywam się Joan Morton.

- Dzień dobry, Joan.

Mężczyzna wyciągnął dłoń.

- A ja jestem Mason - powiedział z południowym akcentem.

- Mason Affleck z Birmingham.

- Christine.

Bardzo mi miło.

- Żeby było jasne - dodała Joan.

- Wczoraj wieczorem stawałam na ciebie.

- Dziękuję.

W przeciwieństwie do Jessiki, jak sądzę.

92

Jessica uśmiechnęła się szeroko.

- Wybacz, skarbie.

Zbyt dobrze cię znam.

- Dzięki.

- Christine zerknęła nastojące przed nimi talerze.

- Co polecacie?

- Tost francuski wygląda dziwnie, ale jest smaczny - odparła Jessica.

- Spróbuj opuncji - dodała Joan.

- A dobra jest?

- Nie, ale będziesz miała o czym opowiadać, jak wrócisz do domu.

- A co to jest, co macie w szklankach?

- Nie wiem.

Na etykiecie był napisane GUANABANA, cokolwiek to znaczy.

- Noi?

- Ujdzie.

Christine podeszła do bufetu i przyjrzała się produktom.

Wróciła do stołu z jabłkiem, bananem i szklanką soku pomarańczowego.

- Widzę, że nie jesteś dziś ryzykanckim nastroju - zauważyła Jessica.

- Średnio.

- A jak tam samopoczucie?

- zapytał Mason.

- Jessica mówiła, że dokuczała ci choroba wysokościowa.

- To prawda.

Ale teraz czuję się znacznie lepiej.

Chyba potrzebowałam porządnej dawki snu.

- Ja też wciąż chodzę jak pijana - powiedziała Joan.

- No i o której w końcu wczoraj wróciliście?

- spytała Jessica Christine.

- Późno.

Już po pomocy.

- Coporabialiście?

- Gadaliśmy. Byliśmy chyba ostatnimi osobami, które zostały na placu.

- A właśnie - rozejrzała się Christine - gdzie są wszyscy?

93.

- Prawdopodobnie wsiadają do autobusu - powiedziała Jessica.
Spojrzała na zegarek i jęknęła: - Spóźnimy się.
Musimy iść.

Christine dopiła sok, a owoce wrzuciła do plecaka.

Cała

czwórka wpośpiechu opuściła hotel.

Jim czekał na nich przy autobusie.

- No, nareszcie.

Już myślałem, że zdezerterowaliście.

- Nie, tylko ktoś mnie wczoraj przetrzymał do późna.

- Ciekawe, kto kogo - odciął się Jim.

- Przepraszamy za spóźnienie - wtrąciła się Christine.

- Nie szkodzi, zdążymy - odparł, przepuszczając je w drzwiach.

Kiedy usadowili się na miejscach, zamknięto drzwi, Jim skinął na kierowcę i autobus ruszył w drogę.

Po minięciu granic Cuzco, Jim wrócił się do grupy:

- Porozmawiajmy teraz na temat dzisiejszego zadania.

Jedziemy do miasta o nazwie Lucre, które znajduje się jakieś pół godziny drogi stąd.

Będziemy pracować w starej hacjendzie przekształconej w ośrodek dla sierot.

Nazywa się Słonecznik.

Około sześciu lat temu założył go pewien peruwiański policjant, Alcides Romero.

Nie mógł już dłużej znieść tego, jak policja w Cuzco obchodzi się z bezdomnymi dziećmi.

Ponieważ nie można ich było aresztować, po prostu je ignorowano, zostawiając napastwę losu, żeby umarły z głodu na ulicach.

Alcides postanowił coś z tym zrobić.

Wiedzieli o istnieniu porzuconej hacjendy i przy pomocy swego komandanta namówił urzędników państwowych, żeby podarowali ją policji.

Potem zaczął przeznaczać połowę swojej pensji na zakup jedzenia, żeby dzieci mogły tam mieszkać.

O tym, co robi, dowiedzieliśmy się parę lat temu i od tej pory przyjeżdżamy pomagać.

Za kilkadziesiąt dolarów miesięcznie możemy dziecięckoubrać, nakarmić i posłać do szkoły

Autobus wspinał się po zakurzonej drodze, mijając jakieś baraki.

Za zakrętem ukazały się rozległe kamienno-ceglane zabudowania hacjendy.

94

W osiemnastym wieku było to posiadłość zamożnego właściciela ziemskiego i nawet teraz, choć zdewastowana, nosiła ślady dawnej okazałości.

Teren za hacjendą wznosił się, tworząc płaskowyż pokryty bujną roślinnością i ogromnymi kaktusami, które przypominały przerośnięte aloesy. Gdy autobus z Amerykanami kluczył po wąskich, nieutwardzonych uliczkach miasteczka, siedzący na progach domów mieszkańcy odprowadzali ich wzrokiem, miejscowe koty uciekały na drzewa, a psy goniły za nimi z głośnym ujadaniem.

Kierowca jechał wdół stromym, żwirowym zboczem i zatrzymał się obok

hacjendy dwadzieścia metrów na wschód otaczających ją wzniesień.

Wąską ścieżką Jim zaprowadził grupę na prostokątny dziedziniec.

Z jednej strony znajdował się rząd okien, a z drugiej wznosił się wysoki mur z otworami nadzwony. Na spotkanie wybiegł im niski Peruwiańczyk w przybrudzonej koszulce z logo organizacji Puma-Condor.

- Hermana - powiedział, obejmując Jima.

- Hola, Jaime - pozdrowił go Jim.

- Que tal?

- Muy bien - odparł entuzjastycznie Peruwiańczyk.

Spojrzawszy na pozostałych uczestników uniósł ręce w górę.

- ¡Bienvenidos!

- zawołał.

- To znaczy "witajcie" - wyjaśnił Jim.

- No dobra, chodźcie tu wszyscy.

Grupa zebrała się wokół kamiennego obmurowania fontanny

- Wszystko, co robimy dla tego ośrodka, ma mu pomóc w tym, żeby stał się bardziej samowystarczalny.

Poproszono nas o pomoc w budowie szklarni.

Będziemy też potrzebować kilku ochotników do pomalowania sali lekcyjnej.

Ręka Jessiki wystrzeliła w górę.

- Tomoże my.

Jim rozejrzał się, czy niema innych chętnych.

Nikt się nie zgłaszał.

95.

- W porządku, niech będą Jessica i Christine.

Jaime wam wszystko pokaże.

Reszta niech idzie za mną.

Przeszli do ogrodu na tyłach posiadłości, zostawiając Christine i Jessicę na dziedzińcu w towarzystwie Jaime.

- Co to miało być?

- spytała Christine.

- Praca przy budowie szklarni jakoś mi się nie widzi.

Jaime zmierzył wzrokiem obie kobiety i powiedział:

- Yamos.

Weszły za nim do ciemnego pomieszczenia na końcu zewnętrznego korytarza wyłożonego terakotą.

Była to bardzo wysoka i przestronna sala z jednym oknem.

Na środku stało metalowe rusztowanie, wokół niego puszek z farbą, aluminiowa tacka i kilka wałków.

- My malować - oznajmił Jaime.

Jego głos odbił się echem od ścian.

- Przydałoby się, i to bardzo - stwierdziła Christine.

Jessica rozejrzała się.

- Ostatni raz były malowane pewnie ze sto albo dwieście lat temu.

- Przeszła na środek sali i rozłożyła ręce.

- Jakie są twoje rozkazy, panie?

Jaime spojrzał na nią pytająco, a potem nachylił się nad jedną z puszek i śrubokrętem podważył wieczko.

Ukazała się pod nim bladożółta, rozwarstwiona emulsja.

Jaime wziął puszkę i postawił ją przy Jessicę.

- Masz coś, żeby to wymieszać?

- spytała.

Jaime nie odpowiedział.

- Mieszać.

Farba - powtórzyła, wykonując koliste ruchy ręką.

- Aa - pokiwał głową.

- Mezclar.

- Wyszedł na zewnątrz i wrócił z krótkim, zakrzywionym patykiem w ręku.

Podał go Jessicę, a potem poszedł na drugi koniec sali naprawiać uszkodzoną framugę drzwi.

Jessica wytarła patyk z piasku i zaczęła mieszać farbę, która z miejsca przybrała głęboki, złocisty kolor.

- Gdzie są wszystkie dzieci?

- zapytała Christine.

96

Jaime zamrugał oczami.

- Dzieci.

- powtórzyła wolna - Dzieci.

- A, ninos.

-Si.

- Los niños estdn en la escuela'.

-Mam nadzieję, żeJimszybko wróci - powiedziała Jessica.

Pochyliła puszkę w stronęChristine.

- Myślisz, że wystarczy?

- Chyba tak.

-Zapytaj go, czy nie mają jakiejś folii do przykrycia podłogi.

- Taa, na pewno - odparłaChristine.

Nalałyfarby na tackę i zanurzyły w niejwałki.

- Co zrobić z pęknięciami?

- spytała Christine.

-Możemająspachlówkę?

Jessica rozejrzała się na boki.

- Zamaluj i tyle.

-Jaime - zagadnęłaChristine.

Odwrócił się.

- Senońta7.

Wskazała na niewielką rysę na ścianie.

- Mamy to zamalowywać?

Kiwnąłgłową, wykonując zamaszyste ruchy ręką.

- Malować, malować - powiedział.

-Nie mówiłam?

- powiedziała Jessica.

Oparła ręce nabiodrach.

- Jakby cokolwiek rozumiał.

- Coś ty, na pewnorozumie.

Jaime?

Znów się odwrócił.

- Señońta7

Christine wskazała palcem przyjaciółkę.

- Czy mam pomalowaćJessicę?

-Malować, malować - pokiwał głową Jaime.

Jessica zaczęła się śmiać.

Dzieci są w szkole.

97.

- Punkt dla mnie.

Zaczęły od ściany południowej.

Christine malowała dolną część, dokąd sięgał jej wałek, a Jessica stała na rusztowaniu i zajmowała się górną połową.

Pomalowanie pierwszej ściany zajęło im około czterdziestu minut.

Potem przesunęły rusztowanie pod kolejną ścianę.

Kiedy schylały się po wałki, Christine spostrzegła małego chłopca, który stał przy drzwiach, częściowo schowany w cieniu.

Miał skórę koloru kawy z mlekiem, duże brązowe oczy i rzęsy tak długie, że niemal poczuła zazdrość.

- Jessico, spójrz - powiedziała głośnym szeptem.

Przyjaciółka podniosła wzrok.

Na widok dziecka jej twarz rozjaśniła, się uśmiechem.

- To najśladzszy maluch, jakiego widziałam w życiu.

Chłopczyk tylko im się przyglądał.

Jaime zauważył, że przestały pracować, i spojrzał w stronę drzwi.

- Por quo no estas en la escuela?

"- spytał.

- Estamos en recreo" - odparł malec.

- Jak myślisz, ile może mieć lat?

- zapytała Christine.

- Jest mniej więcej wzrost mojego siostrzeńca, a on maszeć.

Jessica odłożyła wałek i zeszła z rusztowania.

Podeszła do chłopca i przykucnęła.

- Skąd się tu wziąłeś, kolego?

Nic nie odpowiedział.

Przenosił wzrok z jednej kobiety na drugą.

- Ależ on jest boski.

Chris, powiedz coś do niego po hiszpańsku.

Spytaj, jak ma na imię.

Christine podeszła bliżej.

- {Cómo.

te..

Harnaś?

Chłopiec przyglądał im się podejrzliwie.

' Czemu nie jesteś w szkole?

"Mamy wolne.

98

- i Tu nombre?

- Nazywam się Pablo.

Jutro mam urodziny Kończę osiem lat, tylko jestem mały jak na swój wiek.

- Świetnie mówisz po angielsku - zdumiała się Jessica.

- Pani też - odparł malec.

Roześmiała się.

- A kto cię nauczył?
- Pan Cook.
- (Cuanao llega et doctor Cook'?)
- zapytał Jaime.
- Ya viene- odparł Pablo.
- On pyta, kiedy tu przyjdzie doktor Cook.
- Powiedziałem, że już idzie.
- Kim jest doktor Cook?
- zainteresowała się Jessica.
- To nasz szef - odparł Pablo i w tej samej chwili do sali wszedł mężczyzna.
- Christine natychmiast rozpoznała w nim człowieka, który uratował jej portfel.
- Dzień dobry Znów się spotykamy - powiedział z uśmiechem.
- Dzień dobry.
- Chciałabym jeszcze raz podziękować.
- Nie ma zaco.
- Wyciągnął dłoń.
- Jestem Paul Cook.
- Christine.
- Miło mi cię poznać, Christine.
- Jessica zrobiła krok w przód.
- Jestem Jessica.
- Witaj.
- Dzięki, że nam pomagacie.
- Zerknęła na chłopca.
- Widzę, że zdążyłyście poznać Pabla.
- Jest uroczy - powiedziała Jessica.
- Niezły z niego gagatek - odparł Paul.
- Rozejrzał się po sali.
- No, od razu lepiej wygląda.
- Jedna ściana z głowy, zostały jeszcze trzy.
- Quepasa, calabaza - odezwał się Jaime.
- Nada, nada, Umonada - rzucił w odpowiedzi Paul i zwrócił się do kobiet.
- Mam nadzieję, że Jaime obchodzi się z wami jak należy
- Jest wspaniały Po prostu za wiele rozmawiamy Paul uśmiechnął się.

- Uważajcie.

On rozumie znacznie więcej niż się przyznaje.

- Podeszedł do ściany, żeby z bliska obejrzyć efekty pracy - Kiedy skończycie, urządzimy tu klasę.

- Jaime mówił, że wszystkie dzieci chodzą gdzie indziej do szkoły.

-W tej chwili tak, ale to nie jest najlepsze wyjście.

Większość z nich jest daleko w tyle za resztą uczniów.

Dla nastolatka to krepujące uczucie się w jednej klasie z pierwszakiem.

- Mogę pomalować z nimi?

- spytał Pablo.

Paul popatrzył na Jessicę i Christine.

- Nie macie nic przeciwko temu?

- Skąd - odparła Jessica.

- W takim razie zgoda, ale musisz się bardzo starać.

Zobaczymy się trochę później - zwrócił się do kobiet.

Raz jeszcze zerknął na Christine i wyszedł.

Za nim poczłapał Jaime, rozprawiając i gestykułując po drodze.

- Ależ on jest boski - westchnęła Jessica.

- Pani to często mówi - zauważył Pablo.

Jessica wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Dobra, dobra, Pablo; lepiej się zabieraj do roboty.

- Podeszli do rusztowania.

- Malowałeś już kiedyś?

- Lubię malować obrazki.

- To trochę co innego.

A właściwie zupełnie coś innego.

Możesz wziąć mój wałek Najpierw zanurzasz go w tacce, o tak.

Potem trzebatrochę pojeździć, żeby nie kapało.

No, a potem malujesz nim po ścianie.

Wzięła go za rękę i pomogła wykonać kilka pierwszych ruchów.

- Sam umiem - powiedział.

- To świetnie, bo zostało jeszcze mnóstwo pracy.

Jessica wzięła świeży wałek i wspięła się na rusztowanie.

Pablo zajął miejsce obok Christine.

Po paru minutach

zagadnęła go:

- Powiedz mi coś o sobie.

- A co?

100

- Opowiedz o swoim życiu.

Zmarszczył brwi.

- Moje życie było bardzo tragiczne.

- Tragiczne?

Kiwnął głową.

- Tak.

Bardzo.

- A czemuż to?

- Mam o tym powiedzieć?

Christine uśmiechnęła się.

- Nie musisz.

Porozmawiajmy o czymś przyjemnym.

A więc jutro są twoje urodziny tak?

- Tak.

- Kończysz osiem lat?

- Tak.

Urządzamy wielkie przyjęcie.

Zrobiliśmy pińatę.

- Brzmi nieźle.

Mogę przyjść?

- Musi pani zapytać pana Cooka.

On tu jest szefem.

- Itak dostaniesz od nas prezent - powiedziała Christine.

- Dziękuję.

- Długo tu mieszkasz?

- Bardzo, bardzo długo.

Zabrzmiało to zabawnie w ustach niepełnoletniego dziecka.

- A skąd jesteś?

- spytała Christine.

Zawahał się z odpowiedzią.

- Nie wiem.

- Spuścił oczy i zajął się malowaniem.

Trzecia ściana była już prawie gotowa, kiedy rozległo się bicie dzwonu.

- Pora na lunch - powiedział Pablo, natychmiast odłożył wałek na podłogę i wybiegł z sali.

- Chyba był głodny - uśmiechnęła się Christine.

Podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz.

Wszyscy wrócili nadziedziniec.

Część osób stała w kolejce po prowiant, a inni już siedzieli i jedli.

101.

Christine i Jessica zlały resztki farby do puszki, zamknęły ją i wyszły. Po jednej stronie dziedzińca rozgorzała bitwana woda w wykonaniu licealistów, którzy napełniali wiadra za pomocą ręcznej pompy i oblewali się nawzajem.

Peruviańscy pracownicy obserwowali to wszystko z rozbawieniem.

Jessica wzięła dwa pudełka z lunchem, a Christine poszła po napoje.

Potem usiadła na kamiennym murku obok fontanny gdzie siedzieli już Pablo i kilku Peruviańczyków.

- Dzięki za pomoc, Pablo - powiedziała Christine.

- Nie ma sprawy.

Słońce świeciło z wysokości i Jessica odchyliła się do tyłu, żeby złapać trochę promieni.

- Niesamowita pogoda, co?

- Wszyscy pomyślą, że chodziłyśmy do solarium - powiedziała Christine.

Spojrzała na pudełko z prowiantem.

- Ciekawe, co dzisiaj mamy na almuerzo.

- Hm?

- Lunch.

Jessica zajrzała do środka.

- Czerstwa bułka z kawałkiem tłustej szynki i plasterkiem sera.

Banan.

Chipsy ze słodkich ziemniaków.

Kawałek czekolady. Schudniemy tutaj jak nic.

Co dalido picia?

- Jogurt truskawkowy - powiedziała Christine, podając jej mały kartonik.

Podszedł do nich Jim.

- Jak idą prace malarskie?

- Przyjdź i sam zobacz - odparła Jessica, obierając banana.

- A u was jak?

- Robimy postępy.

To jest zdecydowanie zajęcie natrzydni.

- Chodź, zjesz z nami - zaproponowała Christine.

- Dzięki, ale właśnie się dowiedziałem od kierowcy, że ma jakiś problem z autobusem, więc lepiej będzie, jeśli się tym zajmę.

102

1

- Fakt, chciałabym wrócić wieczorem do domu - powiedziała Jessica.

- Ja cię odwiozę - odparł Jim i zwrócił się do Pabla, który siedział obok w milczeniu jadł kanapkę.

- Cześć, Pablo;

jesteś grzeczny?

- Nie.

- Pablo bardzo nam pomógł - pochwaliła go Christine.

- On lubi pomagać.

To świetny pracownik.

- Dzięki - powiedział chłopiec.

- Pójdę już.

Chao - rzucił Jim i odszedł.

Na ramieniu jednego z Peruwiańczyków siedziała żółtoczerwona ara.

Od czasu do czasu wydawała z siebie skrzeczący głos, a wtedy mężczyzna podsuwał jej kawałek chleba.

Ptaka chwycił w szpony, unosił do dzioba, po czym odchylił łeb i połykał.

- Jaki piękny ptak - powiedziała Christine.

- Spójrz na te pióra.

- Wyciągnęła dłoń, żeby dotknąć papugi.

- Cześć, ślicznok.

- Ugryzie panią - ostrzegł Pablo.

Christine błyskawicznie cofnęła rękę.

- Naprawdę?

- Carlos.

Muestrale tu dedo - zwrócił się chłopiec do Peruwiańczyka.

Ten, nawet nie patrząc w ich stronę, podniósł w górę pokaleczony palec.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedziała Christine.

Wtedy właśnie na drugim końcu dziedzińca pojawił się Paul.

Wziął pudełko z lunchem i usiadł samotnie na schodach, dokładnie naprzeciwko Jessiki i Christine.

Obie kobiety go obserwowały

- Niewykopałabym go z łóżka - stwierdziła Jessica.

- Przestań się tak naniego gapić - skarciła ją Christine.

- Chodź, zagadniemy go.

Christine raz jeszcze zerknęła w stronę Paula.

Zauważyła, więc szybko odwróciła głowę.

103.

- Dobrze.

Zabrały jedzenie i przeszły na drugą stronę.

Gdy się zbliżały, Paul podniósł wzrok.

- Możemy się dosiąść?

Uśmiechnął się.

- Oczywiście.

Przesunął się na skrajschodów, Jessica usiadła obok niego, a Christine trzy stopnie niżej.

- Jak idzie malowanie?

- Już prawie koniec - odparła Jessica.

- Od jak dawna w tym miejscu jest sierociniec?

- Mniej więcej od sześciu lat.

- A ty?

Jak długo tu jesteś?

Zmarszczyłczoło i zastanowił się.

- Za cztery lata może?

- To nie wiesz?

Pokręcił głową.

- Zdaje się, że zdążyłem już przesiąknąć tym krajem.

- W jakim sensie?

- spytała Christine.

- Tutaj czas biegnie inaczej.

W Stanach każdy swój dzień planowałem z dokładnością co do kwadransa, a tu miesiące przelatują, ani się człowiek obejrzy

- To musi być przyjemne - powiedziała Jessica.

- I w sumie jest - odparł.

- Skąd bierzecie te wszystkie dzieci?

- zainteresowała się Christine.

- Głównie przywozi je nam policja.

Zgarniają je z ulic.

- Ilu macie wychowanków?

- W tej chwili przebywa u nas dwunastu chłopców.

- Żadnych dziewczyn?

- spytała Jessica.

- Jedna.

- Czemu tylko jedna?

- Trudniej je znaleźć.

Dziewczynki z reguły nie pozostają na ulicy tak długo jak chłopcy.

- A dlaczego?

104

Zawahał się.

- Są sprzedawane jak prostytutki.

Christine pokręciła głową.

- I nikt z tym nic nie robi?

- Rząd starasie zaostrzyć prawo.

My zeswej strony staramysie sprowadzac ich tu jak najwiecej.

Chyba jednak bedziemy musieli zorganizowac dlani chosobne miejsce.

Kiedys mieliśmy tu sześć dziewcząt, ale nic z tego nie wyszło.

- Dlaczego?

- Oddawały się chłopakom za pieniądze.

- Za pieniądze?

- Dokładnie za solą.

- Za ile?

- Jessicaniemogła uwierzyć.

- To jakies trzydzieści centów, prawda?

- Tutaj wszystko jest tanie - stwierdził ponuro Paul.

- Ale nie mówmy o tym.

Skąd jesteście?

- Z Dayton - odpowiedziała Jessica.

- Obie?

- spytał, zezując na Christine, która skinęła głową.

- A ty?

- spytała Jessica.

- Mieszkałem głównie w Minnesocie.

Kobiety skończyły lunch.

Paul zjadł kanapkę i rozpakował czekoladkę.

- Jak chcecie, przedstawię was chłopakom.

- Z przyjemnością - powiedziała Christine.

Podnieśli się zeschodów i Paul poprowadził je korytarzem na sam koniec budynku, gdzie mieściła się przestronna, skromnie urządzona stołówka.

Wewnątrz rozchodził się zapach przyrządzanego posiłku, a na środku prostokątnego drewnianego stołu stał dymiący półmisek z ryżem.

Wokół siedziało jedenastu chłopców.

Na drugim końcu sali chudy jak patyk Peruwiańczyk z krzaczastymi brwiami i oczami jak dwawęgielki stał przy rozżarzonej płycie pieca i mieszał warzywa w garnku.

Spojrzał na Paula, ale się nie odezwał.

- Buenos tardes - przywitał się Paul.

Wszyscy chłopcy unieśli głowy.

105.

- Oye, Paul.

Todavía vamos a tener la fiesta?

- Porsupuesto.

Mariana" - odparł Paul.

Odwrócił się do kobiet i powiedział z dumą:

- Oto nasza rodzinka.

Poczynając od szczytu stołu, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara zaczął kolejno przedstawiać chłopców.

- To jest René, Carlos, Washington, Gordon, Samuel, Ronal, Oscar, Jorge, Joe, Deyvis i Juan Carlos.

A tam stoi Richard, nasz kucharz.

Jest tu odniedawna.

- Wasz personel też tu mieszka?

- spytała Jessica.

- Tylko Richard i Jaime.

Que tal si k cantamos ma canción?

-zwrócił się do chłopców.

Wszyscy wstali.

- Uno, dos, tres.

Chłopcy zaczęli śpiewać.

Kiedy skończyli, Jessica i Christine nagrodziły ich brawami.

- O czym to było?

- spytała Christine.

- To jest piosenka o El Girasol, którą dla nich napisałem.

Tekst brzmi mniej więcej tak: "Mogę mieć brudną koszulę, rozczochrane włosy, ale i tak liczy się tylko to, co mam

w sercu".

Pomachał do dzieci.

- Chao.

guapos.

Pożegnały się chóralnym "do widzenia".

Po wyjściu z stołówki Jessica zapytała:

- Gdzie tu jest toaleta?

Paul wskazał na wąską furtkę po przeciwnej stronie dziedzińca.

- Nazewnątrz, zaraz za tą bramą.

Zaprowadzić cię?

- Dziękuję, trafię.

- Ubikacja jest koedukacyjna, więc radzę zamknąć drzwi.

Chłopcy lubią pakować się bez pukania.

Proszę posłuchać, Paul.

Urządzi nam pan przyjęcie?

Oczywiście.

Jutro.

- Dzięki za ostrzeżenie.

- Jessica odbiegła, zostawiając Paula i Christine samych.

- Nie zauważyłam w stołówce dziewczynki - powiedziała Christine.

- Roxana nie lubiadać razemz chłopcami.

Za bardzolobuzują przy stole.

Zwykle zanoszę jej posiłki do pokoju.

-Paul obrócił twarz w stronę Christine i jego oczy spoczęły na niej, jak gdyby wreszcie mogły się w pełni nasycić jej urodą.

Znalazłszy się z Paulem sam na sam, Christine nagle poczuła się nieco onieśmielona.

- Chciałabyś ją poznać?

-Tak.

Przemierzylidziedziniec, a potem ciemnymi schodami wspięli się na górę do jednej z sypialni, w której stały trzy piętrowe łóżka.

Najbliżej drzwi, na dolnym posłaniu, siedziała mała, bosa dziewczynka, ubrana w ciekawą czerwoną sukienkę.

Obok na materacu leżały pozostałości po obiedzie - niedojedzona miska ryżu i skórka od banana.

Dziewczynka trzymała na kolanach książkę, ale gdy weszli, podniosła wzrok.

Miała drobne rysy twarzy i ciemnobrązowe, migdałowe oczy. Przez lewą skroń biegła podłużna blizna.

- Hola - przywitała się Christine.

Dziewczynka nie odpowiedziała.

- Roxana jest głuchoniema - wyjaśnił Paul.

Christine spojrzała na niego zaskoczona.

- Jak to?

-Niestety.

- Ale gdy weszliśmy, sprawiała wrażenie, jakby się nas spodziewała.

-Wyczuła drgania.

Paul przyklęknął na jedno kolano i pokazał coś małej namigi.

Odpowiedziała mu, po czym zerknęła na Christine i zaczęła energicznie poruszać dłońmi.

Taka rozmowa trwała prawie minutę.

- Co ona mówi?

- zainteresowała się Christine.

- Spytała mnie, kim jest ta śliczna pani.

Przeliterowałem jej moje imię, a ona powiedziała, że jej się podoba.

Chce ci powiedzieć, że ma na imię Roxana.

Christine podeszła bliżej.

- Hola, Roxana.

Dziewczynka spojrzała na Paula i zaczęła gestykulować.

- A co mówisz teraz?

- Mówi, że jesteś piękna jak panie z telewizji i że też chciałaby tak wyglądać.

Christine się uśmiechnęła.

- To jej powiedz, że moim zdaniem jest śliczna i że ja też chciałabym mieć takie piękne czarne włosy jak ona.

Paul przetłumaczył słowa Christine.

Dziewczynka uśmiechnęła się, nieśmiało spuściła wzrok, odruchowo zasłaniając bliźnię kosmykiem włosów.

Paul pocałował małą w policzek i zamigał "do widzenia".

Kiedy wychodzili z pokoju, Christine zbierało się na płacz.

Stała za drzwiami i ukryła twarz w dłoniach.

Paul delikatnie dotknął jej ramienia.

- Co się dzieje?

Pokręciła głową.

Paul wyjął z kieszeni chusteczkę i podał jej.

Christine otarła łzy i zapytała:

- Co jej się stało?

Skąd matę bliźnię?

- Niewiemy.

Policja znalazła ją wałęsającą się po ulicach na obrzeżach Lucre.

- Jak można wyrzucić domu głuchonieme dziecko?

- Christine, tutaj codziennie porzuca się dzieci.

Nie wiadomo, z jakich powodów.

Może jej rodzice zmarli.

Albo po prostu niestać ich było, żeby ją wyżywić.

- Ależ mi wstyd.

A ja się tak nad sobą żalałam.

Paul spojrzał na nią ze współczuciem.

- Jest coś takiego, że kontakt z tymi dziećmi pozwala spojrzeć na wiele spraw z innej perspektywy.

108

Paul dostrzegł Jessicę, która krążyła po dziedzińcu, rozglądając się na wszystkie strony.

- Tutaj!

- zawołał.

Jessica zadarła głowę, osłaniając oczy przed słońcem.

- Jak tam wejść?

- My już schodzimy - odparła Christine.

Gdy znaleźli się na dziedzińcu, Jessica zauważyła zaczerwienione oczy przyjaciółki.

- Co ci jest?

- Nic.

Wracajmy do pracy

- Gdzie się podział nasz mały pomocnik?

- Jessica rozejrzała się.

- Kazałem mu wrócić do szkoły - odparł Paul.

- Sam też już chyba pójdę.

Do jutra.

- Do jutra - powiedziała Jessica.

- Do zobaczenia - dodała Christine.

Paul oddalił się stronę głównej bramy, a Jessica z Christine wróciły do malowania ścian.

Skończyły mniej więcej potrzebnych godzinach właśnie sprzątały po pracy, kiedy ponownie usłyszały dźwięk dzwonu.

Wyszły nazewnątrz, ochlapanę farbą od stóp do głów.

Na środku dziedzińca stał Jim w otoczeniu uczestników wyprawy

- Słuchajcie, mam dwie wiadomości: dobrą i złą.

Zła jest taka, że zepsuł się nam autobus, a dobra, że dostaliśmy nowy. A więc, jeżeli zostawiliście tam jakieś rzeczy, lepiej idźcie ponownie od razu, bo możecie ich już nie zobaczyć.

Grupa wspięła się na wzniesienie, gdzie rano wysadził ich kierowca.

Kilkadziesiąt metrów dalej paru mężczyzn zdjęło boczne klapy karoserii pojazdu i naprawiało silnik.

Nieopodal czekał drugi autobus.

Po drodze Christine zagadnęła Jessikę:

- Widziałaś gdzieś Paula?

- Od lunchu nie.

109.

- Chciałam się pożegnać.

- On tu będzie jutro.

Zostawiłaś coś w autobusie?

- Nie.

- To dobrze.

Chodź, zajmimy sobie siedzenia z przodu.

Gdy wszyscy już znaleźli się w autobusie, Jim usiadł naprzeciwko kobiet.

- Co masz zamiar robić dziś wieczorem?

- zapytała Jessica Christine.

- Przede wszystkim zrzucić z siebie te ciuchy.

- A potem?

- Pysznic, książka i spać.

A, i musimy jeszcze kupić coś Pablowi na prezent.

- Myślisz, że on naprawdę ma jutro urodziny?

- A czy to ważne?

- W sumienie.

Może uda się coś znaleźć blisko hotelu.

Hej, Sledge.

Jim nachylił się do nich.

- Tak?

- Sledge?

- zdziwiła się Christine.

- Tak go nazywam - wyjaśniła Jessica.

- Nowiesz: sledgehammer.

Gdzie możemy kupić Pablowi prezent na urodziny?

- Naprzeciwko hotelu, po drugiej stronie ulicy są sklepy z pamiątkami.

Sprzedają też zabawki.

- A jak myślisz, z czego by się najbardziej ucieszył?

Jim zastanowił się chwilę.

- Może kupiemy plastikową ciężarówkę?

Coś, czym mógłby się bawić razem z innymi chłopakami.

- Wyglądasz na zmęczonego - zauważyła Jessica.

- Bo jestem.

Niektóre słupy ważyły prawie po sto kilo.

- Prawdziwy z ciebie macho.

Odwróć się, pomasuję ci plecy

Sledgehammer - młot; oczywiste nawiązanie do nazwiska Jima [przyp.

tłum.

].

110

Jim przysunął się do okna, a Jessica przesiadła się doniego i zaczęła ugniatać mu kark i ramiona.

Niewiele ponad półgodziny później autobus zaparkował przed hotelem.

Gdy wysiadali, Jim zapytał:

- Corobicie wieczorem, dziewczyny?

-Christine chciała poczytać.

A co, masz jakiś pomysł?

- Pokazałbym wam ruiny Sacsayhuaman.

-A co to takiego?

-spytała Jessica.

- Kamienna twierdza wzniesiona przez Inków.

To tylko kwadrans drogi od Plaza de Armas.

- Co myślisz, Chris?

Wybrałabyś się z nami?

Po tonie jej głosu Christine poznała, że Jessica wolałaby raczej iść z Jimem sama.

- Nie, zostanę w hotelu.

-No dobra, tylko potrzebuję paru minut, żeby się odświeżyć.

- To co, spotykamy się za dziesięć minut w holu?

- zaproponował Jim.

- Za dziesięć minut.

Christine i Jessica poszły na górę do pokoju.

Christine zdjęła buty i położyła się na łóżku, a Jessica w tym czasie poszła do łazienki, żeby się umyć.

Gdy zakręciła wodę, zawołała:

- Napewno nie będzie ci smutno, że zostaniesz sama?

-Mam gekona.

Jessica wynurzyła się z łazienki, wycierając dłonie w ręcznik.

- Co mówiłaś?

-Powiedziałałam, że nie.

Poradzę sobie.

- W takim razie do zobaczenia wieczorem.

Aha, Jim mówił, że niedaleko jest kafejka internetowa, gdybyś chciała sprawdzić pocztę.

Ciao, bella.

- Cześć.

Po wyjściu Jessiki Christine wzięła do ręki książkę, ale nie mogła się skupić, więc ją odłożyła.

111.

Jakiś czas później wyszła z hotelu i odnalazła kafejkę.

Pracownik wskazał jej komputer, a Christine usiadła i zalogowała się do swojego konta pocztowego.

Kiedy czekała, aż strona się załaduje, dopadło ją z wątpienie.

"Czy Martin się odezwał?"

Jeśli tak, to co mu odpisać?"

"Jak się okazało, były toczyły rozważania.

Nie odezwał się.

W skrzynce znalazła jak zwykle pełno spamu oraz wiadomość od matki, która chciała się dowiedzieć, co słychać.

Christine wysłała odpowiedź, szczegółowo opisując ostatnie kilka dni i pracę w sierocińcu.

Potem opuściła kafejkę i poszła do pasażu handlowego.

Wewnątrz znajdowało się kilkadziesiąt stoisk i wśród nich Christine szybko odnalazła takie, w którym sprzedawano zabawki.

Kupiła wielką, żółtą plastikową wywrotkę, szpulkę żółtej wstążki oraz komplet różowych grzebyczków do włosów wraz z lusterkiem w takim samym kolorze.

Zapłaciła za prezenty, po czym wróciła do hotelu i przygotowała sobie gorącą kąpiel.

Siedziała w wannie prawie pół godziny, szorując ręce farby, aż skóra zrobiła się czerwona.

Potem dołączyła gorącej wody i zanurzyła się po samą szyję.

Zamknęła oczy i odpoczyła.

Gdy woda wystygła, Christine wyszła z wanny i wślizgnęła się do łóżka.

Zasypiając, myślała o Paulu, o Pablui o małej dziewczynce z blizną na twarzy

ROZDZIAŁ Dziesiąty:

Dziś są urodziny Pabla, a przynajmniej urodzinowa fiesta, ponieważ nie mamy pojęcia, kiedy ani nawet gdzie przyszedł na świat.

Ale to nie ma znaczenia.

Obchodzimy dzień, w którym po raz pierwszy pojawił się naszym życiu, a czy to nie jest wystarczającym powodem, żeby świętować urodziny?"

Z PAMIĘTNIKA PAULACOOKA

Nazajutrz przyjechali do El Girasol pół godziny wcześniej niż poprzednio. Christine wyszła z autobusu, niosąc w rękach żółtą ciężarówkę, wstążkę i komplet grzebyczków.

- Sprawdzaliśmy pocztę?

- spytała Jessica.

- Dostałam maila od mamy.

- A od Martina nic?

- Nic.

Jessica westchnęła i odwróciła głowę.

- Co mamy dzisiaj w planie?

- zapytała Jima, kiedy schodzili ze wzgórza.

- Większość będzie zajęta przy zakładaniu siatki naszklarni, a ja muszę iść i zainstalować oświetlenie w sypialni chłopców.

Miałybyście ochotę pomóc?

- Idź, Jessica - powiedziała Christine.

- Ja dołączę do reszty No, jak tam wczorajsza wycieczka?

Jessica mrugnęła porozumiewawczo do Jima.

- Prawdę mówiąc, w końcu nie dotarliśmy do ruin - przyznał Jim, robiąc skruszoną minę.

- Dzisiaj pójdziemy.

- Nic z tego - zaprotestowała Jessica - Dzisiaj jest impreza.

Oblewamy naszą ostatnią noc w Cuzco.

- Ach, rzeczywiście.

Grupa weszła na dziedziniec i zgromadziła się wokół studni.

Tak jak poprzednio, czekał na nich Jaime.

Christine rozglądała się za Paulem, który wkrótce się pojawił i dołączył do Jaime, żeby przedstawić plan dnia.

- Witam was w kolejnym dniu pracy. Nazywam się Paul Cook i jestem dyrektorem El Girasol.

Muszę przyznać, że jestem pod ogromnym wrażeniem waszego zaangażowania:

114

w jeden dzień udało wam się postawić szkielec szklarni i pomalować salę lekcyjną.

Dzisiaj zajmujemy się obwiązywaniem konstrukcji metalową siatką i miejmy nadzieję, że uda się też położyć folię.

Czekaliśmy na tę szklarnię ładnych parę lat.

W tej chwili chłopcy wytwarzają mniej więcej jedną czwartą żywności na własne potrzeby. Szklarnia umożliwi nam prowadzenie całorocznej uprawy, przez co staniemy się jeszcze bardziej samowystarczalni.

Dzisiejszymi pracami kieruje Jaime.

Dziękuję, że przyszliście.

Mam nadzieję, że to będzie dla was cenne doświadczenie.

Do zobaczenia w przerwie na lunch.

Kiedy wszyscy się rozeszli, Christine podeszła do Paula.

- Dzień dobry- przywitała się.
- Dzień dobry
- Pokazała mu plastikową ciężarówkę.
- Kupiłam dla Pabla.

Na urodziny

- Skąd wiedziałas?
- Paul wyglądał na zaskoczonego, ale zaraz potem uśmiechnął się szeroko.
- Mniejsza z tym.

Ten chłopak zostanie kiedyś prezydentem tego kraju.

Christine wręczyła mu prezenty

- Ciężarówką będzie zachwycony, ale nie jestem pewien, czy zainteresuje go wstążka i grzebyczki.

-To dla Roxany - uśmiechnęła się Christine.

- Domyśliłem się.

-Próbowaliśmy cię wczoraj znaleźć.

Chciałyśmy podziękować za oprowadzenie nas po ośrodku.

- Musiałem pojechać do miasta.

- Rozejrzał się, jak gdyby dopiero teraz się zorientował, że wszyscy już się rozeszli.

-Pora iść.

Pracujesz dzisiaj przy szklarni?

-Tak.

- A zechcesz mi asystować?

Niepokazała po sobie, jaką przyjemność sprawiła jej tapropozycja.

- Jasne.

-Świetnie.

- Spojrzała na ciężarówkę.

-Zaniosę to i zaraz wracam.

115.

Zniknął za drzwiami jednego z pomieszczeń i równie szybko pojawił się z powrotem. Poszli razem z Christine na zaplecze.

Z tarasu roztaczał się widok na dolinę pokrytą zielonożółtą mozaiką bujnej roślinności.

Grunty na tyłach hacjendy zajmowały głównie pola uprawne, a za kamiennie-ceglanych murów ogrodzających posiadłość wychylały się młode, blade zielone liście kukurydzy i kwiaty indygowca.

W południowej części tego terenu stała drewniana konstrukcja o długości ponad dwudziestu metrów i w połowie szeroka.

Na ziemi leżały dwie ogromne rolki folii i kilka bel drutu.

Prace już trwały; w ruch poszły cęgi i młotki.

Ludzie stali na drabinach lub rusztowaniach z desek i naciągali swoje druty na konstrukcję.

Christine pomyślała sobie, że jest w tym coś pogrzipającego, kiedy się patrzy na amerykańskich wolontariuszy pracujących ramie w ramie z Peruwiańczykami.

- Co oni robią?

- Tworzą metalową siatkę.

To coś takiego jak sprężynowy stelaż pod materacem.

Najpierw przeciągamy druty z jednej strony ramy na drugą, a potem łączymy je ze sobą.

Nakoniec kładziemy na całość folię i powtarzamy cały proces, tym razem od strony zewnętrznej.

- Dotąd widziałam tylko szklarnie zbudowane ze szkła.

- Folia sprawdza się równie dobrze, a przy tym jest znacznie tańsza.

- A więc co mam robić?

- Mocowanie takiej siatki to robotadla dwóch osób.

Jedno z nas będzie trzymało drut, a drugie wiązać.

Zarzucał na ramię spory kłęb drutu i zaniósł w miejsce, gdzie stała oparta o belkę wolna drabina.

- Mam nadzieję, że niecierpisz nęlek wysokości?

- Nie.

- No to wchodź.

Christine wspięła się na drabinę, a Paul podał jej młotki i gwoździe.

116

- Najpierw wbijasz gwoździe w poprzeczną belkę, a potem owijasz go drutem.

Zrobiła, jak powiedział.

- Teraz musisz zejść.

Christine zeszła, a Paul wziął od niej młotki i przesunął drabinę kawałek dalej.

Ponownie wspięła się na nią.

- Co teraz?

- spytała.

- Teraz trzeba okręcić oba końce drutu wokół siebie

- Czyli jak?

- Pokażę ci.

Paul wszedł nadrabinę, delikatnie ocierając się o Christine.

Ta bliskość i ciepło jego ciała napełniły ją radosnym uczuciem.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak bardzo brakowało jej czyjegoś dotyku, jak tęskniła za tym, by ktoś ją przytulił.

Zastanawiała się, czy i Paulowi sprawiało to przyjemność, ponieważ zachowywał się bardzo swobodnie; otoczył ją od tyłu ramionami, wygiął drut w pętlę i przeciągnął go w stronę następnej belki.

- Pokażę ci pewną sztuczkę.

Jeśli się skręci drut w ten sposób, nie trzeba używać dużej siły żeby go naprężyć.

Rozumiesz?

Christine, zamiast skupić się na zadaniu, myślała cały czas o Paulu i nagle się zorientowała, że oczekuje na odpowiedź.

- Tak, tak - potwierdziła pośpiesznie.

Musiała jednak próbować kilka razy, zanim udało jej się to zrobić jak należy.

- Teraz dobrze?

- Idealnie.

Przejdźmy do następnej belki.

Zeszli na dół Paul przestawił drabinę.

W trakcie tej czynności wypadł mu spod koszuli wisiorek, który miał naszyty - mały żołnierzyk.

Natychmiast schował go z powrotem.

Christine weszła nadrabinę.

- Zaczynam nabierać wprawę

- To dobrze - odpowiedział Paul, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Jeszcze tylko z tysiąc takich węzłów.

Roześmiała się.

117.

- Już wczoraj miałam ci to powiedzieć: uważam, że masz świetny kontakt z dziećmi.
Odniosła wrażenie, że Paulowi bardzo pochlebiła ta uwaga.

- Dzięki.

- One cię wprost uwielbiają.

Widać to w ich oczach.

Zupełnie jakby to były twoje własne dzieci.

- Bo to są moje dzieci.

Christine się uśmiechnęła.

- Opowiedz mi coś o nich.

Paul związał drut jednocześnie opowiadał.

- Renę ma jedenaście lat.

Obojgemu rodzice zginęli, kiedy był małym.

Prawdopodobnie zamordowali ich bojownicy Światłego Szlaku.

Przygarnęli gojacy się ludzie i umieścili w dziecięcym obozie pracy, gdzie wyrabiał cegły. Uciekł stamtąd i trzy lata temu znalazł go śpiącego na ulicy Carlos też ma jedenaście lat.

Nie wie, skąd pochodzi ani kim są jego rodzice.

Został znaleziony, kiedy włóczył się po ulicach Cuzco.

Odkąd mamy krowę, którą dostaliśmy w zeszłym roku, stał się naszym etatowym mleczarzem i jest bardzo z tego dumny.

Można na niego liczyć, nigdy nie trzeba mu przypominać o obowiązkach.

Washington ma naprawdę imię Monterroso.

Ma dwanaście lat.

Słabo pamięta swoją matkę, nie umie powiedzieć, co się z nią stało ani dlaczego z nią nie mieszka.

Nocą czasami dręczy go koszmary, lubi śpiewać smutne piosenki.

Christine przywiązała drut i zeszła na dół.

Paul ponownie przesunął drabinę.

- Gordon twierdzi, że jego ojciec gdzieś żyje, ale nie umie powiedzieć, gdzie.

Chłopiec został znaleziony, kiedy zebrał na ulicy niedaleko Cuzco.

Samuel ma trzynaście lat, pochodzi z Puerto Maldonado.

Przywieźli go tu krewni, żeby znalazł pracę, ale potem go zostawili.

Joe pochodzi z bardzo licznej rodziny. Był niechcianym dzieckiem i sam rodzice zmusili

go, żeby wyszedł na ulicę.

Kochany chłopak.

Bardzo nam pomaga i często przynosi nam różne skarby.

Christine zeszła z drabiny

- Jakie skarby?

- Na przykład jakieś ładne kamyczki.

Kiedyś oddał mi swoje ciastko.

Paul przystawił drabinę do kolejnego słupa.

Odłożył drut na ziemię i rozmasował mięśnie.

- Mów dalej, słucham - zachęcała go Christine.

-Kogotu jeszcze mamy.

Oscar.

Ma szesnaście lat i jest starszy od reszty chłopaków, ale kiedyś matka tak go pobiła, że doznał uszkodzenia mózgu.

Teraz umyślowo jest na poziomie sześciolatka.

Jorgema dziewięć lat.

Wie, gdzie jest jego matka, ale ona też mieszka na ulicy i nie miałaby goz czego utrzymać.

Ronala rodzice porzucili, gdy był jeszcze mały. Kiedy miał pięć lat, został sprzedany pośrednikom, którzy zajmują się oferowaniem usług seksualnych zagranicznym turystom.

Uciekł stamtąd i przywieziono go tutaj.

Jest bardzo zamknięty w sobie i rzadko się odzywa.

Deyvis ma piętnaście lat i to największy buntownik z całej gromadki.

Ale przy tym jest wyjątkowo honorowy.

Nie zje, dopóki wszyscy chłopcy nie zostaną nakarmieni.

Jak miał siedem lat, założył w Cuzco gang, który miał bronić młodsze dzieci przed przemocą i pomagać im w zdobywaniu jedzenia.

Następnie mamy Roxanę.

Jest bardzo nieśmiała i unikachłopaków, bo jej dokuczają.

Uczęją czytać.

No i oczywiście został nam jeszcze Pablo.

Tomój mały przyjaciel.

Zjawili się w El Girasol prawie w tym samym czasie, bo jego przywieźli dwadzieścia po tym, jak ja się wprowadziłem.

- Ten chłopak cię ubóstwia.

- Nie powinienem nikogo faworyzować.

Kocham ich wszystkich, ale myślę, że jeśli kiedyś wrócę do Stanów, spróbuję go zaadoptować.

- Jeśli?

119.

- Jeśli - powtórzył.
- Jak często przyjeżdżają tu takie grupy jak nasza?
- Z dziesięć razy w roku.

Głównie latem.

Czym się zajmujesz w Stanach?

- Jestem higienistką stomatologiczną.
- Twoje kwalifikacje bardzo by się tutaj przydały - Paul spojrzął na Christine.
- Zauważyłem, że Jessica i Jim świetnie się czują w swoim towarzystwie.
- Tak myślisz?

Uśmiechnął się.

- Od dawna się przyjaźnicie?
- Od zawsze.

Odkąd byliśmy małe.

- A czym się zajmuje Jessica?
- W zasadzie wszystkim, na co ma ochotę.

Aktualnie pracuje w firmie public relations.

Jej ojciec jest kongresmanem, więc raczej nie ma problemów ze znalezieniem pracy.

- Czyj to był pomysł, żeby przyjechać do Peru?
- Jess.
- Ale ty się zgodziłaś?
- Nie od razu.

Jessica jest.

- szukała odpowiedniego słowa - dosyć stanowczą osobą.

Paul pokiwał głową.

- A propos - przypomniał się Christine.
- Ona wymyśliła, że dziś wieczorem urządzimy pożegnalną imprezę.

To nasza ostatnia noc w Cuzco.

Może wpadłbyś?

- Dziękuję, ale mytu dzisiaj mamy przyjęcie urodzinowe Pabla.

Chłopcy planowali je od miesiący

- Co dobrego przygotowaliście?
- Mamschowanepudełko ciasta w proszku, a chłopcy zrobili piñatę.
- A czy ja mogłabym przyjść?

Paul spojrzął na nią uważnie.

- Mówisz serio?
- Myślę, że może być fajna zabawa.

Poza tym, sam nie dasz rady przygotować przyjęcia dla dwunastu chłopaków.

120

- A co z imprezą Jessiki?
- Wątpię, czy ona w ogóle zauważy, że mnie nie ma.

Paul pomyślał chwilę.

- Mogłbym cię odwiedzić do Cuzco, kiedy dzieciaki pójdą spać.

Będzie już raczej późno.

- Mnie to nie przeszkadza.

- W takim razie jesteś zaproszona.
- Świetnie - powiedziała i oboje z powrotem zabrali się do pracy.

ROZDZIAŁ Jedenasty:

Dziś -wieczorem usiedliśmy z Christine podrozwieżdzonym niebem i sam nie wiem, co wywarło namnie większe wrażenie: to, co mówiła, to, jak wyglądała, czy to, jak się czułem w jej obecności.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Gdy rozległ się dzwon wzywający na lunch, dach i dwie ściany szklarni były już oplecione siatką.

Christine usiadła w cieniu, a Paul poszedł poprowiant.

Zawartość pudełek była identyczna jak poprzednio.

- Nie sądziłam, że będę tęsknić za McDonalodem - powiedziała Christine.

Wyjęła z bułki plasterek szynki i odłożyła go nabok.

Jim i Jessica pojawili się u wyjścia z klatki schodowej, wzięli swoje porcje i dołączyli do Paula i Christine.

Zbliżając się, Jessica zerknęła na Paula, a potem posłała Christine zaciekawione spojrzenie i dosiadła się do niej.

Jim usiadł obok Paula.

- Położyłem kable w sypialni chłopaków - powiedział.

- Wreszcie będą mieć światło.

- Dzięki.

Strasznie się ucieszają.

Jessica nachyliła się do Christine i szeptem zapytała:

- Co ciekawego porabialiście?

- Naciągaliśmy drut.

- No i?

- Co "no i"?

- Jesteś jakaś.

rozpromieniona.

Christine pokręciła głową.

- I kto to mówi?

Lepiej powiedz Sledge'owi, że do twarzy mu w twojej szmince.

Jessica błyskawicznie obróciła głowę, żeby spojrzeć na Jima.

- Nawet nie zauważyłam.

Myślisz, że ktoś coś podejrzewa?

123.

- Nie, Jess; myślę, że wszyscy wiedzą.

Po twarzy Jessiki przemknęło zdziwienie.

- Serio?

- Przecież to się rzuca w oczy.

Jessica zmarszczyła brwi.

- Niedobrze.

Jemu nie wolno nawiązywać bliższych kontaktów z uczestnikami wyjazdów.

Tak jest polityka firmy. Może za to wylecieć z pracy.

- Trochę późno, żeby się zacząć tym martwić.

Przez moment Jessica wyglądała na przejętą, ale zaraz się rozluźniła.

- C'est la vie.

A jak tamty i Paul?

- Ja mu tylko pomagam, tak samo jak ty pomagasz Jimowi.

- Wypiła łyk jogurtu.

- No, może nie do końca.

A właśnie: dziś wieczorem mam zamiar pomóc mu przygotować przyjęcie urodzinowe dla Pabla.

- A co z naszą imprezą?

Christine rozpakowała czekoladę.

- Ty i Jim nawet nie odczujecie mojej nieobecności.

- Co ty pleciesz?

Oczywiście, że.

- Jess.

Jessica próbowała ją podejść z innej strony.

- A jak wrócisz do Cuzco?

- Paul zaproponował, że mnie odwiezie.

- Jak chcesz.

Kiedy skończyli jeść, Paul i Christine wrócili do pracy.

W ciągu kilku godzin ekipa skończyła mocować siatkę i można już było zarzucić folię.

Następnie cały proces rozpoczęła od nowa, tym razem od zewnątrz.

Kiedy grupa była już gotowa do wyjazdu, Paul i Christine zajrzeli do kuchni.

Richard krzątał się tam już od jakiegoś czasu i całe pomieszczenie wypełniał teraz zapach pieczonej pizzy.

Paul zajrzał do piekarnika.

124

- Prawie gotowa - powiedział.

Podszedł do szafki, wyjął opakowanie ciasta w proszku i zaczął czytać przepis na pudełko.

- Ja mogę je upiec - zaoferowała się Christine.

- Proszę.

- Podał jej pudełko.

- Potrzebne będą jajka i olej roślinny.

- Huevos y aceite vegetal.

- Paul przyniósł jej miseczkę jaj, butelkę oleju, makutrę i drewnianą łyżkę do mieszania.

Olej znajdował się w wąskiej butelce z brązowego szkła, aciemneskorupki jajnosiły jeszcze śladyodchodów i resztek słomyPrzyjrząwszy się im, Christine przygryzła wargi.

- Świeższe byćnie mogą - powiedział Paul.

-Przywykłam do życia wświecie bardziej sterylnym-odparła Christine, myjąc jajka.

- Pamiętaj, żeby dostosować proporcje do wysokości nadpoziomem morza.

-Ach, rzeczywiście.

- Zaskoczyło ją, że Paul o tym pomyślał, a ona nie.

Zerknęła na pudełko.

- "Dodajdo proszkułyżkę stołową mąki".

Tu jest napisane "od tysiąca dodwóchtysięcy metrów nad poziomem morza".

Myślisz, że łyżkawystarczy?

Jesteśmyprawie w kosmosie.

- Możesz dodać troszkę więcej.

Gdy Christine zaczęła wbijać jajka do makutry, w drzwiachpojawiła się Roxana.

Zapukała we framugę, żeby zwrócić nasiebie uwagę.

Christineuśmiechnęła się na widokdziewczynki.

- Wejdz, skarbie - powiedziała i przywołała małą gestemdo siebie.

Roxana podeszła bliżej.

Christine wbiła ostatnie jajko, wlała wodę i olej.

Potemwsunęła Roxanie łyżkę do ręki.

- Możesz wymieszać?

Roxana nie spuszczałaz niejwzroku, więc Christine wzięła ją za rękę ipokazała, coma robić.

Dalejdziewczynka mieszała już sama.

125.

Kiedy składniki dobrze się połączyły, Christine wyjęła łyżkę.

- Gracias.

Teraz możesz oblizać.

Roxanachciała włożyć łyżkę z powrotem, ale Christine ją powstrzymała.

- Nie.

Obliz.

- Zwróciła się do Paula - Jak będzie "lizać" po hiszpańsku?

- Lamer - odparł Paul, który obserwował to wszystko z zaciekawieniem.

- Lamer - powtórzyła Christine.

Zbliżyła łyżkę do usti udawała, że liże, a potem podałają Roxanie.

Dziewczynka zaczęła oblizywać łyżkę, z początku nieśmiało, potem coraz energiczniej, aż usta i brodę miała całe umazane czekoladową masą.

Do kuchni wszedł Richard, spojrzał na nich, a potem podszedł do pieca i wyjął pizzę.

- Macie jakąś formę?

- spytała Christine.

- Jasne.

- Paul zamienił dwa słowa z Richardem i przyniósł płytką aluminiową brytfannę oraz ściereczkę.

- Możesz jej użyć do nasmarowania, jest czysta.

Christine nasaczyła ściereczkę odrobiną oleju i natłuściła brzegi oraz dno brytfanny, a potem obsypała je mąką.

Następnie wlała ciasto.

- Gotowe.

Nastawiłeś piekarnik na sto osiemdziesiąt stopni?

- spytała Paula.

- Powinien być już nagrany.

- Ale na sto osiemdziesiąt?

Paul stłumił śmiech.

- Christine, to jest zwykły piec opalany drewnem; nie ma żadnego regulatora.

- To skąd wiecie, jaka jest temperatura?

- Wkładasz rękę do środka i liczysz, ile sekund wytrzymasz.

- Mówisz poważnie?

Paul kiwnął głową.

126

- Trzy, cztery sekundy to jest akurat w sam raz na ciasto

- W takim razie zostawiam to na twojej głowie, a ja tymczasem pójdę z Roxaną przygotować ją do przyjęcia.

Paul spojrzał zdziwiony na dziewczynkę.

- Jak to?

- No wiesz, trzeba ją wykapać, uczesać.

Rozumiem, że nie robisz tego za często?

- Nie bardzo.

- Nie bardzo czy wcale?

- Wcale.

-Paul, to jest mała kobieta- powiedziała z lekkim wyrzutem.

- Mógłbyś jej przetłumaczyć, co chce zrobić?

Paul podszedł do Roxany i przekazał jej na migi słowa Christine.

Roxana się uśmiechnęła i spojrzała na nią z uradowaną miną.

- Gdzieś te rzeczy, które dla niej kupiłam?

-Zaraz przyniosę.

Po chwili wrócił ze wstążką, grzebyczkami i lusterkiem.

Christine wzięła rzeczy, chwyciła Roxanę za rękę i zaprowadziła ją na górę do pokoju.

Paul włożył dłoń do piekarnika, żeby sprawdzić temperaturę, poczym wstawił ciasto.

Christine posadziła Roxanę na łóżku i usiadła koło niej.

- Najpierw przejrzymy twoją garderobę.

- Rozejrzała się i zauważyła stojący przy drzwiach kufer.

Podniosła wieka

W środku było pełno ciuchów, głównie używanych, przywiezionych tu przez grupy amerykańskich wolontariuszy.

Poszperała w nich i znalazła różowo-białą sukienkę bez rękawów.

Uniosła ją do góry, oceniła na oko rozmiar i zniosła Roxanie.

Dziewczynka zdjęła dzinsy i koszulkę przy pomocy Christine włożyła przez głowę sukienkę, która na chudymciałku małej wyglądała na trochę za luźną.

Christine z powrotem posadziła Roxanę na łóżku i starannie zaplotła jej włosy w warkocze, zostawiając kosmyk, który częściowo przysłaniał

127.

biegnącą przez całą twarz bliznę.

Przez ten czas dziewczynka siedziała jak skamieniała.

Christine rozpakowała wstążkę i związała na obu warkoczach kokardki.

Ładnie się odznaczały na czarnych włosach małej: wyglądały jak żółte motyle na stercie węgla.

Na umywalce leżał ręcznik; Christine wytarła nim Roxanie twarz brudu i resztek czekolady, aż cera się zaróżowiła.

Potem wyjęła ze swojej szaszki podróżny zestaw do makijażu i delikatnie posmarowała jej usta błyszczkiem.

Otworzyła małą fiolkę perfum i dała Roxanie powąchać.

Dziewczynka podniosła oczy z uśmiechem.

Christine skropiła odrobiną perfum jej szyję i to samo zrobiła sobie.

W końcu wręczyła Roxanie lusterko.

Dziewczynka rozpromieniła się na widok swego odbicia.

Ostrożnie dotknęła kokardek i uśmiechnęła się do Christine.

- Wyglądasz jak prawdziwa dama.

Teraz Christine zajął się swoimi włosami i makijażem, a Roxana przyglądała się temu z fascynacją.

Dziewczyna posmarowała usta szminką w ciemniejszym odcieniu, co jeszcze podkreśliło ich pełny kształt, a potem starannie nałożyła na policzki róż i pomalowała rzęsy grubą warstwą tuszu.

W końcu schowała kosmetyki i wzięła małą za rękę.

- Ciekawe, co teraz powiedzą chłopcy? Gdy stanęły w drzwiach kuchni, Paul nie mógł oderwać od nich oczu.

- No i jak?

- Brak mi słów.

- My, kobiety, umiemy o sobie zadbać.

- I dodała wesoło: - Nie gap się tak na mnie, spójrz na Roxanę.

- Nareszcie wygląda jak dziewczynka.

- I o to chodziło - powiedziała triumfująco Christine.

Paul zamienił z Roxaną kilka słów na migi.

- Ona mówi, że teraz jest taka ładna jak ty.

Wywołało to uśmiech na twarzy Christine.

- Co z ciastem?

- spytała.

128

- Wciąż się piecze - odparł Paul.

- Ale już chyba niedługo.

Pod nieobecność Christine Paul przygotował składniki potrzebne do zrobienia polewy czekoladowej.

Christine zmieszała je teraz i okazało się, że dzięki dodaniu mocnego peruwiańskiego kakao polewa wyjątkowo się udała.

Piętnaście minut później wyjęła ciasto z pieca.

Wyszło dosyć koślawe i Christine się roześmiała.

- Jesteśmy dotego przyzwyczajeni- wyjaśnił Paul.

- Poto tapolewa.

W tym momencie do kuchni weszła Jessica.

-Mmm,co za zapachy.

- powiedziała i jej wzrok spocząła Christine.

-Ależ ty wyglądasz,kobieto!

- Pomyślałam, że przyda się trochę ogarnąć.

-My się już zbieramy Napewno nie chcesz z nami wracać?

- Nie, nie;poradzę sobie.

Jessica pocałowała ją w policzek.

- Szkoda.

No nic, muszę lecieć - rzuciła i wyszła.

Po odjeździe Amerykanów chłopcy zaczęli się schodzić do jadalni i zajmować miejsca przy stole.

Wszyscy gapili się na Roxanę, jakby ją widzieli po raz pierwszy w życiu.

Pablo odważył się przerwać ciszę.

- On wygląda jak dziewczyna - stwierdził.

-Bo to jest dziewczyna - powiedziała Christine.

Deyvis odmówił modlitwę, a potem Roxana razem z chłopcami ustawili się z talerzami w kolejce.

Richard nakładał każdemu porcję pizzy i kromkę pieczywa czosnkowego.

Pauli Christine stali jako ostatni.

Christine przyglądała się pizzy

- Co to za mięso?

Wygląda jak tuńczyk.

- Bo to jest tuńczyk - odparł Paul.

- Stany Zjednoczone to chyba jedyny kraj na świecie, gdzie się go nie dodaje do pizzy.

Christine wzięła sobie kawałek i usiadła przy stole obok Roxany i Paula.

129.

Gdy już kończyli jeść, Paul wyciągnął piñatę.

kukłę z masypapierowej uformowaną w kształt lamy i ozdobioną wstążkami z kolorowej bibuły. Na jej widok chłopcy wzniesli okrzyk radości i wybiegli za Pauliem na ganek.

Paul jednym końcem sznurka obwiązał głowę lamy, a drugi przewiesił przez krawężnik i podciągnął piñatę do góry.

Pablo jako solenizant miał prawo pociągać za sznurek.

Paul chciał wręczyć kij bejsbolowy Gordonowi, ale ten zaprotestował.

Chłopcy zaczęli się przekrzykiwać nawzajem, choć Christine nie rozumiała ani słowa, poznała go po gestach, że to, czego się domagają, ma związek z jej osobą.

- Oni chcą, żebyś ty zaczęła - wyjaśnił Paul.

Christine spojrzała po ich pełnych oczekiwania twarzach.

- Jak miło z ich strony - powiedziała.

- Hm..

niezupelnie.

- Paul uśmiechnął się pod nosem.

- Oni chcą sobie z ciebie zrobić pośmiewisko.

- A to się jeszcze przekonamy.

Gdzie masz coś do zasłonięcia oczu?

Paul zawiązał jej oczy chustką do nosa, chwycił za ramiona i poprowadził w stronę piñaty, a potem wręczył kij.

Christine złapała go mocno obiema rękami.

- Czekaaj, Babę Ruth!; zanim zaczniesz tłuc, pozwól, żeby się usunę w bezpieczne miejsce.

- Paul odszedł na bok i powiedział: - Dobra, możesz zaczynać.

Pablo szarpnął za sznurek i piñata poderwała się w górę.

Christine pięciokrotnie próbowała wycelować kijem, lecz bez skutku, a z każdym kolejnym zamachnięciem chłopcy śmiali się coraz głośniej.

W końcu zdjęła chustkę.

- No dobra, już dość tych upokorzeń.

Dajmy spróbować Roxanie.

Christine podprowadziła małą do piñaty i zawiązała jej oczy. Dziewczynka od razu zaczęła wymachiwać kijem.

Pablo Legenda amerykański bejsbolista [przyp. tłum.

].

130

lo nie ruszał sznurka, chciał jej ułatwić trafienie, ale skończyło się tylko na tępym uderzeniu.

- ¡Muevela, Pablo!

,

- ¡Mds rdpido!

"

-No- odpowiedział Pablo.

- A Pablo le gusta Roxana"- zawołał Joe i reszta chłopców natychmiast się przyłączyła.

- ¡Cállense, tontos!

- odciął się Pablo, a potem dodał po angielsku: - Głupki!

- Basta - wtrącił się Paul i chłopcy umilkli.

Roxanauderzyła w pinaj jeszcze kilka razy ale wciąż bezskutku.

- Teraz będzie problem, bo musimy jej jakoś odebrać - powiedział Paul.

Gdy Roxana po raz kolejny się zamachnęła, szybko chwycił czubek kija.

Dziewczynka odsłoniła oczy, a Christine wzięła ją na ręce.

- Świetnie się spisałaś, kochanie.

Roxana wtuliła się w nią.

Tymczasem Ronal już za drugim razem skutecznie trafił w piątki dookoła posypały się cukierki.

Chłopcy rzucili się, żeby je pozbierać.

Christine postawiła Roxanę na ziemi.

- Idź, Roxano - zachęcała.

- Weź sobie.

- Próbowała nakłonić dziewczynkę, żeby się ruszyła, ale miała tylko objęła ją mocno za nogę, trzymając się z dala od całej kotłowniny. Christine schyliła się, żeby pomóc Roxanie, ale cukierków już prawie nie było.

Spojrzała bezradnie na Paula.

- Paul, ona nic nie dostała.

- Nie martw się, nic jej nie ominie.

Kiedy wszystkie cukierki zostały zebrane, chłopcy ułożyli je w jedną kupkę.

Pablo, ciągnij!

Szybciej!

Pablo kocha się w Roxanie.

131.

- iOwncéf - zapytał Deyvis.

-No. Trece es sufidente" - odparł Paul.

Chłopcy podzielili słodczy na trzynaście równych porcji.

Christine patrzyła na to wosłupieniu.

- Nawet nie kazałem tego robić.

-Te dzieciaki prędzejdałyby sobie rękę uciąć niż wziąćcoś, czego inni nie dostali.

- Moglibyśmy się od nich uczyć.

-Ja to robiękażdegodnia.

- powiedział Paul.

-Quienquiera torta?" - zapytał.

Chłopcy wydaliokrzyk radości i wybiegli.

- Chodź, Roxano - powiedziała Christine.

Przez całą drogędo kuchni dziewczynka nie chciała puścić jej ręki.

Gdyweszły, chłopcy już siedzieli przy stole; Pablo na honorowymmiejscu.

Paul wyjął zapałki i zapalił świeczki.

- No, Pablo - powiedziała Christine.

- Zdmuchnij.

Chłopiec spojrział na tort.

- Tu jest za dużoświeczek: ja mam tylko osiem lat.

-To taki amerykański zwyczaj - wyjaśniła.

- Dodajemyjedną na szczęście.

- Aha - powiedział Pablo, nabrał powietrza i dmuchnął.

-Cantemos"" - zaproponował Paul.

Chłopcy odśpiewali PablowiHappy birthday, najpierw poangielsku, a następnie po hiszpańsku.

Potem Paul pokroiłciasto i nałożył na talerzyki, a Christine je rozdała.

Pablo dostał w prezencie odPaula nowy sweter, pudełko farbek i gruby blok papieru do malowania.

Solenizant byłniebowzięty i dziękował w obujęzykach.

Potem Christinewręczyła muplastikową ciężarówkę i chłopcom ażoczy wyszły na wierzch z zazdrości.

Piętnaście?

Nie, trzynaście wystarczy.

Kto ma ochotę na tort?

Zaśpiewajmy.

132

- Un camión.

Super!

- Pablo rzucił się Christine na szyję.

-Dziękuję, pani Christine.

- Wszystkiego najlepszego.

Christine zerknęła na Paula ispostrzegła, że oczy aż mu błyszczą zszczęścia, kiedy patrzy na radość Pabla.

Zrozumiała, że ongo nie kocha jak własnego syna; on uważa, że to jest jego syn.
Zastanowiła się, czy nie dlatego dał mu tylko imię.

Kiedy resztki ciasta zniknęły z talerzy, chłopcy wybiegli na zewnątrz, zostawiając Paula, Christine i Roxanę w kuchni.

Paul zaparzył koki, napełnił dwie filiżanki i przyniósł do stołu.

Roxana siedziała z głową przytuloną do blatu, a Christine delikatnie głaskała ją po plecach.

- Nawet nie spytałem, czy lubisz herbatę z koki - powiedział Paul.

- Jak chcesz, zrobię ci coś innego.

- Nie, nie.

Nie trzeba.

Pomaga mi znieść ten klimat.

- Jeszcze ci nie przeszło?

- Nie do końca.

Cały czas czuję szum w głowie.

Usiadł naprzeciwko niej.

- Najgorzej jest, jak się człowiek przeziębi.

Cukru?

- Tak.

Dużo.

Paul wsypał do filiżanki kopsa łyżeczkę cukru i zamieszał.

- Kiedyś jakiś włoski turysta powiedział mi, że ta herbata śmierdzi mu koniem.

Christine się roześmiała.

- Mnie ten smak przypomina raczej kiełki lucerny - Paul pociągnął łyk.

- Nigdy mi to nie wpadło do głowy, ale faktycznie.

Może jednak trzeba było zrobić kawę.

- Nie, lucerna jest w porządku.

O której chłopcy idą spać?

- Zwykle około dziewiątej, ale dzisiaj im obiecałem, że mogą posiedzieć do dziesiątej.

Zdaje się, że właśnie mijają.

Christine dopiła herbatę.

133.

- Mam ich zaprowadzić na górę?

-Nie trzeba.

Muszę im tylko powiedzieć, że już czas.

Ale jestem pewien, że Roxana nie miałaby nic przeciwko temu, żebyś ją ułożyła do snu.

- Z wielką przyjemnością.

Słońce schowało się za horyzontem, pogrążając dziedziniec w ciemnościach, z wyjątkiem jednej smugi światła, która tworzyła długie, wyraziste cienie.

Paul zawołał chłopców, a Christine wzięła Roxanę za rękę i zaprowadziła ją do pokoju.

Gdy tylko tam się znalazły, dziewczynka zdjęła sukienkę, starannie ją złożyła i umieściła w kufrze.

Wyjęła duży koszulę nocną, włożyła ją i podeszła do łóżka.

Christine odwinęła pościeli i pomogła Roxanie wślizgnąć się pod kołdrę.

Postała chwilę przy łóżku, wpatrując się w twarz dziewczynki.

Roxana także przyglądała się Christine.

Chłopcy mieli swoją sypialnię za ledwie kilkoro drzwi dalej i właśnie w tym momencie z dzikim wrzaskiem przebiegli obok pokoju Roxany, goniąc Pabla i jego nową ciężarówkę.

Zachowywali się tak głośno, że Christine nie mogła się nadziwić, że dziewczynka śpiw takim hałasie.

Po chwili zaśmiała się w duchu z własnej bezmyślności.

- Szkoda, że nie mogę ci poczytać bajek - powiedziała.

Odgarnęła Roxanie włosy z czoła i delikatnie przesunęła palcem po bliźnie.

- Co oni ci zrobili, maleńka?

Roxana wyciągnęła rękę i dotknęła ust Christine.

Powiedziała coś do niej na migi.

Christine uśmiechnęła się smutno.

- Nie wiem, co do mnie mówisz, kochanie.

Zupełnie jakby rozumiejąc jej słowa, Roxana powtórzyła ruchy rąk, tym razem wolniej. Christine pokiwała głową.

- Poproszę Paula, on mi przetłumaczy.

Dobranoc.

- Nachyliła się, żeby pocałować dziewczynkę w czoło, a potem naciągnęła jej kołdrę pod brodę.

Wychodząc, wyłączyła światło i jeszcze raz się obejrzała.

Mimo ciemności zauważyła, że

134

Roxana wciąż nanią patrzy.

Odwróciła się z ociąganiem i poszła do kuchni.

Paul zmywał właśnie ostatni talerz.

- Pomóc ci?

- Już kończę.

Jak poszło?

- Słodki dzieciak - powiedziała Christine i usiadła przystole.

- Powiedz mi: cotoznaczy?

-Spróbowała wmiarę możliwości powtórzyć ruchy rąk Roxany.

- Powiedziała, że cię kocha.

Christine westchnęła ze wzruszeniem.

- Ja też czuję, że coraz bardziej ją Kocham.

Paulspojrzał tylko, ale nic nie powiedział.

Wytań dłoniem ścierkę.

- Jesteś wolna, pewnie chcesz już wrócić do Cuzco.

-Prawdę mówiąc, chętnie bym jeszcze posiedziała.

Jeśli, oczywiście, nie jesteś zmęczony

- Bynajmniej - uśmiechnął się.

- A może pójdziemy naspacer?

- Świetnie.

-Znam idealne miejsce.

Wyszli w noc i mijając szklarnię na tyłach hacjendy wspięli się na wzniesienie, które otaczało El Girasol od południa.

Gdy ścieżka zrobiła się bardziejstroma, Paul wziął Christineza rękę i poprowadził prawie trzydzieści metrów w górę domiejsca, gdzie wielki odłam skały tworzył poziomy występ.

Dziewczyna dostała zadyszki.

Paul starł ze skały pył i pomógł Christine wejść.

Usiadła nakrawędzi i spuściła nogi.

Mężczyzna przysiadłobok.

Rozciągająca się przed nimi dolina tonęła wblasku księżyca, a czarne wody świętejrzeki Inków migotały w jego blasku niczym konstelacja gwiazd.

Cykady, jakmuzycy ukryciw orkiestronie, wyśpiewywały im zeswych kryjówekserenady

- Pięknie tu - powiedziałaChristine.

- Często tu przychodzisz?

- Czasami.

Zazwyczaj wtedy, gdy chcę odpocząć od chłopaków.

135.

Uśmiechnęła się na te słowa.

Oparła się na łokciach, zadarła głowę do góry i spojrzała w niebo.

- Jak wyraźnie widać gwiazdy Gdzie jest Wielki Wóz?

- To nie ta półkula.

Tutaj mamy Krzyż Południa.

- Nigdy bymnie pomyślała, że gwiazdy będą tu inne niż u nas.

Pokażesz mi go?

Paul nachylił się nad nią i wskazał na zachodnią część nieba.

- Widzisz te cztery gwiazdy?

Tam, gdzie jedna świeci tak jasno?

- Tak.

- To jest właśnie Krzyż Południa.

Najjaśniejsza z tych gwiazd, ta u podstawy krzyża, nazywa się Acrux.

W zasadzie są to dwie gwiazdy, które orbitują wokół siebie.

Paul zamilkł na chwilę, a potem zaczął recytować:

Gdyśmy naprawo obrócić i teraz nad drugi biegun, widzę gwiazd czterech, co
jako rajscy znali je włodarze.

Niebioso od nich blask radosny biorą, o, biedne, wdowie wy północne strony, które ich
żadna nie widzicie porą.

- Mmm, sam to napisałeś?

- spytała Christine.

- To Dante.

Wielu badaczy literatury uważa, że w tym fragmencie opisuje on właśnie Krzyż
Południa, ale przecież nie mógł go widzieć.

Florencja leży za daleko na północy. A jednak to dziwne, że pisze o "wdowich
północnych stronach".

Dawniej Krzyż Południa był widoczny w Jerozolimie, a teraz, z powodu ruchów
precesyjnych Ziemi, już nie.

Podobno ostatni raz widziano go tam w tym samym wieku, w którym ukrzyżowano
Chrystusa.

fragm.

Boskiej komedii ("Czyściec", Pieśń I) w tłumaczeniu Aliny Swiderskiej.

136

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Dużo czytam - odparł Paul i spojrzał w niebo.

- Przez całe stulecia Krzyż Południa wyznaczał kurs żeglarzom i podróżnikom.

Ludzie od zawsze spoglądali w gwiazdy, szukając wskazówek.

Są też tacy, którzy wierzą, że one określają nasze przeznaczenie.

- Ty też do nich należysz?

- Samnie wiem.

W Stanach nie bardzo mi sprzyjały. Potem przyjechałem tutaj i wszystko się zmieniło,
więc może coś w tym jest.

- Mnie też przydałaby się teraz jakaś nowa gwiazda - powiedziała Christine.

Paul ogarnął wzrokiem dolinę.

- Inkowie wierzyli, że święta dolina stanowi odbicie gwiazdozbiorów.

Zrozumiesz, co mamna myśli, kiedy jutro tam pojedziesz.

Wzmianka o wyjeździe zasmuciła Christine.

Siedziała, machając nogami, i błędziła wzrokiem w oddali.

- Dlaczego nazwaliście ośrodek "Słonecznik"?

- Tak się nazywała posiadłość.

Zapewne zbudowano ją w miejscu, gdzie kiedyś rosło pole słoneczników.

Zachowaliśmy tę nazwę, bo podoba mi się metafora zwracania się w stronę słońca.

Nasza praca tutaj polega przecież na dawaniu nadziei.

- Zawsze uwielbiałam słoneczniki.

Cały mój ślub.

- urwaław pół słowa.

- Po prostu lubię te kwiaty

Paul zauważył, że ugryzła się w język, ale nie drażył tematu.

- Nie było przykro Jessice, że nie pojechałaś nimi do hotelu?

- Trochę, ale przejdzie jej.

Tak naprawdę potrzebowała tylko jakiejś przykrywki, bo się bała, że ludzie nabiorą podejrzeń, że coś ją łączy z Jimem.

Jakby już tego nie wiedzieli.

- Mam nadzieję, że ona nie obiecuje sobie zbyt wiele potym związku.

Jim to podrywacz: cowyjazd to nowa dziewczyna.

137.

- W takim razie są dla siebie stworzeni - podsumowała Christine.

- Jessica działa na facetów jak magnes.

Wprost niemoże się od nich opędzić.

To piękna kobieta, a przy tym takawesoła i spontaniczna.

- Jak ty

- Daleko miodo jej urody A już na pewno nie jestem spontaniczna.

- Uważam, że jesteś ładniejsza od Jessiki, a dziś na przyjęciu zachowywałaś się na moje oko całkiem spontanicznie.

Chłopcy mogą to potwierdzić.

- Nie znasz mnie.

Jestem wybredna, przesadnie pedantyczna i.

- przerwała.

- Co?

- Cały czas się czegoś boję.

Lekki wiaterek zawirował wokół nich, jak gdyby porywając ze sobą jej słowa.

Christine patrzyła w dal na oświetlone księżycem pola, które falowały na wietrze.

- Czego się boisz?

- Życia w ogóle.

Choć myślę, że najbardziej boję się samotności.

- Jak wszyscy ludzie na świecie - powiedział Paul i przyjrzał się jej.

- A co, masz jakieś złe doświadczenia?

- Kiedy byłam mała, moi rodzice się rozwiedli.

Wiem, że to nic nadzwyczajnego, ale ojciec z biegiem czasu kompletnie wykreślił mnie ze swojego życia.

Założył nową rodzinę i stałam się dla niego tylko wspomnieniem po błędzie, który popełnił w przeszłości.

Zmarł dwa lata temu.

Pod koniec już nie utrzymywaliśmy ze sobą żadnego kontaktu.

- Przykro mi - powiedział Paul.

Christine spoglądała w dal na hacjendę.

- Jeszcze ci nie powiedziałam, dlaczego Jessica tak mnie namawiała, żebym przyjechała do Peru.

- Paul spojrzal nią.

- Chciała mnie wyciągnąć z Dayton.

- A co takiego jest w Dayton?

138

- Głównie ból i cierpienie - Christine nerwowym ruchem odgarnęła włosy z twarzy - W październiku miałam wyjść za mąż.

Tydzień przed ślubem mój narzeczony stwierdził, że jeszcze nie jest na to gotowy, i odwołał zaręczyny - Łzy napłynęły jej do oczu.

- Wybacz; niewiem, po coci towszystko opowiadam.

- Mów, to pomaga.

Jego głos podzielał na nią kojąco.

- Dzisiejszy dzień jest pierwszym od czasu odejścia Martina, kiedy udało mi się

o nim nie myśleć.

W każdym razie teraz - zachmurzyła się.

- Twój narzeczoną ma na imię Martin?

Kiwnęła głową.

- Martin Lyn Christensen.

Miałam się nazywać Christine Christensen.

Śmieszne, co?

Paul wzruszył ramionami.

- Przynajmniej łatwo zapamiętać.

- To spróbuj powtórzyć to szybko trzy razy z rzędu.

Spróbował, ale bez powodzenia, więc oboje wybuchnęli śmiechem.

Dobrze się znowu śmiać, pomyślała Christine, zwłaszcza z czegoś, co przedtem sprawiało wyłącznie ból.

Po chwili zapytała:

- A ty?

Cociebie skłoniło do przyjazdu?

- Do El Girasol?

- Do Peru.

Zamyślił się, jak gdyby pierwszy raz zastanawiał się nad tym pytaniem.

- Chciałem popływać nadesce.

Christine zajrzała mu w oczy, chcąc sprawdzić, czy mówi poważnie.

- Naprawdę?

Roześmiał się.

- Nie.

- Odwrócił głowę i umilkł.

Po chwili znów spojrzał na Christine.

- A jak myślisz?

139.

- Podejrzewałam kryminalną przeszłość.

Znudziło ci się napadać nabanki w Stanach, więc przyjechałeś tutaj, bo słyszałeś, że jest łatwiej.

Paul wybuchnął śmiechem, ale Christine wciąż nie uzyskała odpowiedzi na swoje pytanie.

Gwałtowny podmuch wiatru ze świstem przetoczył się po wzgórzu.

- Nie powiesz mi, prawda?

- Nie - pokręcił głową Paul.

- Tonie sprawiedliwe.

Ja ci zdradziłam, comnie gryzie.

- Kolejny dowód nato, że sprawiedliwości nie ma na świecie.

- To powiedz mi chociaż, dlaczego nosisz na szyitego żołnierzyka?

Paul zdawał się być zaskoczony, że go zauważyła.

- Mami o czymś przypominać.

- O czym?

Uśmiechnął się.

- O czymś, o czym wolałbym zapomnieć.

- Strasznie jesteś tajemniczy

- To źle?

- Nie, to nawet dość pociągające.

- Spuściła wzrok isplotła dłonie na kolanach.

- Jutro wybieram się do Machu Picchu, a potem do Puerto Maldonado.

Będziemy mieszkać w samym środku dżungli.

- W Makisapa Lodge.

- Znasz to miejsce?

- Byłem tam wiele razy Czasami współpracuję z Puma-Condor Expeditions,

kiedy brakuje im ludzi.

- Czy tam jest dużo pajaków?

- Wątpię, czyuda ci się spotkać choć jednego.

No, może kilka.

- Zrobił pauzę.

- Tak naprawdę są wszędzie.

Christine złapała się za głowę.

- No to pięknie.

- Boisz się pajaków?

- Potwornie.

Zwłaszcza tych wielkich, owłosionych.

140

- Kiedyś mnie taki ugryzł.

To był miejscowy gatunek ptasznika.

Mówię ci, piękne stworzenie.

Chodził mi po ręce, a ja chciałem go zrzucić.

Wbił mi w skórę oba zęby.

- Wystarczy, zaraz się załamie.

Powiedz, że żartujesz.

- Musiałbym skłamać.

-Jakie to uczucie?

- Bolesne.

-Co ty powiesz.

A dokładniej?

- Jakby mi ktoś wbił dwie pinezki.

Ręka spuchła i zrobiła się fioletowa, ale już na drugi dzień przestało boleć.

- Czy to prawda, że są takie gatunki pajaków, które potrafią pożreć ptaka?

To pytanie rozbawiło Paula.

- Czemu sama siebie zadreczasz?

-Taki już mam charakter.

Muszę wiedzieć.

- To ptaszniak goliat.

Tylko raz miałem okazję go spotkać.

Syknął namnie.

- Syknął?

Pająk?

- Niektóre tak robią.

Ale to jeszcze nie wszystko.

Rok temu poznałem w Cuzco pewnego brytyjskiego podróżnika, eksperta od pajaków.

Badał doniesienia o istnieniu gatunku nazywanego la orana depollo, czyli zabójcy kurczaków.

Naoczni świadkowie twierdzili, że widzieli pająka, który był tak wielki, że potrafił zabić kurczaka i zaciągnąć go do gniazda.

- Teraz to już na pewno się załamie - powiedziała Christine.

- Proszę, ani słowa więcej na ten temat.

- Sama zaczęłaś.

-No to kończę.

Paul siedział przez chwilę w milczeniu i nagle zaczął chichotać.

- Co się stało?

-Naprawdę nie powinienem ci tego mówić.

- Teraz już nie masz wyjścia.

-Jutro zatrzymacie się w miasteczku Urubamba, a w tym języku keczua

znaczy Kraina Pajaków.

141.

- Widzę, że robi się coraz ciekawiej.

Co w takim razie znaczy makisapa K Gniazdo Pająków-Gigantów?

Paul wybuchnął śmiechem.

- Niewiele się pomyliłaś.

Makisapa to gatunek brazylijskiej małpki zwanej małpą-pajakiem.

- No nie; teraz to już na pewno zmyślasz.

- Nie jestem aż taki inteligentny - Uśmiechnął się pogodnie, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Niebój się, nicci nie grozi.

Przez kilka minut żadne się nie odzywało, ale nie była tokrępująca cisza. Christine wyrzuciła z głowy myśli o pająkach, zato teraz myślała wyłącznie o mężczyźnie, który siedział obok i obejmował ją ramieniem.

- Tęsknisz za Stanami?

- zapytała.

- W pewnym stopniu tak.

- A za czym najbardziej?

- Za rodziną.

Za rodzicami i siostrą.

- Kiedy się ostatnio widzieliście?

- Trzy lata temu.

Wtedy u matki rozpoznano ŚLĄ, czyli chorobę Lou Gehriga.

- Współczuję.

- Dzięki.

Siostra z powrotem wprowadziła się do domu, żeby pomóc tacie zajmować się mamą. Dręczą mnie wyrzuty sumienia, że tu siedzę, ale przecież niemogę tak po prostu zostawić tych chłopaków.

- Westchnął ciężko.

- Mówię ci, czasami strasznie tęsknię za Ameryką.

I wcale nie chodzi o jakieś wielkie rzeczy. Nie masz pojęcia, jak fajnie jest teraz rozmawiać z tobą po angielsku.

- Z tobą się fajnie rozmawia bez względu na język - powiedziała Christine.

Spojrzała na hacjendę.

W kuchennym oknie migotało pojedyncze światełko.

Założyła włosy za uszy, oparła się na rękach i popatrzyła na Paula.

- Powiedz: jak to się robi?

- Co?

142

- Zostawia wszystko zasobą.

Jesteś lekarzem, w Stanach musiało ci się nieźle powodzić.

Paul, nagle zamyślony, powiedział:

- "Tajemnicą sukcesu w tym życiu jest uświadomienie sobie, że kryzys na naszej planecie wymaga od nas czegoś więcej niż tylko dokonania wyboru, co zrobić z własnym życiem.

Jeżeli chcemy zrobić coś, co w ostatecznym rozrachunku ma przynieść nam wszystkim

jakąkolwiek korzyść, musimy podjąć działania, które się przyczynią do uzdrowienia świata".

- To było bardzo głębokie.

Paul podrapał się po brodzie.

- To słowa Marianny Williamson'.

Chciałbym być takszlachetny; niestety, nie jestem Matką Teresą.

Czasem się zastanawiam, co ja tu w ogóle robię.

Wciąż zdarza mi się marzyć o życiu w luksusie i dostatku.

Oczywiście, zmieniły się moje kryteria: teraz luksusem jest pokój z klimatyzacją, telewizor, który odbiera sygnał bez zakłóceń i prysznic z ciepłą wodą, która leci dłużej niż pięć minut.

Ale wtedy sobie myślę: "Czy są moje wygodny w porównaniu z życiem tych dzieciaków?"

". Atakich jak one są miliony Dzieci, które wachają klej, żeby zagłuszyć ból pustego brzucha; dzieci, które sprzedaje się do niewolniczej pracy Wyobraź sobie, że organizuje się nawet specjalne wycieczki dla Amerykanów, którzy przyjeżdżają tu po to, żeby uprawiać seks z dziećmi.

Człowiek czyta o tym w gazecie i albo może spróbować coś tym zrobić, albo tylko się wzdrygnie i przejdzie do następnej strony Zbyt wielu ludzi po prostu przewraca stronę. Nawet nie dlatego, że ich tonie obchodzi, tylko dlatego, że to się dzieje na ich podwórku.

A sporo z nas nie ma nawet odwagi wychylić nosa poza próg własnego domu.

- Przez ciebie zaczynam czuć wyrzuty sumienia.

Amerykańska działaczka ruchu New Age, autorka wielu książek [przyp.

tłum.

].

143.

- Może to dobrze - powiedział.

- Aleniębyło moimzamiarem wywoływać w tobie poczucie winy Jestem tak samowinien jak każdy Nie przyjechałem tu z myślą, żeby pomagać dzieciom; to się jakoś samo stało.

- Wtedy, gdy przyjechałeś posurfować.

-Napadaćna banki - poprawił ze śmiechem Paul.

- Alewystarczy już o mnie.

Opowiedz mi coś o Christine.

- A co chciałbyświedzieć?

-Coś, co pozwoli mi cię lepiejpoznać.

- Jużi tak wystarczająco się odsłoniłam, opowiadającozerwanych zaręczynach i odrzuceniu przez ojca.

-Nie, nie;ja miałem na myślicoś lżejszego kalibru.

Naprzykład:jaki jest twój ulubiony film wszechczasów?

- Ulubiony film.

Z tych starszych czyz tych nowszych?

- Obojętne.

-Powinnam pewnie rzucić jakimś słynnym tytułem typuObywatel Kane albo Ojciecchrzestny, ale jeśli mam być szczerą, to.

Cinema Paradiso.

- Historia miłosna - powiedział Paul.

- To małooryginalne.

- Aleto nie jest byle romans.

To jedna najpiękniejszych opowieści o miłości, jakie kiedykolwiek powstały Widziałeś?

Pokiwał głową.

- Widziałem.

I co, uważasz, że Alfredo miał rację?

Czyogień miłości zawsze zamienia się wpopiół?

Christinezastanawiała się chwilę,

- Wygląda na to, że tak -powiedziała smutno i zerknęłaPaula.

- A ty?

Jaksądzisz?

- Myślę, że w popiół zamienia się namiętność.

Ale to dobrze.

Onapowinna ustępować miejscaczemuś lepszemu.

- Na przykład?

-Prawdziwej miłości.

Tej szczególnej więzi, która łączymoich rodziców.

- Jak to?

144

- Wiesz cokolwiek o ŚLĄ?

-Niewiele.

- To się nazywa stwardnienie zanikowe boczne - wyjaśniłnaukowym tonem

Paul.

- Jest to schorzenie, które powoduje degenerację komórek nerwowych w mózgu i rdzeniu kręgowym.

Organizm w końcu przestaje funkcjonować.

Średnia długość życia chorych z ŚLĄ wynosi trzy do pięciu lat.

W tej chwili moja matka jest prawie zupełnie sparaliżowana, nie potrafi już mówić ani pisać, jest uwięziona we własnym ciele.

Może poruszać tylko palcem wskazującym prawej ręki.

W nocy, kiedy ją boli, stuka tym palcem w ramię łóżka.

Wtedy ojciec się budzi i podaje jej środek przeciwbólowy. Od kilku lat nie przespał w całości ani jednej nocy. Zawsze jest przy niej.

- Spojrzał w oczy Christine.

- Wszystko, co kochał, poświęcił dla tej, którą kocha najbardziej: dla swojej matki.

- To piękne - westchnęła Christine.

- Spytałem go, jak on to robi; jakim cudem potrafił zrezygnować dla niej z tylu rzeczy.

To, co powiedział, nauczył mnie więcej o Bogu i Chrystusie niż setki kazań.

- Coto było?

W głosie Paula dało się wyczuć silne emocje.

- Powiedział, że miłość jest silniejsza od bólu.

Christine zamilkła i spuściła wzrok.

Po dłuższej chwili Paul powiedział:

- Zrobiło się późno.

Lepiej cię odwiozę.

- Dziękuję, że pozwoliłeś mi zostać na urodzinach Pabla.

Wspaniale się bawiłam.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Paul zeskoczył zeskoczył i podał rękę Christine.

Schodząc, potknęła się na nierówności i wpadła wprost na niego.

Paul złapał ją w tali.

- Ups - powiedziała.

Cofnęła się o krok i z bliska przyjrzała się jego twarzy. W świetle księżyca oczy błyszczały mu bardziej niż zwykle.

Stwierdził w myślach, że chyba jeszcze nigdy nie widział u nikogo tak pięknych, wyrazistych oczu.

- Muszę się do czegoś przyznać - odezwał się Paul.

Christine przechyliła głowę na bok.

- Tak?

-Gdy cię pierwszy raz zobaczyłem, pomyślałem, że jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie.

Miałem nadzieję, że cię jeszcze kiedyś spotkam.

Dzisiejszy wieczór był spełnieniem moich marzeń.

Przez chwilę Christine patrzyła na niego w milczeniu.

- To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam.

Kiedy tak stali, patrząc sobie w oczy, świat wokół nich jakby się oddalił.

Przywarli do siebie, złączyli usta w pocałunku i na moment zatracili się w sobie.

Gdy się wreszcie od siebie oderwali, Christine nie mogła złapać tchu.

Serce biło jej jak oszalałe.

- Okazałeś mi tyle życzliwości; dziękuję ci za to- powiedziała.

- Bardzo tego potrzebowałam.

- To nie było takie trudne - odparł Paul.

Kiedy schodzili ze wzgórza, cały czas trzymał ją za rękę.

Puścił ją dopiero, gdy znaleźli się z powrotem na dziedzińcu El Girasol.

Uścisk dłoni Paula wydał się Christine cudownie silny i ciepły

- Mój samochód stoi za rogiem.

Przyprowadzę go.

- Zaczekaj - powiedziała Christine.

- Która jest godzina?

- Chyba pierwsza.

-Ile czasu zajmie ci droga do Cuzco i z powrotem?

- Trochę ponad godzinę.

-To znaczy, że będziesz tu dopiero po drugiej.

Nie chcę cię aż tak fatygować.

Mogę przenocować tutaj.

Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Skądże.

Oddam ci swój pokój, a sam prześpię się u chłopaków.

- Nie chciałabym sprawiać kłopotu.

-To mniej kłopotliwe niż jazda do Cuzco.

- Muszę dać znać Jessice.

-Mam numer do Jima; zadzwonię do niego,

146

Wspięli się po schodach, na których pierwszego dnia jedli lunch, i weszli do przestronnego korytarza.

W środku nie paliło się żadne światło, ale Paul zdawał się nie zwracać na to uwagi.

Christine trzymała się blisko niego, a on prowadził ją coraz głębiej w ciemność.

Zatrzymali się przed drzwiami na końcu korytarza.

Paul je otworzył, wszedł do środka i po omacku odszukał sznurek zwisający z sufitu.

Pomieszczenie oświetliła pojedyncza żarówka.

- Skromnie tu, ale zawsze to własnykąt.

Christine rozejrzała się.

Pokój był mały, bezokien, aściany miał pokryte surowymtynkiem.

- Łazienkajest zaraz obok.

Jak będziesz chciała skorzystać, to tam na podłodze leży latarka.

Odstrasza robactwa

- Słucham?

-Żartowałem - powiedział Paul, ale Christine nie bardzow to uwierzyła.

Z drewnianejskrzyni wyjął duży pomarańczowyT-shirt.

-Możesz go użyć w charakterze koszuli nocnej.

- Dziękuję.

Zadzwonisz do Jima?

- Już to robię.

-Dzięki.

Dobranoc.

- Buenos noches - odpowiedziałPaul i odwrócił się w stronę drzwi.

-Paul.

-Tak?

Christine podeszła do niego.

Położyłamu rękę na ramieniu i delikatnie pocałowała w usta.

Trwali takprzezchwilę, dotykając się nosami i czując ciepło swoich oddechów.

- Dziękuję ci - szepnęła Christine.

- Spędziłam dziś cudowny wieczór.

- Ja też.

Śpij dobrze.

Pocałował ją w policzek, a potem szybko wyszedł, zamykającza sobądrzwi.

Christinewsłuchiwała sięw odgłosoddalających siękroków, a w sercu czuła silne pragnienie, aby wybiec za nim i gozawołać.

Gdy wszystko ucichło, usiadła na łóżku.

147.

- Dziewczyno, co ty wyprawiasz?

- powiedziała do siebie na głos.

Rozejrzała się po pokoju.

Na ścianie wisiało zdjęcie pary starszych ludzi.

Domyśliła się, że to rodzice Paula.

Z wyglądu byli po siedemdziesiątce.

Wysoki, szczupły mężczyzna w klasycznym szarym garniturze z wąskimi kłapami oraz niska, korpulentna kobieta ubrana w prostą granatową sukienkę.

"Jacy różni od siebie" - pomyślała Christine.

Kobieta stała, więc zdjęcie najprawdopodobniej zostało zrobione, zanim zaatakowała ją choroba.

Obok wisiał dyplom Georgetown Medical School.

Pod ścianą, na podłodze, leżała spora sterta książek.

Christine wzięła do ręki pierwszą z brzegu i obejrzała: była to publikacja medyczna dotycząca ŚLĄ.

Usiadła z powrotem na łóżku i rozebrała się, starannie składając ubranie i kładąc je na skrzyni.

Potem włożyła T-shirt Paula.

Koszulka była za duża i sięgała jej aż do kolan.

Christine pociągnęła za sznurek od żarówki i pokój pogrążył się w całkowitej ciemności.

Wślizgnęła się do łóżka, naciągając kołdrę pod samą szyję.

Mimo że czuła się trochę nieswojo w tym obcym miejscu, świadomość, że leży w łóżku Paula i ma na sobie jego koszulkę, dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

Przypomniała sobie spędzony z nim wieczór, pocałunki, i uśmiechnęła się do siebie.

Zastanawiała się, o czym teraz myśli Paul, a przede wszystkim, jak to się stało, że odczuła taką bliskość z mężczyzną, którego prawie nie zna.

ROZDZIAŁ Dwunasty:

Uczucia są jak dzikie zwierzęta - nie doceniamy ich gwałtownej natury, dopóki nie otworzymy klutek.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Rano obudziły Christine czyjeś stłumione głosy i chichoty W drzwiach stało sześciu chłopców i przyglądało się jej.

Nagle rozległ się głos Paula:

- ¡Que estdn haciendo, mirones?

Ydmonos.

Chłopcy rozbiegli się, a Paul zajął do pokoju.

Na jej widok Christine poczuła dziwne mrowienie w żołądku.

- Cześć - przywitał się.

- Przepraszam cię za nich - dodał i wszedł do środka.

- Nigdy wcześniej nienocowała tu żadna kobieta.

- Nic się nie stało - odparła Christine.

Wpatrywała się w niego w taki sposób, jakby właśnie się przebudziła z pięknego snu, który okazał się być prawdą.

Paul w jednej ręce trzymał talerz z postawioną na nim niedużą miseczką, a w drugiej kubek.

- Która godzina?

- Tuż po dziesiątej.

Wasz autobus właśnie przyjechał.

- Już dziesiąta?

- Christine usiadła, okrywając się kołdrą.

- Zasnęłam.

- Dadzą sobie radę bez ciebie.

Dotknęła rękawłósów.

- Muszę okropnie wyglądać, co?

- Nie.

To znaczy.

Ładnie ci w tej roczochranej fryzurce.

Uśmiechnęła się.

- Co tam masz?

- Przyniosłem ci śniadanie: naleśniki i sok.

- Śniadanie do łóżka.

Paul podszedł do niej z posiłkiem.

150

- Gdyby cię interesowało, co jest w kubku, to jest to naszawersja

syropuklonowego.

Cukierz wanilią rozpuszczone w wodzie.

Truskawki pochodzą z naszej działki.

- Dziękuję.

Postawił talerz na skrzyni i odwrócił się w stronę drzwi.

- Zobaczymy się na dziedzińcu.

- Zaczekaj - zatrzymała go Christine.

- Tak?

- Mógłbyś zostać chwilę?

Spojrzał na nią, jakby miał kłopot z podjęciem decyzji.

- Jasne.

Podszedł i usiadł obok niej nałóżku.

Christine położyła talerz nakolanach i zaczęła kroić naleśniki na równe kwadraty

- Ostatni raz jadłam śniadanie w łóżku, kiedy miałam szesnaste urodziny i mama przyniosła mi je do pokoju.

- W takim razie musisz nadrobić zaległości.

Christine połała naleśniki odrobiną domowego syropu i wzięła kęs do ust.

- Pyszny. Nie wiedziałam, że można samemu zrobić syrop.

- Potrzeba jest matką wynalazku.

Powinnaś spróbować mojego chili ze świnki morskiej.

Jest niesamowite.

- Wierzę ci na słowo.

- Nabiła na widelec truskawkę i wsunęłam ją do ust.

- Masz.

- Paul odgryzł kawałek, a ona zjadła resztę i odłożyła szpułkę na talerz.

Paul w milczeniu obserwował, jak je.

Przy całej uprzejmości, jaką jej okazywał, Christine wyczuła, że myślnymi jest gdzie indziej.

- Potrzebujesz dzisiaj pomocnika?

Ktoś tu mówił, że świetnie sobie radę z wiązaniem drutu.

Tym razem Paul się nie uśmiechnął.

- Muszę jechać do Cuzco.

Policja złapała kolejnego chłopca i chcą, żebyśmy go zabrali do nas.

- Chcesz, żebym ci dotrzymała towarzystwa?

151.

Nie spojrzął na nią od razu, a kiedy to zrobił, widać było, że jest spięty

- Nie wiem, ile mi to zajmie, a nie chciałbym opóźnić wyjazdu grupy

Christine odebrała to jako wymówkę i poczuła, że uruchamia się w niej mechanizm obronny

- W takim razie nie zatrzymuję cię.

Paul zerknął na zegarek.

- Właściwie powinienem już być w drodze.

- My, z tego, co wiem, odjeżdżamystąd około drugiej - poinformowała chłodno

Christine.

- Wrócisz do tego czasu?

- Powinienem zdążyć - odparł Paul i powoli się podniósł.

- Pójdę już.

Christine odstawiła talerz.

Nie mogła zrozumieć, co takiego zrobiła, że Paul się wystraszył.

- Cóż, do zobaczenia, mam nadzieję - powiedział.

Zaczął się w stronę drzwi, lecz nagle przystanął.

- Chris.

Spojrzała na niego, starając się pokazać po sobie, że czuje się zraniona.

- Słucham?

- Uważaj na siebie.

- I wyszedł, pozostawiając ją z uczuciem pustki.

Zerknęła na niedokończone śniadanie, ale straciła apetyt, więc odstawiła naczynia, ubrała się i wyszła na dwór poszukać Jessiki.

ROZDZIAŁ Trzynasty:

Dzisiaj pożegnałem się z Christine.

Chociaż jej pobyt trwał tak krótko (arozstanie było tak bolesne), nadal uważam ją za swoisty dar od losu - coś jak chłodny powiew wiatru w upalny dzień.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Kiedy Christine wychodziła z budynku, wszyscy byli już zajęci przy szklarni. Na zewnątrz świeciło ostre słońce; kontrast z półmrokiem, panującym w pokoju Paula, sprawił, że idąc przez dziedziniec, dziewczyna musiała zasłaniać oczy. Na widok przyjaciółki Jessica rzuciła kombinerki na ziemię i podbiegła.

- Opowiadaj.

Christine westchnęła.

- Nie ma o czym.

- Spędziłaś noc z niesamowitym facetem i nic?

- Nie spędziłam z nim nocy; po prostu spałam tutaj.

Kiedy wszystko się skończyło, było już popierwszej.

Nie chciałam Paulafatygować.

- Ruszyła w stronę szklarni.

- Co robiliście?

- Urządziliśmy przyjęcie urodzinowe dla Pabla.

Rozbiliśmy piątę, a potem jedliśmy pizzę i ciasto czekoladowe.

Jessica stanęła.

- Do pierwszej w nocy?

- Poszliśmy na spacer.

- Spacer?

Christine uśmiechnęła się na wspomnienie wczorajszego wieczoru.

- Było bardzo miło.

- I tak po prostu sobie chodziliście, tak?

- I rozmawialiśmy

- O czym?

- O różnych rzeczach.

O jego życiu, o moim.

- Powiedziałaś mu o Martinie?

154

- Tak.

Jessica aż skuliła się w sobie.

- Christine, czy ty zawsze musisz być tak do bólu szczerą?

No to gdzieś końcuspałaś?

- W jego pokoju.

Jessica uniosła brwi.

- Nie z nim.

On spał na górze, u chłopców.

- Powiedz, jaki on naprawdę jest?

- Paul to prawdziwy dżentelmen.

- Chciałaś powiedzieć: nudziarz.

Christine westchnęła zniecierpliwiona.

- Skończmy tę rozmowę.

- Ja jeszcze nie skończyłam.

Gdzie on teraz jest?

- Musiał pojechać do Cuzco.

- 1 nie wziął cię ze sobą?
- Bał się, że nie zdąży wrócić na czas.

- Spuściła wzrok.

-A poza tym, wydaje mi się, że go czymś spłoszyłam.

- Nie dziw się, skoro powiedziałaś mu o Martinie.

-Nie,to raczej nie to.

Chyba byłam za bardzo.

- zawahała się- zdesperowana.

Jessica pokręciła głową.

- Christine, desperacja w kontaktach z facetami to gwóźdź do trumny, przecież wiesz.

-Cóż, w takim razie chyba jestem idiotką.

- Nietomiałamna myśli.

- Jessica przyciągnęła ją do siebie.

-Wybacz, skarbie.

- Ja też cię przepraszam -westchnęła ciężko Christine.

-Zabierzmy się do roboty.

Godzinę późniejbyła przerwa na lunch.

Christine nie mogła znieśćmyśli o kolejnejkanapce z tłustąwędliną.

Poszła więc do autobusu i odszukała swoją walizkę.

Wyjęła ukryty zapas baloników proteinowych i zjadłajednego, a potem przebrała się w świeże ubrania.

Następnie wyrwała kartkę notesu i napisała list do Paula.

i

155.

Drogi Paulu,

chciałabym Ci podziękować za te kilka ostatnich dni.

Uważam, że to, co robisz dla tych chłopców w El Girasol, jest wspaniałe.

Nigdy nie zapomnę chwil, które tu spędziłam, dzieciaków, zwłaszcza ostatniego wieczoru.

Pewnie nigdy się nie dowiesz, jak bardzo mi pomogłeś.

Uniosła długopis, wahając się, czy napisać to, co naprawdę czuje.

Jeśli zrobiłam lub powiedziałam coś, co sprawiło Ci przykrość, bardzo Cię przepraszam.

Jesteś cudownym człowiekiem.

Życzę Ci szczęścia.

Całuję, Christine.

Złożyła kartkę, wsunęła ją do kieszeni spodni i wróciła do szklarni.

Było nieco po pierwszej, kiedy wszyscy zaczęli powoli zbierać narzędzia.

O wpół do drugiej Jim zawołał:

- Jedziemy!

- Ale jeszcze nie skończyliśmy - powiedział Mason.

- Mężczyźni z wioski dokończą robotę - odparł Jim.

- Mówiłeś, że zostaniemy tu do drugiej - powiedziała Christine.

- Wiem, ale będzie lepiej, jak ruszymy w drogę.

Zanosił się na deszcz, a dzisiaj mamy jedyną okazję, żeby zwiedzić Ollantaytambo.

Christine ścisnęło się serce.

Nikła szansa, że tego dnia uda się jej jeszcze zobaczyć z Pauliem, ulotniła się na dobre.

Kiedy wchodziła z Jessiką na dziedziniec, ostatni raz rozejrzała się dookoła.

- Muszę się pożegnać z Roxaną - powiedziała.

- Tylko się pośpiesz.

156

- Pobiegnę.

- Christine zajrzała jeszcze do jadłalni w nadziei znalezienia Paula, ale nie było tam nikogo prócz dwóch chłopców, Carlosa i Ronala.

- Dónde.

esta.

Paul?

- zapytała.

Carlos wzruszył ramionami.

- No se - odparł.

- Cuzco.

- Dónde esta Roxana?

Chłopcy wskazali na jej pokój.

- Gracias.

Christine pobiegła na górę.

Roxaną siedziała u siebie i bawiła się grzebyczkami i wstążką.

Na widok Christine natychmiast wstała i podeszła do niej, wyciągając rękę.

Christine kucnęła i przytuliła dziecko do siebie.

Oczy zasły jej łzami.

Nie przypuszczała, że tak trudno będzie jej się rozstać z małą.

Bardziej martwiła się tym, jak zareaguje Roxana.

- Muszę jechać, Kochanie - powiedziała.

Te słowa zabrzmiały tak statecznie.

- Trzymaj się.

Jeszcze raz objęła Roxanę i przygarnęła do siebie.

Potem bólem w sercu zmusiła się, żeby wstać.

- Nigdy cię nie zapomnę.

Roxana tylko patrzyła na nią, zdezorientowana.

Nagle jej oczy napełniły się łzami i złapała Christine za nogi.

Ta znów się schyliła i przytuliła dziewczynkę.

Obie płakały

- Proszę, nie utrudniaj mi tego - powiedziała Christine.

Ostatni raz ucałowała Roxanę, a potem podniosła się i nie oglądając się za siebie, wyszła.

Słyszała terkot silnika autobusu i wiedziała, że wszyscy na nią czekają.

Wstąpiła jeszcze do sypialni chłopców i zastała tam Pabla, który siedział na podłodze i załadowywał przyczepę swojej nowej ciężarówki patykami i kamieniami przyniesionymi z podwórka.

- Cześć.

Chłopczyk spojrzał na jej mokrą od łez twarz.

- Cześć.

157.

- Pablo, nie wiesz, gdzie jest Paul?

- Jeszcze wrócił.

Coś ścisnęło ją w gardle.

- Mógłbyś mi to dać?

- poprosiła, wręczając chłopcu listeczek.

- Pewnie - odparł Pablo i wsunął kartkę do kieszeni.

- Nie zapomnisz?

- Nie, będę pamiętał.

- Dzięki, Pablo.

Mogę cię uściskać?

Podniósł wzrok znad zabawki.

- Pewnie.

Kucnęła przy nim i objęli się nawzajem.

- Bądź grzeczny.

- Dobrze.

Do widzenia.

Christine odwróciła się, wyszła na ganek i zeszła po schodkach na dziedziniec, cały czas starając się powstrzymać łzy, które coraz bardziej cisnęły jej się do oczu.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak bardzo cierpi, że Paula tu nie ma.

Wmawiała sobie, że to nieważne; że w końcu prawiego nie zna.

Autobus zatrąbił.

Christine wiedziała, że to na nią, więc przyspieszyła kroku.

Gdy mijala studnię, z salilekcyjnej ktoś zawołał:

- Christine!

Wgłębi, tuż za drzwiami, stał Paul.

Podszedł do niej.

W jednej ręce trzymał aparat fotograficzny, a w drugiej kwiat słonecznika.

- Szukałam cię - powiedziała Christine.

- Przepraszam, dopiero wróciłem.

- Zostawiłam Pablowi list dla ciebie.

Na wypadek, gdybyśmy się już nie zobaczyli.

Spojrzał jej w oczy.

- Co w nim napisałaś?

- Że ci dziękuję.

Przed wszystkim to.

- Zawahała się i dodała: - Mogę być z tobą szczerą?

Skinął głową.

158

1

- Wczorajszy wieczór był dla mnie wyjątkowy. Dziś cały dzień się zastanawiałam, co ja takiego zrobiłam, że cię wystraszyłam.

Jeżeli jakieś moje słowa sprawiły ci przykrość, proszę, wybac mi.

Nie chciałam cię urazić.

Paul zmarszczył brwi.

- To ja jestem winien przeprosiny.

Niepowiniem być tego robić.

Wczorajszy wieczór był cudowny; może nawet zbyt cudowny - Paul w zakłopotaniu przestępował z nogi na nogę, potem wziął głęboki oddech i dodał: - Czasami lepiej jest nie wiedzieć, co się traci.

- Po chwili się uśmiechnął.

- Jedno wiem na pewno: Martin to straszny głupiec.

Christine także się uśmiechnęła.

- Pożegnałaś się z Roxaną?

Kiwnęła głową.

- Tak.

- Jak zareagowała?

- Płakała.

- Pójdę do niej.

- Włożył jej do ręki słonecznik.

- Zerwałem, wracając.

Żebyś o nas nie zapomniała.

- Bardzo dziękuję.

- Przez chwilę przyglądała się kwiatowi, obracając go płatkami do siebie.

- Myślę, że to mi niegrozi.

Nadszedł niezręczny moment, kiedy stali naprzeciw siebie, nie wiedząc, jak się pożegnać.

Jessica wyszła z autobusu i zmierzała w stronę hacjendy.

- Chris, chodź wreszcie!

- zawołała z niecierpliwością.

- Mogę ci zrobić zdjęcie?

- spytał Paul.

- Oczywiście.

- Christine przyłożyła słonecznik dotwarzy.

- Może być?

- Doskonale.

- Nacisnął migawkę.

- Lepiej już idź.

Zatrzymał się, po czym nagle zrobił krok do przodu i przywarł do niej ustami.

- Christine!

- krzyknęła Jessica.

- Przez ciebie czekamy.

Oderwali się od siebie.

Christine, niewypuszczając słonecznika, ujęła dłoń Paula w obie ręce i zbliżyła ją do ust.

Paul odprowadził Christine aż do muru otaczającego hacjendę.

Jessica zobaczyła ich razem i przystanęła.

- Przepraszam - powiedziała i natychmiast zawróciła.

- Jeśli będziesz kiedyś w Dayton.

- Zadzwoń.

Obiecuję.

Christine westchnęła głęboko.

- Powinnaś już iść - powiedział Paul.

Raz jeszcze spojrzała mu w oczy.

- Adios.

Odwróciła się i odeszła, ściskając w dłoń lodówkę słonecznika.

Drzwi autobusu się otworzyły i Paul patrzył, jak dziewczyna znika w środku.

Kierowca zwolnił hamulec i masywny pojazd zaczął się powoli wtaczać na żwirową drogę.

Popołudniowe słońce odbijało się w oknach autobusu, nadając im barwę złota, więc Paul nie mógł widzieć, że Christine obserwuje go z twarzą przyklejoną do szyby.

Gdy pojazd zniknął z pola widzenia, Paul wrócił do budynku i poszedł poszukać

Roxany

ROZDZIAŁ Czternasty:

Im głębiej studiuję historię, tym bardziej sobie uświadamiam, jak mało ludzkość się zmieniła.

Scenariusze są wciąż te same, tylko aktorzy coraz to inni.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Christine siedziała w milczeniu, gdy autobus, mijając rozległe tarasowe pola, zdążył na południe w kierunku Świętej Doliny Inków.

Od czasu do czasu Jim brał do ręki mikrofon i wskazywał na co ciekawsze obiekty lecz Christine nawet ich nie zauważała.

Myślami była wciąż w El Girasol.

- Nad czym tak dumasz?

- zagadnęła ją Jessica.

Christine wyjrzała przez okno

- Nad niczym.

- A powiesz mi, czemu całą drogę milczysz jak zakłeta?

- Nie - westchnęła Christine.

- Jesteś na mnie zła, że cię zaniedbywałam?

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Christine odwróciła się do niej twarzą.

- To dlaczego nic nie chcesz powiedzieć?

- Ponieważ nie mam ochoty

Jessica uniosła ręce w geście poddania.

- No, dobra, dobra.

Przepraszam.

Wytrzymała za ledwie chwilę i znów zaczęła drażnić.

- Chris, trzeba iść do przodu.

Martin nie raczył nawet zadzwonić, odkąd się rozstaliście.

On nie jest wart, żebyś przez

niego cierpiała.

Christine nic nie odpowiedziała i Jessica nagle doznała olśnienia.

- Tu nie chodzi o Martina.

- Wyraził przyjaźń

utwierdził ją w podejrzeniach.

- To musibyć ten wieczorny

spacer.

Christine spojrzała na nią.

162

1

- Chcę goznowu zobaczyć.

- Tylko mi nie mów, że się zakochałaś.

- Jessica powoli pokręciła głową.

- Chris, jak ty to sobie wyobrażasz?

Facet maskrzynie zamiast mebli.

Zastanawiałaś się, co dalej?

Christine odwróciła się do okna.

- Nie złość się na mnie; jestem po prostu realistką - ciągnęła Jessica.

-A twój związek z Jimem jest realistyczny, tak?

-zapytała Christine, nie odwracając głowy

- On przynajmniej mieszka na tej samej półkuli.

- Jessica ściszyła głos.

-Poza tym, ten związek jest równie realistyczny jak każdy inny, w którym byłam.

- Nachyliła się do niej.

-Słuchaj, Chris: ja nie mam złudzeń, że ten romansz z Jimem potrwa dłużej niż tydzień.

Bo taka już jestem, pokręcona.

Ale ty nigdy nie robisz nic na pół gwizdka.

Mówięci, to się dla ciebie źleskończy.

Christine milczała.

Jessica drążyła dalej.

-I co, tak po prostu zapomniałaś o Martinie?

- Sama mówiłaś, że nie jest wart, żeby przez niego cierpieć.

-A Paul jest?

- Nie wiem - odparła po chwili namysłu.

Jessica opadła na siedzenie.

- Cóż, przynajmniej się przekonałaś, że poza Martinem istnieją jeszcze inni faceci.

Christine zamknęła oczy i oparła głowę o szybę.

Godzinę później autobus zjechał z głównej drogi w górską dolinę.

Jim wstał i wziął do ręki mikrofon.

- Tuż przed nami znajduje się miasteczko Ollantaytambo, ostatni przystanek Świętej Doliny.

Była to jedna z najdłuższych broniących się twierdz.

Kiedy Pizarro zdobył Cuzco, Inkowie wycofali się właśnie tutaj.

Pizarro wysłał więc za nim swojego brata, ale oni byli na to przygotowani po raz pierwszy udało im się pokonać Hiszpanów.

Przynajmniej na chwilę.

łę. Pizarro wezwał posiłki i Inkowie musieli się wycofać do swej ostatniej twierdzy w Yilcabamba.

Przejeżdżamy teraz przez prawdziwe inkaskie miasto.

Jak widzicie, większa część ruin znajduje się na zboczu góry. Jeśli spojrzycie na sąsiedni szczyt, zauważycie coś, co przypomina głowę mężczyzny w koronie.

Wśród naukowców panują sprzeczne opinie, ale niektórzy twierdzą, że tę twarz wyrzeźbili Inkowie, imiona przedstawiają siwobrodzoboga, za którego uznali Pizarra. Na miejscu będziecie mogli wejść na ruiny, ale proszę, żebyście pilnowali czasu. O szóstej jest kolacja, więc najpóźniej piętnaście po piątej musimy się z powrotem znaleźć w autobusie.

Pominięciu kilku innych autokarów z turystami, zatrzymali się w końcu na parkingu w pobliżu ruin.

Z dołu wyglądały one jak wielka kamienna piramida wbudowana w zbocze góry.

Jessica podniosła się z fotela.

- Chodź, Chris.

Cała grupa wspięła się po kamiennych stopniach do świątyni na szczycie wzgórza.

Christine oddaliła się od reszty i przysiadła na krawędzi jednego z tarasów, zwieszając nogi nad dwumetrową pionową ścianą.

Na niebie zebrały się szare chmury, rzucając cień na dolinę i miniaturowe miasteczko rozłożone u stóp góry.

Było chłodno, a wiatr bawił się włosami Christine, rozwiewając je na wszystkie strony. Po kilkunastu minutach zjawił się Jim i usiadł przy niej.

Christine zastanawiała się, gdzie się podziała Jessica i czy specjalnie go tu przysłała.

- Robi wrażenie, co?

- powiedział.

- Podobno niektóre z tych bloków ważą ponad siedemnaście ton.

Jakieś dziesięć kilometrów stąd, tuż za tymi górami, jest kamieniołom, w którym wykonywano kamienie na budowę świątyni.

- Ciekawe.

- Wiesz, jak powstało to miasto?

- Dzięki pracy tysięcy niewolników?

164

- Też, ale przede wszystkim dzięki wielkiej miłości jednego człowieka.

Ollantaytambo założył najpotężniejszy inkaski wódz, Ollantay. Tak się złożyło, że zakochał się w córce króla.

Poprosił o jej rękę, ale ponieważ nie był człowiekiem szlachetnie urodzonym, król odrzucił oświadczenia.

No więc Ollantay zebrał grupę ochotników, opuścił Cuzco i wybudował tę twierdzę.

Miał taki plan, że skończy budować miasto, a potem wyruszy z powrotem do Cuzco i zawałczy o ukochaną.

Ale zanim zdążył to zrobić, król umarł i władzę przejął jego syn.

Ten jednak bał się Ollantaya i było mu wszystko jedno, kto poślubi jego siostrę, zamiast więc wplątywać się w wojnę, poprostu oddał ją Ollantayowi.

- Jim utkwiał wzrok w oddali.

- To prawdziwa historia?

- spytała Christine.

- Tak mi mówiono.

- Dostyc romantyczna.

- Christine odgarnęła włosy z twarzy.

- To co, sugerujesz, że powinnam wybudować twierdzę?

Jim się uśmiechnął.

- Morał mojej opowieści jest taki, że kiedy miłość jest prawdziwa, sprawy same się układają.

Choć nie zawsze tak, jak byśmy się tego spodziewali.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Dziękuję ci.

- Nie ma zaco.

- Oddawna znasz Paula?

- Trzy, może cztery lata.

- Czy on naprawdę jest taki szlachetny, jak się wydaje?

- Tak, myślę, że tak.

- Po chwili spojrzął na zegarek.

- Chyba już zacznę zwoływać grupę.

Na razie.

Kiedy znalazły się powrotem w autobusie, Jessica zapytała Christine:

- O czym rozmawiałaś z Jimem?

W jej głosie pobrzmiwała nutka zdradziecstwa.

- Opowiadał mi historię tych ruin.

165.

- To wszystko?

-No tak, tak.

- Naglesię uśmiechnęła.

-Wiesz co?

Z niego jest całkiem bystry facet.

Jessica spojrzała na nią kpiąco.

- Czyżby?

Christine pokiwała głową.

- Na pewno nie gadaliście o mnie?

Christine odwróciła głowę.

- Nie.

Gadaliśmy tylko o ruinach.

Autobus dotarł do hotelu, kiedy nad Świętą Doliną zapadł już zmierzch.

Strażnik otworzył bramę w długim ogrodzeniu z piaskowca i wpuścił ich na hotelowy parking.

Szyldna budynku głosił: BEST WESTERN INCALAND.

- Patrz - powiedziała Jessica.

- BestWestern na takimodludziu.

Hej, Sledge, jaksię to miasto nazywa?

Jim się obejrzał.

- Urubamba - odparł.

-A wiesz, coto znaczy?

-spytałaChristine Jessicę.

- Nie.

Nawet nie umiem tego wymówić.

- Paulmi powiedział, że to znaczy "Kraina Pająków".

-Założę się, że byłaś przerażona.

- Wiesz, że tak.

-Miejmy nadzieję, że to fałszywa reklama - podsumowała Jessica.

Kompleks hotelowyskładał się z labiryntuniedużychbungalowów otoczonych bujną andyjską roślinnością.

W centrum znajdował siębasen o wymiarach olimpijskich, a zjednej strony zagroda ze stadkiem dobrze utrzymanych lam.

Jessica i Christine przystanąły na chwilę, żeby pooglądaćzwierzęta, a potemzaniósłybagażę do pokoju.

Tam schowały je do szafy, po czymJessica wyszła cośzjeść, a Christine została, nie miała bowiem nastroju do spotkań towarzyskich.

Wyjęła z plecaka słoneczniki przyjrzałamu się.

Rozmyślała o Paulu, zastanawiając się, czy tęskni za

166

nią tak bardzo jak ona za nim.

Czy kiedykolwiek się jeszcze spotkają?

Chociaż wydawało się jej to mało prawdopodobne, postanowiła trzymać się słów

Jima: "Kiedy miłość jest prawdziwa, sprawy same się układają".
Położyła słonecznik na szafce, zgasiła światło i poszła spać.

ROZDZIAŁ Piętnasty:

Próbowałem wrócić do codziennych zajęć, ale nie było to łatwe.

Jak to możliwe, że jedna kobieta i trzy dni wywróciły mój świat do góry nogami?

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Christine obudziła się, zanim zadzwonił budzik.

Jessica lekko pochrapywała na sąsiednim łóżku.

Christine pocichusią ubrała i wyszła z bungalowu.

W nocy padał deszcz; ziemia nasiąknęła wodą i zrobiła się kałuża.

Powietrze było rozrzedzone i chłodne.

Christine bolewała głowa - nie wiadomo, czy z emocji, czy z powodu wysokości - ale i tak czuła się lepiej niż poprzedniego dnia.

Sporo osób z ich grupy zdążyło się już zebrać na śniadaniu w największym z budynków kompleksu.

Znajdowali się tam także inni turyści, a ponad połowa sali mówiła po japońsku.

Joan i Mason siedzieli przy jednym stoliku i widząc przechodzącą Christine, pomachali do niej.

- Jak się spało?

- spytał Mason, podnosząc do ust przypalony tosta.

- Dobrze.

- Zniknęłaś gdzieś wczoraj - powiedziała Joan.

- Byłam zmęczona; wcześniej się położyłam.

Mason zaczął zeskrobywać czarny nalot nożem do masła.

- A gdzie twoja przyjaciółka?

- Jeszcze śpi.

- Niech się dzisiaj nie spóźni - powiedziała Joan - Musimy zdążyć na pociąg.

- Nie zapomnijcie wystawić bagaży przed wejście - dorzucił Mason.

- Autobus zabierze je do Cuzco.

My wracamy bezpośrednio pociągiem.

- Wiesz.

- wtrąciła Joan - szkoda, że Paul nie mógł z nami jechać.

Ładna była z was para.

169.

Ta uwaga zaskoczyła Christine.

- Dzięki- odparła zmieszana.

- Lepiej sprawdź, co z Jess.

Wzięła z bufetu parę owoców i ciasteczek, zawinęła je w serwetki i wróciła do pokoju.

Jessica była już ubrana i właśnie się pakowała.

- Musimy wystawić bagaże - powiedziała Christine.

- Wiem.

Która jest w ogóle godzina?

- Dochodzi ósma.

- To lećmy. Za piętnaście minut odjeżdża pociąg.

Dworzec kolejowy znajdował się na drugim końcu miasta i obie kobiety musiały biec, żeby zdążyć na pociąg.

Wpadły na peron spocone i zadyszane.

Pociąg był mały: składał się zaledwie z pięciu wagonów.

Tory biegły na południe wzdłuż rzeki Urubamba, przecinały dżunglę i docierały do miasteczka Aguas Calientes (Gorące Źródła).

Im bliżej było do niego, tym rzeka stawała się bardziej rwąca.

Spienione, mulistewody wzbierały z taką gwałtownością, że sprawiały wrażenie wrzących.

Gdy dojeżdżali do celu, im wstał i zwrócił się do pasażerów:

- Mogę prosić o chwilę uwagi?

Chcę wam trochę opowiedzieć o Machu Picchu.

Znane jako Zaginione Miasto, Machu Picchu było jednym z najpiękniejszych świątynnych miast założonych przez Inków, zamieszkanym przez wybranych przedstawicieli inkaskiej arystokracji.

Jak już mieliście okazję zobaczyć w Cuzco, hiszpańscy konkwistadorzy zniszczyli większość tubylczych ośrodków religijnych i politycznych.

Na szczęście nigdy nie udało im się odkryć Machu Picchu. Dopiero w tysiąc dziewięćset jedenastym roku amerykański badacz i profesor uniwersytetu w Yale, Hiram Bingham, odnalazł je z pomocą miejscowej ludności.

Wcale nie szukał Machu Picchu, ponieważ nikt nie wiedział o istnieniu tego miasta. On szukał Yilcabamby, ostatniego bastionu Inków w walce z Hiszpanami.

Ta ogromna góra, która wznosi

170

się nad twierdzą, nosi nazwę Huayna Picchu.

To był rodzaj wieży strażniczej.

Jest dostępna dla turystów i jeśli chcecie, możecie na nią wejść, ale muszę was ostrzec, że jest raczej stroma i chociaż gdzieś zamontowano łańcuchy, wejście na nią to wyprawa dość niebezpieczna.

Jeżeli jednak macie ochotę, polecam.

Ja wchodziłem tam mnóstwo razy. Widok jest niezapomniany.

Pociąg zaczął zwalniać.

- Ostatni pociąg z Aguas Calientes odjeżdża o wpół do piątej, a to znaczy, że co

najmniej o wpół do czwartej musimy już być na dole.

Spóźnienie się napociągnie wchodzi w rachubę.

Wrócimy nim prosto do Cuzco, a ponieważ jutro z samego rana lecimy do dżungli, wszyscy bez wyjątku macie się zjawić na stacji najpóźniej o czwartej.

Za chwilę wysiadziemy i przejdziemy pieszo do miasta, a stamtąd podruiny zawiezie nas mikrobus kursujący regularnie.

Wróćcie, kiedy chcecie, byle byście tu byli z powrotem o czwartej.

Są jakieś pytania?

- Jak często jeździ ten mikrobus?

- spytała Joan.

- Mniej więcej co kwadrans, ale z upływem dnia robi się coraz większy tłok, więc żebyśmy wszyscy zjechali, musimy mieć ze trzy, cztery kursy. Jeszcze raz powtarzam: nie ryzykujcie niepotrzebnie.

W Aguas Calientes jest dużo sklepików, więc nie będziecie się nudzić.

Pociąg zahamował.

Całą grupą przeszli wzdłuż torów, mijając prowizoryczne miasteczko kramów z pamiątkami.

Christine zatrzymała się, żeby obejrzeć drewniane szachy z ręcznie rzeźbionymi figurami, które przedstawiały Inków stojących dowalki z hiszpańskimi konkwistadorami.

Jessica wskazała na szklane terrarium z piętnastocentymetrową tarantulą w środku.

- Później pochodzimy po sklepach - powiedział Jim, zagarniając kobiety ramionami.

- Będziemy wchodzić na tę górę?

- zapytała Jessica.

- Jeśli dacie radę - odparł Jim.

171.

- Damy - zapewniła Jessica.

Wsiadli do mikrobusu i wjechali piaszczystą, krętą drogą na wysokość około tysiąca pięciuset metrów.

Na szczycie Jim kupił bilety i stał przy bramie, gdy wszyscy kolejno wchodzili. Christine i Jessica szły jako ostatnie, ponieważ Jim obiecał im prywatną wycieczkę.

Tarasowe zbocza porastała intensywnie zielona trawa.

Wzdłuż jednego z tarasów wiodła ścieżka od głównej bramy miasta.

- Coś niesamowitego - zachwyciła się Christine.

- Machu Picchu to jedno z takich miejsc, które każdy człowiek powinien zobaczyć chociaż raz w życiu - powiedział Jim.

- Tak jak Chiński Mur czy Wenecję.

- Albo Dayton - dodała Jessica.

Cała trójka wybuchnęła śmiechem.

Jim poprowadził je wąskimi schodami do wysokiej, półkolistej budowli.

Tworzyły ją idealnie oszlifowane kamienne bloki, a wewnątrz znajdowały się trapezowate wnęki.

- Do czego to miało służyć?

- spytała Jessica.

- To Świątynia Słońca.

Inkowie oddawali tu cześć słońcu, wodzie i Pachamamie, czyli Matce Ziemi.

Te dwa okna są tak usytuowane, że w dniach letniego i zimowego przesilenia wpadają tędy promienie wschodzącego słońca.

Kiedyś pewien przewodnik opowiadał mi, że symbolem świątyni był słonecznik i inkaskie kapłanki zdobiły sobie głowy jego kwiatami.

- To Christine w poprzednim wcieleniu - powiedziała Jessica.

Christine uśmiechnęła się do siebie i przesuwała dłońią po gładkim, omszałym murze.

Jim zaprowadził je do następnego obiektu.

Świątyni Kondora.

Naturalny blok skalny wznosił się w górę na kształt wielkich, rozpostartych skrzydeł, a na ziemi leżał kamienny ołtarz ofiarny przedstawiający głowę ptaka.

W kamieniu wydrążono też niewielką rynnę.

172

1

Jessica kucnęła, żeby godotknąć.

- Co takiego?

- spytała.

- Głowa kondora.

Podobno składano tutaj ofiary z ludzi.

- To tutaj zabijano ludzi?

- Podobno.

Jessica aż się wzdrygnęła.

- Chodźmy stąd.

Włócząc się wśród kamiennych ruin, zwiedzili jeszcze kilkanaście innych

budowli, w których wszystkie ściany były równie gładkie i wzniesione z idealnie dopasowanych bloków.

Mniej więcej w połowie drogi Jessica i Jim wzięli się za ręce, najwyraźniej nic już sobie nie robiąc z tego, że ktoś może zauważyć.

Zeszli po stopniach piramidy na główny plac wielkości połowy boiska piłkarskiego, cały porośnięty trawą.

Po przeciwnej stronie widoczna była część miejska: rząd symetrycznych budynków w cieniu Huayna Picchu.

Na placu pasł się leniwie stadolam, które ewidentnie ignorowały fotografujących je turystów.

- Chris, patrz!

- zawołała Jessica i pobiegła, żeby przyjrzeć im się z bliska.

Jim rzucił Christine spojrzenie ukosa i oboje poszli z nią.

Jessica stała i przyglądała się młodej lamie.

- Słodka, nie?

- powiedziała Jessica.

- Małe lamiątko.

- To raczej alpaka - zwrócił uwagę Jim.

- Alpaka, lama, wszystko jedno.

Pochyliła się nad zwierzątkiem i zaczęła je głaskać po szyi.

- Cześć, malutka - powiedziałapieszczotliwie.

- Uważaj - ostrzegł Jim.

- Możesz opluć.

- Mnie?

Coś ty, ona mnie lubi.

Alpaka rozsiadła się na trawie i zmrużyła oczy z zadowolenia.

- W życiu nie widziałem, żeby się tak zachowywały - powiedział Jim.

173.

- To taki większy pies.

Jim, zrób mi zdjęcie.

- Ja zrobię - zaproponowała Christine.

Wyjęła aparat z plecaka przyjaciółki.

- Jim, kucnij koło niej.

Jim otoczył Jessicę ramieniem, a Christine nacisnęła migawkę.

- Idealnie.

- Chris, zrób jeszcze jedno, jak całuję lamę - poprosiła Jessica.

Stuliła wargi i pocałowała zwierzątko w nos.

Jim przewrócił oczami.

- I myślisz, że ja cię teraz pocałuję potym, jak pocałowałaś to coś?

- Nikt cię niezmusza - wzruszyła ramionami Jessica.

Jim wiedział, że z takim argumentem nie da się polemizować.

Spojrzał na słońce.

- Jeśli mamy zamiar wejść na Huayna Picchu, to lepiej się zbierajmy.

Przeszli na południowy kraniec twierdzy, skąd biegł dół stroma ścieżka prowadząca wąwozem do podnóża góry.

Drogowskaz wskazywał szlak na Huayna Picchu idący w przeciwnym kierunku, do Świątyni Księżycy.

- Jesteście pewni, że chcecie to zrobić?

- jeszcze raz

zapytał Jim.

- Jesteśmy - odparła Jessica i spojrzała na Christine.

-

Prawda?

- Jak najbardziej.

Wspinaczka zajęła im około godziny. Dla ułatwienia w niektórych miejscach wykuto w skałach stopnie lub przymocowano liny służące za poręcze.

Choć trasa była uczęszczana, niektóre jej fragmenty okazały się zdradliwe.

Kilka razy musieli przemieszczać się na czworakach.

Tuż przed szczytem trafili na skalne przewężenie, przez które musieli się przecisnąć, aby dotrzeć na sam wierzchołek.

Jim wy dostał się pierwszy, po czym wyciągnął rękę i pomógł wejść obu kobietom.

Na otwartej przestrzeni siła wiatru była dużo większa i Christine przypomniały się czasy

174

dzieciństwa, kiedy to pewnego razu rodzice zabrali ją na taras widokowy Empire State Building.

- Witajcie na szczycie świata - powiedział Jim.

Jessicę dech zaparło z wrażenia.

- Jak tu cudnie.

Machu Picchu wygląda jak miasteczko z klocków.

Jak wysoko jesteśmy?

- Huayna Picchu leży jakieś trzysta metrów wyżej niż Machu Picchu.

- Niesamowity widok - powiedziała Christine.

- Strasznie się cieszę, że tu przyszedliśmy

- Zawsze mam pewne obawy, kiedy zabieram tu ludzi.

Weszliśmy rok spotkałem na szlaku pewnego Francuza.

Opowiadał mi, że jego żona zginęła tutaj, spadając ze skały, więc on w każdą rocznicę tego zdarzenia wraca tu i wspinając się, żeby uczcić jej pamięć.

- Jakie to romantyczne - powiedziała Jessica.

- Wolę inny gatunek romantyzmu - odparła Christine.

Zrobili sobie na pamiątkę trochę zdjęć przez pół godziny wygrzewali się w słońcu, aż wreszcie na szczycie zrobiło się zbyt tłoczno od napływających turystów i postanowili wracać.

Jim szedł pierwszy, za nim Jessica, a na końcu Christine.

Schodziliśmy się znacznie szybciej.

Jim utrzymywał rozsądne tempo, ale i tak mieli niezły czas i nawet udało im się dogonić grupkę Chińczyków, którzy wyruszyli z szczytu kwadrans przed nimi.

Przeszli już mniej więcej dwie trzecie drogi, gdy Jessica zagadnęła Jima:

- Słuchaj, a gdyby tak ja zleciała z góry, zaryzykowałbyś dla mnie życie?

Jim starał się patrzeć pod nogi, więc się nie odwrócił.

- Co to za pytanie?

- Dziewczyny lubią wiedzieć takie rzeczy.

Chcą się czuć bezpiecznie.

- Jeśli chcesz się czuć bezpiecznie, to patrz pod nogi i staraj się trzymać jak najbliżej góry.

175.

- Czyli mam nie robić tak.

- Jessica przeskoczyła kilkastopni i wylądowała parę metrów nad Jimem. Krawędź, naktórej się opierała, podtrzymywały tylko korzenie drzew, więc pod ciężarem dziewczyny ziemia zaczęła się osuwać.

-Jim!

Odwrócił się błyskawicznie i zobaczył, jak Jessica zsuwa się w stronę przepaści.

Niewiele myśląc, rzucił się jejstronę, zdołał złapać za biodra i przytrzymać, przyciskając całym ciałem do podłoża.

Gdy znieruchomieli, Jessica leżała na plecach, a Jim wpoprzek niej, ze stopami zwisającymi poza krawędź urwiska.

Oboje ciężko dyszeli.

- To najgłupsza rzecz, jaką można byłozrobić - odezwałsię w końcu Jim.

-I najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam - przyznałaskruszona Jessica.

-Uratowałeś mnie.

- Nic ci sięnie stało?

-Nie.

A tobie?

- Nic - odparł, mimo że poręce płynęła mu wąska strużka krwi.

-Krewcileci.

Spojrzał na rękę.

- To nictakiego - powiedział, łapiąc oddech - Nie róbtęgo więcej.

-Niezamierzam.

Zsunął się na boki podparł na łokciach.

- Nie można się przy tobienudzić, co?

Naglecienkiwystęp, na którym klęczał Jim, zapadłsiępod nim, a on zniknął dziewczynom z oczu.

Jessica wrzasnęła, azaraz potem rozległ się krzyk jednego z chińskich turystów, którzy znajdowali się niżej.

Odpowiedziała im głucha cisza.

Jessica zaczęła się trząść.

- Jak daleko mógł spaść?

- spytała.

- Nie mam pojęcia- odparła drżącym głosem Christine.

-O Boże, Boże, niepozwoł mu umrzeć- jęczała Jessica.

-Błagam, zrobię dla ciebięwszystko.

Wszystko.

ROZDZIAŁ Szesnasty:

Dostałem pilny telefon, że trzeba pomóc Jimowi, który spadł z Huayna Picchu.

W drodze do Agiias Calientes

uświadomiłemsobie, że znów zobaczę Christine.

Zważywszy na okoliczności, ta radosna myśl

wywoływała umnie niemal wyrzuty sumienia.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Jeden z Chińczyków chwycił się wąskiego korzenia wyrastającego ze zbocza i spojrział w dół.

Koledzy przytrzymywali goza kurtkę.

- Wo kańta' - krzyknął do nich.

-Ta szk?

"

-Wobujrdau;"

- Widzicie go?

- zawołała do nich Christine.

Mężczyzna zadarł głowę i pokazał im niewidoczny punkt w dole.

-Tam leżeć.

Dziewczyny ostrożnie zeszły kawałekniżej i Jessica wychyliła się za krawędź.

- Jest - powiedziała.

Jim leżał na tarasie jakieś sześć metrów niżej.

- Rusza się?

-Nie - odpowiedziała Jessicałamiącym się głosem.

Ostrożnie zeszły do niego.

Leżał twarzą doziemi; miałrozciętą głowę i ranę na prawym ramieniu.

Znajdowali sięblisko ostatniego odcinka trasy, gdzie góranie jest już tak stroma.

- Oddycha?

- spytała Jessica.

Christine kucnęła przy Jimie.

-Tak.

Widzę go.

" Żyje?

"Nie wiem.

178

- Mam go odwrócićna plecy?

-Nie,nieruszaj go.

Jessica ukłękła i oparła się na łokciach.

Ogarnął ją paniczny strach.

Pod ciałemJima zebrała się kałuża krwi, która wsiąkała w ziemię, tworząc ciemną plamę.

- Jim, obudź się, błagam.

Nagle Jim wydał zsiebie cichy, bolesny jęk.

Podszedł do nich jeden z chińskich turystów, ale Jessicaodpędziłago gestem dłoni.

- Nie dotykaj go!

Niech nikt nie waży sięgo ruszać.

-Pochyliłasię jeszcze niżej.

- Jim, słyszysz mnie?

Nie odpowiedział, ale po chwili poruszył powiekami i odezwał się ledwie słyszalnym szeptem:

- Tak.
- Myślisz, że złamałeś kręgosłup?
- Wszystko.

boli.

- Odwrócił twarz w ich stronę.

Była cała oblepiona błotem i krwią.

- Nie ruszaj się - powiedziała Christine.

Jessica trzęsła się z nerwów.

- Jesteś w stanie ruszać palcami u nóg?

Jim delikatnie poruszył lewą stopą, ale natychmiast na jego twarzy pojawił się grymas bólu.

- Bola mnie nogi.

Jessica wyciągnęła drżącą dłoń i bardzo delikatnie obmacała obustronnie nogę

Jima.

Nagle gwałtownie cofnęła rękę.

- Czuję kość.

Christine podeszła bliżej.

- Chodź tu, Jess.

Odsuń się od krawędzi.

Uklękła na miejscu Jessiki i wymacała dłonią złamanie.

Kość przebiła skórę i noga była mokra od krwi.

Zatrzymał się przy nich jakiś muskularny, rudy mężczyzna, którego towarzyszyło trzech nastolatków.

- Z jakiej wysokości spadł?

- zapytał z australijskim akcentem.

179.

- Z jakichś dziewięciu metrów - odparła Christine.

- Potrzebna nam pomoc.

- Kręgosłup ma cały?

- Nie wiemy.

- Noto rzućmy okiem - powiedział mężczyzna i ukląkł przy Jimie.

- Ma złamaną nogę - poinformowała Jessica.

Mężczyzna dotknął nogi Jima i wyczuł sterczącą kość.

- Kurza twarz, faktycznie.

- Zdjął kurtkę.

- Jestem strażakiem, znam się na tym.

- Spojrzał na Jessicę.

- Mam naimię Pete.

Czy to panimają?

- Chłopak.

- Proszę się nie bać.

Ściągniemy go.

Chłopcy stali kilka metrów dalej i gapili się na nich szeroko otwartymi oczami.

- Pędźcie szybko nadół i sprowadźcie pomoc.

Potrzebne będą nosze.

No, migiem!

Chłopcy czym prędzej ruszyli w dół.

Część turystów z chińskiej wycieczki poszła z nimi, a ledwóch zostało.

Jim wciąż jęczał bólu, a Jessica cały czas trzymała go za rękę.

Australijczyk wyjął z kieszeni scyzoryk.

- Muszę mu rozciąć spodnie.

Przeciął nogawki do samych ud.

Jessica aż wykrzywiła twarz, gdy zobaczyła wystający zgołeni odłamek kości.

Zaczęła płakać.

Pete delikatnie uciskał palcami nogi Jima.

- Czujesz coś, przyjacielu?

- zapytał.

- Tak.

- A boli?

- Tutaj nie.

- To dobrze.

- Wyciągnął pasek ze spodni i zwrócił się do Jessiki: - Czy może mi pani pożyczyć swój pasek?

Jessica pospiesznie rozpięła pasek i podała Pete'owi, poczym znów chwyciła Jima za rękę i zaczęła go głaskać powłosach.

180

- Słuchaj, przyjacielu - powiedział strażak.

- Nie marny tu nic, co by się nadawało na szyję, więc unieruchomimy ci nogi pasami, okej?

- Okej.

-Uważaj, teraz będę ruszał zdrową nogą.

Może trochę zboleć - Chwycił prawą nogę Jima i dosunął do lewej, złamanej, a następnie obwiązał obie paskiem.

Jim krzyknął.

- Wybacz, przyjacielu.

Jak twój kręgosłup?

- Nie wiem.

-A gdzie cię najbardziej boli?

- Nogi.

-A poza tym?

- Głowa.

-Ja myślę.

Nieźle rąbnąłeś.

Kiedy czekali na powrót chłopców, zjawili się przy nich Joan, Mason i trzy inne osoby z grupy Na szlaku rozniosła się wiadomość o wypadku, ale nie przypuszczali, że to będzie ktoś od nich.

Zobaczywszy Jessicę i Christine, Mason zawołał do pozostałych:

- To nasi!

Przyspieszyli kroku.

- Jessica, Christine, co się stało?

- spytał Mason.

- Jim spadł z urwiska.

Podeszli bliżej.

- Zróbcie trochę miejsca.

Tylko tego brakuje, żeby ktoś jeszcze zrobił sobie krzywdę.

- Jess- odezwał się Jim.

-Tak?

- pochyliła się nad nim.

Christine też nadstawiła ucha.

- Pociąg.

- urwał, krzywiąc się z bólu.

-Muszą zdążyć na pociąg.

Bilety.

w plecaku.

- Odwieszysz wszystkich do Cuzco?

- zwróciła się Christine do Masona.

Kiwnął głową.

181.

- Pewnie.

- My zostaniemy z Jimem.

Zadzwonimy dowas, jak tylko będziemy wiedziały, co i jak.

Christine rozsunęła zamek w plecaku Jima i wyjęła ze środka kopertę, w której były bilety kolejowe i vouchery do hotelu.

Podawała wszystko Masonowi.

- Ruszajcie już.

- Jak chcecie go przetransportować na dół?

- spytał Mason.

- Mój syn poszedł z kolegami po pomoc - odpowiedział Pete.

- Zniesiemy go.

- My pomóc - zaoferował się jeden z dwóch Chińczyków, którzy zostali na szlaku.

Mason wstał.

- Cóż, w takim razie zbieram wszystkich do kupy i będziemy czekać na wieści.

Z obu stron nieustannie napływały grupy turystów, którzy z ciekawości wyciągali szyje, żeby zobaczyć, co się stało.

Mniej więcej po dwudziestu minutach nadeszli chłopcy, z nimi czterech Peruwiańczyków z noszami.

Jeden z nich dobrze mówił po angielsku.

- Kręgosłup ma cały?

- Sądymy, że tak - odparła Jessica.

- Może poruszać stopami.

Peruwiańczycy odpięli Jimowi plecak i podali go Christine.

Następnie ostrożnie ułożyli ranne na noszach.

Krzyczał, kiedy go podnosili z ziemi.

Zabezpieczyli go solidnymi pasami i wraz z Pete'em, chłopcami i Chińczykami ustawili się wokół noszy, chwytając, gdzie kto mógł.

Pomału zaczęli schodzić w dół, ciężko dysząc z wysiłku.

Jim z minuty na minutę robił się coraz bardziej niespokojny. Droga schodziła do wąwozu, a potem pięła się w górę prosto do głównej bramy, za którą były już ruiny Machu Picchu.

Dotarli tam mocno zmęczeni.

Położyli nosze na skrawku miękkiej trawy, żeby odpocząć.

Jessica usiadła obok Jima.

- Dobrze się czujesz, skarbie?

182

- Masz kokę?

- zapytał.

- Ja mam - powiedziała Christine.

Była ubrana w tę samą kurtkę, w której przyleciała do Cuzco i w kieszeni wciąż miała woreczek z koką od Jima.

Wysypała z niego parę listków.

- Proszę.

Jim powoli otworzył usta i zaczął żuć.

Pochwili jakby trochę się uspokoił.

- Dobra, chłopaki - powiedział Pete, dźwigając się z ziemi.

- Do roboty

Podnieśli nosze i ruszyli przed siebie, a jeden z peruwiańskich ratowników torował im drogę, odganiając ciekawskich turystów.

Nie było łatwo przedostać się przez Machu Picchu.

Musieli iść Jima przez całe ruiny, wspinając się po długim ciągu stopniaż do bramy wejściowej i dalej do stanowiska mikrobusów.

Tam czekał już na nich pikap.

Na skrzyni leżał piankowy materac i to na nim spoczęły nosze, które zabezpieczono nylonowymi pasami.

- Gotowe, przyjacielu - oznajmił Pete.

- Dzięki - wymamrotał Jim.

- Nie wiem, jak mam panu dziękować - powiedziała Jessica.

- Będzie dobrze.

Powodzenia.

Trzymajcie się.

- Pete wraz z chłopakami zawrócili w stronę bramy. Chińczycy także już poszli, a Christine z Jessicą wspięły się na skrzynię i usadowiły obok Jima.

Jessica wzięła go za rękę.

- Jess - odezwał się.

- Tak?

- Zadzwoń do Paula.

Nie chcę, żeby mnie tutaj składali.

- Jasne.

- Ja mam jego komórkę - powiedziała Christine.

Sięgnęła do plecaka Jima, wyjęła telefon i podała go przyjaciółce.

Jessica nachyliła się nad Jimem.

- Podaj mi numer.

- Wciśnij trójkę i przytrzymaj.

183.

Jessica nacisnęła klawisz i przyłożyła telefon do ucha.
Pokilku sygnałach ktoś odezwał się w słuchawce.

- Paul?

Cześć, tu Jessica.

Nie jest dobrze.

Jim spadł z Huayna Picchu.

Jest mocno pokiereszowany. Możesz przyjechać?

- Zakryła dłonią mikrofon.

- Jim, gdzie ma nas szukać?

- W ośrodku zdrowiaw Aguas.

- W ośrodku zdrowia w Aguas.

Zostawię włączony telefon.

Dobra.

Czekamy - Rozłączyła się.

- Już jedzie.

- Dzięki.

Jessica znów ujęła Jima za rękę.

Kiedy ruszali w dół, Christine mocno uchwyciła się burty. Od czasu do czasu napotykali na wyboje lub musieli gwałtownie hamować, a wtedy Jim głośno jęczał. Auto sunęło po stromym zboczach bardzo powoli i dotarcie do ośrodka zajęło im prawie czterdzieści minut.

Z każdą chwilą Jim coraz bardziej cierpiał i Christine, nie bardzo wiedząc, jak inaczej mu pomóc, dała mu jeszcze więcej liści koki.

Kiedy zajechali pod ośrodek, wyszły do nich dwie osoby w białych fartuchach - kobieta i mężczyzna.

Przypomocy ratowników wnieśli Jima do budynku.

Z wyjątkiem kierowcy i jego pomocnika, cały zespół ratowniczy został na górze i w pobliżu było już nikogo, kto by mówił po angielsku.

Dziewczyny czuły się przez to jeszcze bardziej bezradne.

Ośrodek w Aguas Calientes był mały, przestarzały i skromnie wyposażony. Stał tam wielki, toporny aparat rentgenowski, który wyglądał jak z demobilu z czasów drugiej wojny światowej.

Lekarz obejrzał wystającą kość zmarszczył brwi.

W czasie, gdy pielęgniarka oczyszczała rany, on obciął do końca nogawki spodni i polał nogę wodą utlenioną.

Potem zrobił jeden zdjęcie i stwierdził, że głównym źródłem bólu Jima jest zwichnięty staw barkowy. Próbował go nastawić, ale Jim darł się wniebogłosy, aż Jessica się popłakała.

Potem jeszcze kilkakrotnie ponawiał próbę, ale Jim z każdym razem krzyczał głośniej.

184

- Przecież oni go torturują - powiedziała Jessica - Gdzie ten Paul?

Przez następne dwie godziny czas włókł się niemiłosiernie.

Zanim przyjechał Paul, Jessica była już na skraju hysterii.

Gdy stanął w drzwiach, zerwała się na równe nogi.

- Pomóż mu, błagam.

- Spokojnie, wszystkim się zajmę.

- Paul rzucił okiem na Christine i poszedł do sali, w której leżał Jim, wijąc się z bólu. Lekko dotknął jego ramienia.

- Cześć, stary; już jestem.

Można było odnieść wrażenie, że personel ośrodka ucieszył się na jego widok nie mniej niż Jessica i Christine.

Paul dokładnie przyjrzał się zdjęciom i zamienił kilka słów z lekarzem, jednocześnie badając obrażenia na ciele Jima.

Od wypadku minęły ponad trzy godziny; mięśnie pleców i ramion skurczyły się, co praktycznie uniemożliwiało nastawienie zwichnięcia.

Z torby, którą zesobą przywiózł, Paul wyjął ampułkę ketaminy i zrobił przyjacielowi zastrzyk.

Powieki Jima opadły, a mięśnie zupełnie zwiótzały.

Wtedy Paul zdecydowanym ruchem nacisnął na bark, aż ten z głośnym chrupnięciem wskoczył na swoje miejsce.

Potem wkłuł się w przedramię przez kroplówkę zaczął dożylnie podawać Jimowi antybiotyk.

Przyjrzał się też szwom na głowie i powiedział lekarzowi, że zostały zrobione muy bien, co sprawiło Peruviańczyka w niezmierną dumę.

Wyszędłszy na korytarz, Paul zobaczył Jessicę i Christine.

Pierwsza siedziała nakrzesle i obejmowała się ramionami, a druga głaskała ją po plecach.

Obie jednocześnie podniosły wzrok.

- Jak on się czuje?

- spytała Jessica.

- Trzeba go jak najszybciej zawieźć do Cuzco.

Musimy zrobić tomografię, żeby się upewnić, czy nie ma jakiegoś krwotoku wewnętrznego.

No, a poza tym ma otwarte złamanie wieloodłamkowe.

185.

- Co?

- spytała Jessica.

- To znaczy, że kość strzaskała się na kawałki.

Będzie potrzebna pomoc chirurga ortopedy Dzwoniłem do szpitala pohelikopter, ale akurat nie mają wolnego, więc musimy go zawieźć samochodem.

Gdzie reszta grupy?

- Wrócili pociągiem do Cuzco.

-Aha.

Zapakujemy Jima domojego pikapa.

Przed wyjazdem Paul wstrzyknął rannemu jeszcze jedną dawkę ketaminy, aby się upewnić, że cała droga będzie nieprzytomny.

Trzygodziny później zajechał przed wejście oddziału ratunkowego szpitala w Cuzco.

Paul nacisnął klakson i ze środka wyjechały nosze prowadzone przez kilku sanitariuszy.

Po chwili wraz z Paulem zniknęły za drzwiami szpitala.

Dziewczyny poszły poczekać do holu.

Tuż po północy Paul wrócił i usiadł obok nich, wyraźnie zmęczony.

Jessica wstała.

- Co z nim?

- Lepiej niż można by się spodziewać.

Ma wstrząśnienie mózgu.

Z nogą było kiepsko; musieli ją poskręcać śrubami.

Wyzdrowieje w pełni dopiero, jak wróci do Stanów.

- Czyli kiedy?

- Powiedział, że chce wracać ze wszystkimi.

- Obudził się?

- Jest bardzo osłabiony, ale przytomny

- Mogę go zobaczyć?

- zapytała Jessica.

- O ciebie pierwszą spytał.

Drugie drzwi na lewo.

W sali było dość ciemno.

Jim leżał na wznak z nogą nawyciągu.

Twarz i szyję miał posiniaczone, a prawe oko całkiem zapuchnięte.

Na ten widok Jessica się rozpłakała.

Jim odwrócił głowę w jej stronę.

- Cześć, Jess - powiedział niewyraźnie.

Jessica podeszła i wzięła go za rękę.

- Strasznie cię przepraszam.

- To nie twoja wina.

iaft

- Gdyby nie moja głupota.

Chciałam się z tobą tylko trochę podroczyć.

- Nikt mnie przecież nie zmuszał.

- Uśmiechnął się z wysiłkiem.

-Sam chciałem.

- Wszystko schrzaniłam.

Co dalej będzie z wyprawą?

- Paul zabierze was do dżungli.

Jessica pokręciła głową.

- Zostanę przy tobie.

-Jess, nie wiadomo, kiedy znowu trafi ci się taka okazja.

Naprawdę nie.

Położyła mu palec na ustach.

- Zostanę.

Pochyliła się i pocałowała go.

- Wygrałeś - westchnął.

-Zawsze wygrywam.

ROZDZIAŁ Siedemnasty:

Jim poprosił mnie, abym zabrał jego grupę do dżungli. Zaprowadziłbym ich nawet na Mount Everest, gdybym wiedział, że Christine będzie z nami.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Paul i Christine siedzieli sami na szpitalnym korytarzu. W południe w nocy i większość światel już wyłączono, anował więc półmrok. Głosy odbijały się echem od ścian.

- Jak to się stało?

- spytał Paul.

- Schodziliśmy z Huayna Picchu i byliśmy już prawie na dole, kiedy Jessica zaczęła się wygłupiać i o mało nie spadła.

Jim zdążył ją złapać, ale nagle ni stąd, ni zowąd ziemia nam się osunęła spod nóg.

To dlatego ona ma takie wyrzuty sumienia.

- Splótł dłonie.

- Na szczęście nikt nie zginął.

- Dzięki Bogu.

Zapadła cisza.

Po chwili Christine zapytała:

- Czy Roxana nie płakała po moim wyjeździe?

- Przez chwilę.

Potem, kiedy jej powiedziałem, że już nigdy nie wrócisz, rozplakała się jeszcze bardziej.

Była tobą wprost oczarowana.

I vice versa.

- Dziękuję za list.

- Chciałam napisać więcej, ale w tamtych okolicznościach.

- Spuściła oczy i dodała: - Tęskniłam za tobą.

- Ja też.

- Na moment zatrzymali nas obie wzrok.

- Jim poprosił mnie, żebym was przeprowadził przez dżunglę.

A więc będziesz na mnie skazana jeszcze przez jakiś czas.

Christine nie starała się ukryć uśmiechu.

- Czyli w tej nieszczęsnej sytuacji jest jakaś pozytywna strona.

Paul także się uśmiechnął, a potem spojrzął na zegarek.

189.

- Za sześć godzin odlatujemy Lepiej zawiozę was do hotelu.

-Chciałabym się jeszcze zobaczyć z Jimem.

Poszli do sali.

Paul delikatnie zapukał do drzwi i uchylił je.

Jessica siedziała na krześle przy łóżku z głową przytuloną do piersi Jima.

- Cześć, Jim - powiedziała Christine.

-Hej.

- Jak się czujesz?

-Żyję.

- To już coś.

Świetnie wyglądasz.

- Wyglądam jak po pięciu rundach z Tysonem.

-No dobra, wyglądasz okropnie.

Ale humor cię nie opuszcza.

Jim się uśmiechnął.

- Jesteś bohaterem, wiesz?

Uratowałeś życie mojej najlepszej przyjaciółce.

Jim pogładził Jessicę po włosach.

- Bo to w sumie fajnadziewczyna.

-Szkoda, że nie możesz z nami jechać.

Nie będzie ci tu smutno samemu?

W tym momencie Jessica podniosła głowę.

-Ja z nim zostaję.

Christine spojrzała na nią zaskoczona.

- Zostajesz tutaj?

-Tak.

- To dobrze- wtrącił Paul.

- O ile zdążyłem poznać Jessicę, personel szpitala będzie chodził jak na sznurku.

Jim uśmiechnął się do niej, a potem znów spojrzał na Paula.

- Czekają na nas wszędzie w Puerto.

-Wszystko załatwione - odparł Paul.

- Kilka godzin temu rozmawiałem z dyrektorem.

Oni nie musisz się martwić.

- Dobra, tylko przyprawdź ich z powrotem żywych - powiedział Jim.

190

- Zgoda.

Jessico, opiekuj się nim dobrze.

- A ty się opiekuj moją najlepszą przyjaciółką.

-Obiecuję.

Christine podeszła do łóżka, schyliła się i pocałowała Jima w policzek.

- Trzymaj się, Sledge.

-Dzięki - uśmiechnął się.

Christine uściskała Jessicę.

- Do zobaczenia zaparę dni.

-Do zobaczenia.

Rób dużo zdjęć, pokażesz mi.

- Obiecuję.

Trzymaj się.

Gdy wychodzili z sali, Jessica znów położyła głowę napiersi Jima.

ROZDZIAŁ Osiemnasty:

Drogi moja i Christine znów się spotkały.

Los lubi czasem iść na skróty.

Z PAMIĘTNIKA PAULACOOKA

-Wiesz może, gdzie nas zakwaterowali?

- spytała Christine.

- El hotel Yilandre.

Tensam, przed którym się poznaliśmy Uśmiechnęła się.

- Jesteś pewien, że sam tego nie zaaranżowałeś?

Ta cała sytuacja z kieszonkowcem.

- Żałuję, ale nie jestem taki zmyślny

Hotel znajdował się za ledwie piętnaście minut drogi od szpitala.

Paul zaparkował przed wejściem i oboje z Christine weszli do środka.

W mrocznym holu paliła się tylko jedna lampka przy drzwiach.

W recepcji nikogo nie było.

Paul bezskutecznie rozglądał się za kimś z personelu i w końcu wziął klucz, który leżał na biurku za kontuarem.

- To chyba do twojego pokoju- powiedział, dając go Christine.

Spojrzała na numer.

-.

- Ten sam, który miałyśmy poprzednio.

Mam nadzieję, że mój bagaż już dojechał.

A gdzie są twoje rzeczy?

- Jaime przywiezie mi je na lotnisko.

Leci znami.

Kiedy nieoświetlonymi schodami wchodzili na górę, Paul spytał półgłosem:

- Same mieszkaliśmy w tym pokoju?

-Prawdę mówiąc, było nas troje.

- Christine uśmiechnęła się dumnie.

-Mamy gekona.

- A czy on zajmuje dużo miejsca?

-Nie - odparła.

- Śpina ścianie.

Zatrzymali się przed drzwiami.

193.

- Mógłbym u was przenocować?

-A gdzie niby się podziejesz?

- No wiesz, na dole jest sofa.

-Jasne.

Wręczyła mu klucze.

Paul wsunął je do zamka i otworzył drzwi.

Po omacku odszukał włącznik światła, po czym puścił Christine przodem.

Tana widok swojej torby stojącej przy łóżku odetchnęła z ulgą.

W pokoju było gorąco i parno, więc Paul włączył okienny klimatyzator.

Rozejrzał się.

- Gdzie ten wasz gekon?

Christine zerknęła na ścianę i przeżyła niejakie rozczerwanie.

- Pewnie się wymeldował.

Weszła do łazienki i rozebrała się.

Paul nastawił radiobudzik, a potem zdjął koszulę i opadł na łóżko.

Christine wystawiła głowę zza drzwi.

- Mógłbyś zamknąć oczy?

-Jeśli muszę.

- Musisz.

- Dopiero, gdy się upewniła, że nie patrzy, wyszła z łazienki w samej bieliźnie i szybko wskoczyła do łóżka.

Potem wystawiła rękę i zgasła lampkę.

- Już możesz otworzyć.

-Teraz nie ma po co - odparł.

Roześmiała się.

Słyszała, jak odpina pasek, ściąga spodnie, a potem kładzie się i obraca na łóżku.

Po półgodzinie głośnym szeptem spytała:

- Spisz?

-Nie.

- Dlaczego?

-Boję się gekonów.

Zaczęła się śmiać i rzuciła w niego poduszką.

Paul złapał ją i podłożył sobie pod głowę.

- Pachnie ładniej niż moja.

194

- To pewnie puder dla dzieci.

Oddaj mi ją.

- Nic z tego.

-Nie zasnę bez mojej poduszki.

- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim mnie zaatakowałaś.

-Proszę cię.

- Mogę ci dać moją.

-To daj.

Paul rzucił jej swoją poduszkę.

Była jeszcze ciepła od jegociała i Christine z rozkoszą przytuliła do niej policzek.

- Dobranoc.

I- Paul.

-Tak?

- Dobrze być znowu z tobą.

-I nawzajem.

Rozmowa ucichła, ginąc w szumie klimatyzatora.

Christine przymknęła oczy i wyobraziła sobie, że Paul trzyma ją w ramionach.

ROZDZIAŁ Dziewiętnasty:

W nocy miałem koszmarny sen.

Chodziliśmy z Christine podżungli i nagle, nie wiem jak to się stało, rozdzieliliśmy się.

Ona była przerażona i słyszałem, jak mnie woła.

Ciąłem gąszcz maczetą, ale nie mogłem się przedrzeć.

Za dużo nas dzieliło.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Rano obudziło ich trąkotanie lokalnego spikera radio Jego.

Słońce wpadało do pokoju przez niedosunięte zasłony.

rzucając na ścianę słup światła.

Paul obrócił się na łóżku i jęknął:

- Zabijcie mnie, błagam.

Christine podobała się ta jego poranna chrypka w głosie.

- Dzień dobry.

- Będź dobry, jak wypiję kawę - odpowiedział.

- Idziesz podprysznic?

- Nie.

I tak się znowu zabrudzę.

- To ja idę.

- Usiadła na łóżku.

- Chwileczkę.

Zamknij oczy.

- Christine, jestem lekarzem.

Widziałem więcej nagich kobiet niż Hugh Hefner.

- Ale nie mnie.

Paul zakrył dłonią oczy

- Dobrze, dobrze.

Christine wygramoliła się z łóżka, wyjęła z torby kilka brań i pospieszyła do łazienki.

Gdy zamknęły się zaniadrzwi, Paul usiadł na brzegu posłania, wskoczył wdżinsy, po czym włożył skarpetki i buty. Potem z powrotem opadła pościel i zamknął oczy.

Dziesięć minut później woda w łazience przestała lecieć.

Po chwili zza drzwi wyłoniła się Christine z bardzo delikatnym makijażem na twarzy i starannie ułożonymi włosami.

- Jestem gotowa - oznajmiła pogodnie.

Założyciel i wydawca czasopisma "Playboy".

197.

Paul podrapał się po brodzie.

- Jateż - powiedział, choć wyglądał jak wyjęty z bębnapralki.

- Pospieszmy się.

Zebrał całą grupę w holu.

Niespełna pół godziny później kierowca włączył silnik autobusu.

Christine zajęła siedzenie z przodu, a gdy zamknęły się drzwi, dołączył do niej Paul.

Dziewczyna otworzyła plecak.

Po drodze zdążyła jeszcze zajść do bufetu, by zabrać kilka ciastek i owoce.

- Wzięłam dla nas na śniadanie.

-Dziękuję.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś mi przyniósł śniadanie.

Mrugnęła do niego.

- W takim razie to ty musisz nadrobić zaległości.

Paul wziął jabłko, wytarł je w koszulę i ugryzł.

Kiedy autobus zbliżał się do lotniska, wstał i zwrócił się do grupy:

- Pierwsza rzecz: na pewno wszyscy jesteście ciekawi, co z Jimem.

Ma się całkiem nieźle.

Doznał wstrząsu mózgu i ma skomplikowane złamanie nogi, ale na szczęście nicgroźniejszego.

Zostanie w szpitalu jeszcze kilka dni, imma zamiar wracać do Stanów razem z wami.

Prosił mnie, żebym was przeprowadził przez dżunglę.

Dzisiaj lecimy do Puerto Maldonado.

Na miejscu będziemy około jedenastej; najpierw zameldujemy się w hotelu, a potem od razu ruszamy do pracy.

Zostaniemy tam tylko jeden dzień, a mamy coś do zrobienia w tamtejszej szkole podstawowej.

Autobus zatrzymał się przy lotnisku, wszyscy zabrali bagaże i weszli do hali odpraw.

Christine usłyszała czyjeś wołanie i zobaczyła, że w ich stronę biegnie Jaime taszcząc z sobą jakieś torby

Paul ucieszył się z tego widoku.

- Estoy feliz que podiste venir' - powiedział.

-A tu disponi ón.

"

Cieszę się, że mogłeś przyjechać.

Do usług.

198

Mimo że lot do Puerto Maldonado trwał niewiele ponad godzinę, było to fascynujące studium geograficznych kontrastów.

Majestatyczne szczyty gór otaczających Cuzco pokrywał śnieg.

Później opadały one stopniowo ku skalistemu pogórzcu, które jeszcze niżej przechodziło w rozległe połacie lasu deszczowego.

Z okna, przy którym siedziała, Christine dojrzała w dole ogromną, brunatną rzekę wijącą się wśród drzew niczym wąż w trawie.

Przyłożyła aparat doszyby i zrobiła zdjęcie.

Godzinę później samolot wylądował na asfaltowej płycie lotniska wybudowanego w środku gęstej dżungli, która osaczała je ze wszystkich stron, jak gdyby dopominając się swoje terytorium.

Terminal wyglądał jak stary hangar.

Nie było tam żadnej wieży kontrolnej, jedynie rękaw wskazujący kierunek wiatru wisiał smętnie na słupie.

Christine poczuła się, jakby przypadkowo znalazła się na planie filmu przygodowego. Odczucie jeszcze się wzmogło, kiedy drzwi samolotu się otworzyły i do środka wtargnął gorący, tropikalny oddech dżungli.

Dotylnych drzwi podjechały schody; pasażerowie wysiedli na poogrzanym asfalcie przeszli do hali odpraw.

Christine rozejrzała się dookoła.

Zewsząd otaczała ją dzika, bujna zieleń.

Halę lotniska zbudowano z blachy. Wysoki strop podierały metalowe słupy.

Cztery metry nad głowami pasażerów szumiały obrotowe wentylatory.

W środku był tylko jeden podajnik bagażu.

Pierwsza wyjechała torba Paula.

Otworzył ją, wyjął ze środka filcowy kapelusz z szerokim rondem i założył go na głowę.

Po odebraniu bagażu wszyscy wyszli na zewnątrz.

Na parking czekało na nich dwóch Peruwiańczyków, którzy wyglądali na zaskoczonych, choć ucieszonych widokiem Paula.

Obaj serdecznie go uściskali.

Zamienili z nim kilka słów, poczym przeszli się do parkingu i zorganizowali jedenaście trójkołowych motorowych rikszy, które podjechały pod halę.

Peruwiańczycy pomagali pasażerom wsiąść i zabezpieczali bagaże, a tymczasem Paul wykrzykiwał instrukcje dokierowców.

Rozległo się metaliczne wycie dwusuwowych silników i taksówki ruszyły przed siebie w szyku bojowym, niczym rycząca eskadra samolotów.

Christine jechała w jednej rikszy z Paulem.

Gdy zaczęli nabierać prędkości, odrzuciła głowę do tyłu i przymknęła oczy. Ciepły pęd powietrza rozwiewał jej włosy odsłaniając szalchetne rysy twarzy. Paul spojrzał na nią z uśmiechem.

- Podoba ci się?

Christine uśmiechnęła się szerzej i wyprostowała się.

- Nie mogę uwierzyć, że jestem w dżungli.

- Prawdziwą dżunglę zobaczysz dopiero jutro.

- Wskazał palcem na lewo.

- Widzisz ten budynek?

Wracając, wpadniemy odwiedzić mojego przyjaciela.

Zajmuje się ratowaniem rannych zwierząt, a potem się nimi opiekuje.

Ma jaguary, krokodyle, tapira i parę innych, których, gwarantuję ci, nigdy wcześniej nie widziałas.

- Jak wygląda tapir?

- zapytała.

- Trochę jak prehistoryczny stwór.

Taki przerośnięty gryzoń z wydłużonym ryjkiem.

Widziałem ich ślady w dżungli.

To bardzo łagodne zwierzęta.

- Jakie tu wszystko inne niż w Dayton.

- pokręciła głową Christine.

- Tak, to nie jest Dayton.

Oparł się o Paula, a on otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

Kilka kilometrów dalej kawalkada rikszy zboczyła z głównej szosy i zjechała na wyboistą drogę prowadzącą nawysadzony palmami dziedziniec hotelu Don Carlos.

ROZDZIAŁ Dwudziesty:

Doszedłem do przekonania, że prawdziwie służyć Bogu możemy tylko w jeden sposób - służąc Jego dzieciom.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

- Wygląda na to, że zostałyśmy współlokatorkami - powiedziała Christine do Joan.
- Masz pecha.

Strasznie chrapię.

- Nie szkodzi.

Jessica też.

Zgodnie z poleceniem Paula zaniósł bagaże do pokoju i od razu wrócił do holu.

Paul stał przy recepcji oparty o kontuar.

Christine podeszła do niego.

- Doliczyłem się dwudziestu czterech osób.

Kogo brakuje?

- A mnie liczyłeś?

Uśmiechnął się.

- Jesteśmy wszyscy.

- Wyszedł na środek i zwrócił się do grupy: - Kochani, w szkole już na nas czekają. Mamy dużo pracy ale przedtem dzieci chcą nam zaprezentować mały program artystyczny, który specjalnie dla nas przygotowały. Niewchodźcie więc do środka, dopóki was nie zawołam.

Do szkoły, znajdującej się w odległości niespełna kilometra, dojechali riksami. Zgromadzili się przed bramą ogrodzenia; wszedł tylko Paul.

Po chwili z głośników zabrzmiał peruwiański hymn.

Paul wyjrzał na zewnątrz i machnięciem ręki przywołał pozostałych.

- Są gotowi - powiedział.

Tylko jednoskrzydło bramy było otwarte, wchodzili więc gęsiego.

W przejściu dzieci utworzyły szpaler i rzuciły w nich confetti, krzyjąc i wiwatując, jakby witały bohaterów powracających z wojny.

Zaprowadzono ich na szkolny dziedziniec, gdzie stało kilka rzędów krzeseł.

Zajęli miejsca; dzieci zniknęły wewnątrz

202

budynku, a po chwili wróciły, wręczając każdemu z honorowych gości poczęstunek w postaci zielonego orzechakokosowego z wystającą słomką.

- Czy to mleczko kokosowe?

- spytała Paula Christine.

Kiwnął głową.

- Nie jest tak słodkie, jak pewnie się spodziewasz, ale smaczne.

Christine upiła łyk.

Napój był bardzo orzeźwiający. Muzyka z głośników ucichła i dyrektorka szkoły wzięła do ręki mikrofon.

Mówiła po hiszpańsku i po każdym zdaniu robiła przerwę, nachylając mikrofon w stronę Paula, żeby mógł przetłumaczyć.

- Witamy naszych przyjaciół z Ameryki.

Dziękujemy,

że przejechaliście z tak daleka, żeby pomóc naszej skromnej szkole.
Dziewczynki i chłopcy ze szkoły podstawowej San Juan mają nadzieję, że wasz pobyt w naszym kraju będzie udany.

Zapraszamy ponownie.

A teraz mamy przyjemność zaprezentować wam jeden z naszych tańców regionalnych.

Paul dodał jeszcze od siebie:

- Kostiumy oraz układ choreograficzny mają symbolizować trzy krainy geograficzne, które spotykają się w Peru:

góry, ocean i dżunglę.

Trojdziesięć, chłopczyk i dwie dziewczynki, wystąpiło z grupy i stanęło przed publicznością.

Rozbrzmiała muzyka i każde pokolei odtańczyło swój taniec.

Widzowie nagrodzili je głośną owacją i oklaskami.

Potem reszta dzieci zawołała po angielsku: "Dziękujemy!"

" i nauczyciele odprowadzili je do klas.

Paul wziął do ręki mikrofon.

- A teraz pora wziąć się do pracy.

Dzisiaj mamy za zadanie wyremontować im toalety.

Musimy się podzielić na trzy grupy: jedna zajmie się naprawą dachu, a dwie pozostałe malowaniem.

Tą pierwszą kieruje Jaime.

Mason stanie na czele grupy, która zajmie się sprzątnięciem i malowaniem w 203.

wnętrz budynku, a ekipa odpowiedzialna za malowanie ścian zewnętrznych będzie podlegała Christine.

Christine wyglądała na zaskoczoną.

- Może tak być?

- spytał Paul.

-Wiem, że masz doświadczenie.

- Jak najbardziej.

-Świetnie.

Jaime dobrał sobie siedmiu mężczyzn i rozdał im rękawice robocze, a reszta osób rozdzieliła się na dwie grupy

Nim skończyli pracę, ściemniło się.

Słońce zaszło i teren szkoły oświetlały tylko lampy wiszące u wejścia do budynku. Wszyscy stanęli w grupie, żeby sobie zrobić pamiątkowe zdjęcie na tle swego dzieła.

- Kiedy będziemy coś jeść?

- zapytał ktoś.

- Dzisiaj urządzimy sobie ucztę - odparł Paul.

- Zabieram was na prawdziwą amerykańską pizzę.

Właściciel restauracji brata w Seattle, więc poczujecie się jak w domu.

Przeszli sześć ulic dalej do centrum miasta, gdzie mieściła się pizzeria.

Wewnątrz płynęły zgłoszonym amerykańskie przeboje z lat osiemdziesiątych.

W rogu stał ceglany piec opalany drewnem; jakiś mężczyzna wsuwał właśnie w jego otwartą paszczę okrągłe placki.

Byli tam jedynymi obcokrajowcami.

Młoda kobieta zaprowadziła ich w głąb sali, gdzie stał długi stół, przy którym wszyscy usiedli.

- Señorita, trdiganos cuatro pizzas grandes - powiedział doniej Paul.

- Una con jamón y piña.

DOS con today unacón soloqueso.

Trdiganos también dos litros de agua fría, sí.

Kobieta poszła przekazać zamówienie, a Paul rozsiadł się wygodnie na krześle. Kilku młodszych członków grupy chciałoby zamówić cztery duże pizze: jedną z szynką i ananasem, dwie ze wszystkimi dodatkami i jedną z samym serem.

Do tego dwa

litry zimnej wody mineralnej.

204

py, wyczerpanych po całym dniu pracy, położyło głowy na stole.

- Wykonaliście dziś kawał dobrej roboty

-Dzięki.

- Jest tu gdzieś kawiarenka internetowa?

- spytała Christine.

- Przechodź stąd.

Zaprowadzić cię?

- Nie trzeba, trafię.

Powiedz tylko, w którą stronę mam iść.

- Wyjdź tymi drzwiami iskręć wlewo.

Szukaj szyldu

z symbolem "małpy".

-Dziękuję.

Wróć za moment.

Christine wyszła na ulicę.

W pobliżu stała grupka młodych mężczyzn opartych o motocykle.

Przerwał rozmowę, żeby się za nią obejrzeć.

Christine odebrała tożakokomplement.

Przeszła na drugą stronę i kilka metrów przed sobą zauważyła szyld z znakiem .

Wewnątrz, wzdłuż jednej ściany i do połowy drugiej, znajdowały się stanowiska komputerowe oddzielone od siebie ściankami.

Pod sufitem wisiała półka z telewizorem, który bardzo kiepsko odbierał; trwała właśnie transmisja meczu piłkarskiego.

Przy wejściu stało biurko z laminowanym blatem, a zanim na drewnianym krześle siedział młody mężczyzna.

Z nogami wyłożonymi na blat oglądał mecz.

Spojrzała na Christine.

- Que pasa?

¿Qué desea?

- Chciałam skorzystać z komputera.

Kiwnął głową, zaprowadził ją do jednego ze stanowisk i zalogował się.

Potem uniósł palec w górę wolno wymawiając słowa powiedział:

- Una hora, tres soles.

-Si. Gracias.

Christine usiadła przed monitorem.

Wszystkie napisy na ekranie były w języku hiszpańskim, ale ikony znajome.

Zajrzała do swojej skrzynki.

Przyszłość od matki.

205.

Kochana Christine,

mam nadzieję, że jesteś cała i zdrowa i dobrze się bawisz w Peru.

Codziennie się za Ciebie modle.

Niedawno zjawił się u mnie Martw.

Czyż cuda się nie zdarzają?

Mówił, że nigdzie nie może Cię znaleźć.

Szkoda, że nie widziałas jego miny, kiedy powiedziałam, że jesteś w Peru.

Spodobałoby Ci się.

Jak się domyślasz, był mocno zaskoczony.

Posiedział chwilę i porozmawialiśmy.

Kilkakrotnie przeproszał, że zerwał zaręczyny, i sprawiał wrazenie szczerzeskruszonego.

Mówił, że ma Ci coś bardzo ważnego dopowiedzenia i pytał, czy można Cię złapać pod jakimś telefonem.

Powiedziałam, że chyba nie, bo pewnie podałyby mi numer.

Jeśli tak, daj znać.

Błagam, uważaj na siebie i jak będziesz miała możliwość, zadzwoń.

Ściskam Mama PS.

UWAŻAJNA SIEBIE!

Jeszcze dwa tygodnie temu Christine natychmiast pobieglaby szukać najbliższego telefonu.

Teraz Martin wydawał jej się daleki, zupełnie jakby wydarzenia ostatnich trzech miesięcy nie dotyczyły jej, lecz kogoś innego.

Czuła jedynie ciekawość.

Co się stało, że przyszedł aż do mamy?

Chciał uspokoić nieczyste sumienie?

A może chodziło o coś więcej?

Jeszcze raz przeczytała e-mail, tym razem śmiejąc się pod nosem z nieustannej matczynej troski o jej bezpieczeństwo.

Potem napisała odpowiedź.

Kochana Mamo,

jestem cała i zdrowa.

Razem z Jessicą świetnie się tutaj bawimy.

Zapomniałam Ci powiedzieć, że znalazłam dla Ciebie śliczny dzwonek do kolekcji.

Widziałyśmy mnóstwo fascynujących rzeczy i poznałyśmy paru cudownych ludzi.

Z całej wyprawy najlepiej, jak dotąd, wspominam pracę w sierocińcu.

Przywiązałam się tam do pewnej głuchoniemej dziewczynki, Roxany.

Szkoda, że nie możesz jej poznać.

Jutro wybieramy się do dżungli.

Będzie

206

się można ze mną skontaktować dopiero, jak wrócę.

Jeśli Martin ma mi coś do powiedzenia, przekaz mu, że może przysłać e-mail na ten adres.

Nawet pisząc te słowa, była zdumiona, jak obojętnie tego podchodzi.
Wtedy do kawiarenki wszedł Paul.

Dostrzegł ją w kącie, podszedł i oparł się o ściankę.

- Hej, ślicznotko, pizza gotowa.

Christine podniosła wzrok i przemknęło jej przez myśl, że Paul nie mógł się zjawić w lepszym momencie.

Była bowiem przekonana, że to, co w tej chwili czuje do Martina, ma jakiś związek z nim.

Jego przyjaźń dodawała jej sił.

- Dzięki.

Już prawie skończyłam; daj mi jeszcze sekundkę.

- To ja pójde zapłacić.

Christine dokończyła list i kliknęła „Wyślij”.

Potem wyszła przed budynek.

Paul czytał artykuł w gazecie przypiętej do muru.

Odwrócił się.

- Wieści z domu?

- Od mamy

- Coś ważnego?

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Nie.

- Wzięła go za rękę.

- Chodźmy; umieram z głodu.

ROZDZIAŁ Dwudziesty pierwszy:

Zawsze z fascynacją obserwuję, jak Amerykanie reagują na spotkanie z członkami plemienia Amaracayre - ich osobliwe zwyczaje wydają im się tak zabawne, że nie dostrzegają, iż sami są dla Indian źródłem rozrywki.

Kiedyś pewna nastolatka przyglądała się ze zdziwieniemkości w nosie wodza i nie zauważyła, że jego w równym stopniu fascynują metalowe kolczyki, które ona ma w uszach, w nosie i na języku.

Z PAMIĘTNIAKA PAULA COOKA

Nazajutrz rano Joan i Christine obudziło jednostajne siąpienie deszczu, który sprawił, że zielen liści stała się jeszcze bardziej soczysta.

Zniosły bagaże do holu, wzięły sobie pokartonie soku, do tego ciastka ibanany, i poszły do autobusu.

Paul był już w środku.

Przysiadły się do niego.

- Dzień dobry, panie doktorze - przywitała się Christine.

-Dzień dobry.

Jak spałaś?

Uśmiechnęła się.

- Śniły mi się same przyjemnerzeczy.

Kierowca uruchomił silnik.

Paul wstał, policzył pasażerów i powiedział:

- Ydmonos.

Kiedy wyjechali na otwartą drogę, Paul znowu się podł niósł.

- No, moi drodzy, dziś zaczyna się prawdziwa przygoda.

Podróż do Makisapa Lodge zajmie nam cały dzień.

Po drodze zatrzymamy się na chwilę w wiosce zamieszkałej przez plemię Indian Amaracayre, żeby im podrzucić trochę książek i lekarstwa.

Trzymajcie więc pod ręką aparaty

Pierwsze trzydzieścikilometrów w kierunku miasteczka Laberinto pokonali asfaltową szosą, ale potem autobus wjechał na czerwone, gliniaste drogi, które biegły wzdłuż ogromnych pól trzciny cukrowej i sorgo.

Rudoczerwona glina wkrótce zamieniła się w błoto i tempo jazdy nieco zmalało.

Mniej więcej godzinę później dotarli do miasta.

Po załobconych uliczkach biegały swobodnie kury i psy, a mieszkańcy przyglądali się, jak autobus zjeżdża z bocznej strony nabrzeża, mijając niewielkie sklepiki i targ rybny Gydol

tarli nad rzekę, kierowca wcisnął hamulec i wyłączył silnik.

Paul wstał i przytrzymał się poręczy

- Jeśli wyjrzycie przez okno z lewej strony, zobaczycie łódź, którą będziemy płynąć.

Wynieście bagaże i zostawcie je na pomoście.

Nasi przewodnicy załadują je na pokład.

Jeżeli ktoś chce skorzystać z ustępu, pięćdziesiąt metrów stąd jest publiczna toaleta.

Nie jest tam najczystej, ale nie mamy wyboru.

Radzę skorzystać, bo będziemy płynąć cztery, może nawet pięć godzin.

Toaleta jest płatna, kosztuje pół sola.

Do zobaczenia na łodzi.

Wszyscy przenieśli torby na brzeg i poszli szukać toalety.

Był to barak zbudowany z pustaków z żużla i betonu.

Wewnętrzne ściany wyłożone były kafelkami, a betonowa podłoga nigdy nie miała szans wyschnąć, ponieważ co kilka godzin ktoś ją na nowo zalewał.

Za pół sola dostawało się prawoustępu i małą paczkę chusteczek higienicznych.

W budynku było tłoczno i brudno, a ustęp stanowiła po prostu dziura w podłodze.

Wchodząc do kabiny, Christine o małosię nie zakrztusiła, a Joan, która akurat korzystała z sąsiedniej, krzyknęła:

- Ludzie, zabijcie mnie!

Kiedy Christine wróciła, Paul wkładał do łodzi ostatnie bagaże.

- Wiele nie przesadziłeś; toaleta jest okropna - powiedziała dziewczyna.

Paul uśmiechnął się ironicznie.

- Trzeba ją było widzieć przed remontem.

Wąska drewniana łódź miała prawie osiemnaście metrów długości.

Z kadłuba miejscami spadała brunatnoczerwona farba.

Wewnątrz znajdowały się dwie podłużne ławki wyłożone miękkimi poduszkami, a między nimi przejście szerokości mniej więcej metra.

Siedzenia osłaniał daszek z wypłowiałego, białego-zielonego płótna.

Część dziobowa łodzi wypełniona była po brzegi torbami i plecakami.

Znow zaczęło padać,

210

więc bagaże przykryto plandeką, a z daszku spuszczone naboki foliowe płachty

Gdy wszyscy znaleźli się na pokładzie, jeden z przewodników odwiązał grubą linę od nabrzeża i popchnął łódź, w ostatniej chwili do niej wskakując.

- To są nasi przewodnicy: Marcos i Gilberto - poinformował Paul.

- Obaj są autentycznymi mieszkańcami dzun Igli i jeszcze będziecie się cieszyć, że jada z nami.

Mężczyźni robili swoje, nie zwracając uwagi na prezentację Paula.

Łódź była wyposażona w wewnętrzny silnik.

Śruba napędowa znajdowała się na końcu dwumetrowego drąga, żeby sternik mógł ją w razie potrzeby wyjąć z wody. W Mądre de Dios pływa mnóstwo kawałków drewna, korzeni i innych zanieczyszczeń, gdyby więc była przymocowana na stałe, mogłaby

łatwo ulec uszkodzeniu.

Gilberto włączył silnik napelny gaz i ruszyli w górę rzekina spotkaniez dziką dżunglą.

Marcos okrył siępeleryną i usiadł na dziobie, wypatrując przeszkód.

Od czasu do czasu dawał ręką znaki Gilbertowi, który czuwał przy rufie.

Christinesiedziałaz przodu, obok Paula.

Rzeka stawała się coraz szersza, a drzewa na brzegach coraz wyższe.

Niektóre miały ponad trzydzieścimetrów.

Paul poprzekładałkilka plecaków, po czym ułożył sięna nich na wznak i nakrył twarz kapeluszem.

Christine wysunęła dłoń za burtę;

chłodna, zielonkawawoda przepływała jej między palcami.

Zauważyłto Marcos.

- No, seniorita - zwrócił się do niej.

- Noponga la mano en el no.

- Co on mówi?

- spytała Paula.

- Mówi, żebyś wyjęła rękę z wody- odparł, a potem dodał od niechcenia: -

Pewnie z powodu piranii.

- Christine błyskawicznie poderwała dłońdogóry Marcos zachichotał, a na ustach Paula widocznych spod kapelusza wykwitł szeroki uśmiech.

1

211.

Deszcz zamienił się w mżawkę.
Christine oparła się plecak i przymknęła powieki.
Plusk wody uderzającej o rufędziałał na nią kojąco.

Po półtoragodzinnym rejsie Marcos gwizdnął na Gilberta i wskazał na małą zatoczkę z lewej strony Gilberto skierował łódź ku brzegowi i zmniejszył moc silnika.

Christine podniosła wzrok.

- Już dopłynęliśmy?

Paul uniósł kapelusz i rozejrzał się.

Potem wstał i zwrócił się do pasażerów:

- Uwaga!

Za chwilę znajdziemy się wiosce Amaracayre.

Zapraszam do odwiedzin, ale musicie wiedzieć parę rzeczy. Jako pierwszy najpewniej przywitana będzie wódz plemienia.

Nie filmujcie go ani nie róbcie zdjęć bez pytania.

On wam pozwoli się fotografować, ale będzie za to oczekiwał zapłaty. Przyjęło się, że jest to pięć do dziesięciu soli zazdjęcie.

Co jeszcze.

Niektórzy członkowie plemienia będą wam chcieli oferować nasprzedają biżuterię.

Nie kosztuje dużo, a może stanowić miłą pamiątkę.

Ozdoby wykonane są z zębów albo szponów dzikich zwierząt, zwykle dzików albo papug.

Wstrzymajcie się z zakupami, dopóki ktoś najpierw nie kupi czegoś od wodza.

Tak to już unich jest.

Wódz jest uznawany za osobę świętą i wszystko, co powie, jest prawem.

Łódź dobiła do brzegu.

Marcos wyskoczył i pociągnął ją do błotnistego brzoju.

Schowała się pod nawisem z konarów drzew, tworzącym osłonę przed deszczem.

- Jeszcze jedno - odezwał się Paul.

- Nie przeżyjcie szoku: kobiety z tego plemienia nie noszą ubrań.

To nie ma nic wspólnego z pornografią, po prostu inna kultura.

Większość osób w wiosce to ludzie starsi.

Indianie Amaracayre, podobnie jak inne plemiona Amazonii, są na skraju wyginięcia.

Pewnie słyszeliście, że z powodu masowego wycinania lasów co godzinę z powierzchni Ziemi znikają bezpowrotnie dwa gatunki zwierząt.

Otóż problem ten nie dotyczy wy

212

łącznie zwierząt.

W ostatnim stuleciu przestało istnieć czterdzieści amazońskich plemion.

Marcos krzyknął coś do Gilberta i silnik łodzi zamilkł.

- Wychodzimy - powiedział Paul.

Marcos przywiązał linę do najbliższego drzewa, a potem, brodząc w grząskim podłożu, podawał każdemu rękę i pomagał wysiąść z łodzi.

Jeden po drugim zeskakiwali z dziobu na podmokły grunt.

Gdy zeszli, na brzegu pojawił się niski, barczysty mężczyzna.
Był bosy, nie miał na sobie żadnego ubrania oprócz prostej przepaski na biodrach.
W jego nosie tkwiła kość.

- To właśnie wódz - poinformował Paul.

Christine stała najbliżej, Paul zaraz za nią.

Wódz, niższy od dziewczyny o jakieś pięć centymetrów, postąpił krok naprzód i uściskał ją.

- Woomenbooy - powiedział.

Christine spojrzała na Paula, nie wiedząc, jak zareagować.

- Woomenbooy znaczy "bracie" lub "siostrze" - wyjaśnił Paul.

- Oni w ten sposób zwracają się do bliskich.

Odpowiedz tym samym.

- Woomenbooy - powiedziała Christine, a wódz zaczął się śmiać.

Potem podszedł do Paula.

- Marinka!

- wykrzyknął i rzucił mu się na szyję.

- Woomenbooy - odpowiedział Paul.

Reszta grupy ustawiła się w szeregu i każdy kolejno przywitał się - w wodzem.

- Paul, co on do ciebie powiedział?

- zapytała Christine.

- Wymyślił mi przydomek; Marinka.

Według ich legendy, było sobie kiedyś drzewo, które rosło aż do nieba.

Nazywało się Marinka.

Każdy, kto się na to drzewo wspinał, stawał się Marinka, czyli "Tym, który szuka Boga".

Wioska składała się z małych drewnianych chatynek ustawionych w półkolu pod wysokim sklepieniem z drzew, dobrze chroniącym wioskę przed deszczem.

Na środku znajdowało się palenisko, wokół niego kłody służące do siedzenia.

Jedyną rzeczą, która wyraźnie nie pasowała do otoczenia, byławielka antena satelitarna.

- To oni tu mają telewizję?

- spytała Joan.

- Nie.

To antenaradiowa.

Dostali ją w prezencie od rządu.

Dzięki temu mają jakiśkontakt ze światem.

- Jakimjęzykiem się posługują?

- spytała Christine.

- Mają własny dialekt.

Znam tylko kilka zwrotów, ale odczasu do czasu przyjeżdżają tu misjonarzei kiedyś nauczyliwodza i paru współplemieńców kilku słów po hiszpańsku.

Jakaśstarsza, prawie bezzębna Indiankawzrostu najwyżej metr pięćdziesiąt podeszła do Paula, radośnie paplającw swoim języku.

Była naga, na ramionach miała tylko zarzucony brązowyszal.

- Co ona mówi?

- spytała Christine.

- Nie mam pojęcia - odparł Paul i nachylił siędo kobiety, żeby ją uściskać.

Indianka spojrzała na Christine, coś do niej powiedziałaitakżeją uściskała.

Potem sobie poszła.

- Co ona miała na sobie?

-To szal zrobiony z kory drzewa.

Christine się uśmiechnęła.

- A ja myślałam, że to wełna.

Przeszli do centrumwioski, gdzieIndianie powychodzilize swych chat.

Wszycymieli bosc stopy, a palce u nóg powykręcane i zgrubiałe.

Jeden z mężczyzn wystawił w kierunku Christine rękę z naszymyjnikiem.

Spojrzała na Paula, aleten pokręcił głową.

- Jeszcze nie.

Kiedy wódz już się zwszystkimi przywitał, poszedł doswojej chaty i założył na głowę pióropusz z papuzich piór.

Paul stwierdził, że jest piękny, i kupił pióropusz za trzydzieści soli.

Potem wódz przyniósł nasprzedajjeszcze kilka innych i wówczas

współplemieńcytakże zaczęli handlowaćswoimi wyrobami.

Paul chodził dookołai pomagał Amerykanom dobijać targu.

214

ROZDZIAŁ Dwudziesty drugi:

"Lwy, tygrysy i niedźwiedzie!

O rety!

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

1

- Możesz go spytać, czy pozwoli mi zrobić sobie z nim zdjęcie?

- poprosiła Christine.

- Pochwaliłabym się w pracy.

- Jasne.

- Zamienił z wodzem kilka słów, po czym wręczył mu pięć soli.

Wódz stanął obok Christine i Paul zrobił zdjęcie.

Gilberto z Marcosem przytaszczyli łodzi kilka kartonowych pudeł.

Wódz przykucnął i zaczął przeglądać zawartość, a Paul wyjaśniał mu, jak stosować poszczególne leki.

Na koniec znów się serdecznie uściskali i Paul odprowadził wszystkich do łodzi.

- Nie zapomnę tego do końca życia - powiedziała Christine, gdy już siedzieli w środku.

- Człowiek jakoś inaczej zaczyna patrzeć na świat, prawda?

Christine pokiwała głową.

Gdy wypłynęli spod osłony drzew, znów zaczął padać na nich deszcz.

Paul spojrzałw niebo.

- Na szczęście nie potrwa długo.

- Wiesz takie rzeczy?

- Wódzmi powiedział.

On umie przewidywać pogodę Gilberto mówi, że odkąd go zna, a to już dwanaście lat, ani razu się nie pomylił.

- Jak on to robi?

- Jest szamanem.

Co kilka miesięcy udaje się pieszo w specjalne miejsce, gdzie wychodzi w kontakty z duchami.

Zauważyłaś, że czekał na nas na brzegu?

Powiedział Gilbertowi, że właśnie od duchów się dowiedział, że przyśniemy akurat dzisiaj, i to dokładnie o tej godzinie.

- Wierzysz w to?

- Wierzę w mnóstwo rzeczy, w które nie wierzyłem, zanim tu przyjechałem.

A poza tym, nie mam powodu wątpić.

Amaracyrenie kłamią.

W ich kulturze to pojęcie nic nie jest.

Gilberto wyprowadził łódź na środek rzeki i popłynął dalej w głąb Amazonii.

Niedługo po tym, jak opuścili wioskę, deszcz przestał padać, więc foliowe płachty można było zrolować i przywiązać do daszka.

Po trzech godzinach łódź skręciła w stronę wschodniego brzegu rzeki i przybiła do niewielkiej skarpy, w której wyrąbane były schodki.

Podeszło do nich kilku Peruwiańczyków, niosąc duże kartonowe pudło.

- Tutaj żegnamy się z rzeką - zawołał Paul dotyłu, idąc w stronę dziobu.

- Teraz czeka nas krótki spacer przez dżunglę.

Po drugiej stronie znajduje się jezioro Huitoto, a stamtąd jest czterydzieści pięć minut drogi do Makisapa Lodge.

Mężczyźni wyciągnęli łódź na brzeg i przycumowali.

Potem przerzucili pudło przez burzę, a Paul je otworzył.

W środku było pełno kaloszy.

- Słuchajcie, jest pora deszczowa, więc droga będzie miejscami podmyta.

Musimy założyć gumowe buty Biercie.

Buty podawano sobie parami.

Christine zrzuciła sandały, wsunęła stopę do kalosza i natychmiast ją wyciągnęła.

- Tam chyba coś jest - powiedziała.

Odwróciła but do góry nogami, a ze środka wysypało się całe stadokarałuchów.

Christine wrzasnęła i odrzuciła kalosz, a robactwo rozpierzchnęło się po dnie łodzi.

Paul próbował się powstrzymać od śmiechu, ale mu się to nie udało.

- Uważasz, że to zabawne?

- powiedziała Christine, starając się przybrać gniewny ton.

- Nie - odparł, nie przestając się śmiać.

- Przepraszam.

- Ani myślę ich zakładać.

- Zobacz - powiedział Paul i podniósł jej kalosze.

Najpierw wyrzepał, potem włożył rękę do środka i dopiero

217.

wtedy podał Christine.

- Gotowe.

Ciesz się, że to nie byłatarantula.

-1 to niby mamnie uspokoić?

-spytała, wkładając kalosze.

Wszyscy odszukali swoje bagaże i zanieśli je na brzeg.

Naszczycie skarpy znajdowała się wykarczowana polana, a naniej stała chatka wsparta na palach.

Wokół spacerował z tuzinkur dziobiących w ziemi w poszukiwaniuurobaków.

Gilberto skierował się w stronę lasu, a wszyscy podążyli za nim.

Zatrzymał się w miejscu, gdziezarośla zgęstniały, a ścieżkęprzesłaniał cień.

Paul podszedłdoniego.

- Tędy będziemy się przedzierać.

Pamiętajcie: to jest prawdziwa dżungla; zachowajcie rozsądek.

Nie zamieniajcie sięmiejscami i nie oddalajcie od reszty.

Użyjemy dwóch maczetz przodu i jednej z tyłu.

- Po co z przodu aż dwie?

- zapytał Mason.

- Bo czasami osoba idąca na czele zaledwie budzi zwierzę - wyjaśnił Paul.

Kilka osób zareagowało nerwowym śmiechem.

- Idźcie za przewodnikami i starajcie się dotrzymać imkroku.

Jaguary, pумы, źmije, boa dusiciele, dziki, kurzawkato tylko część rzeczy, które mogą wam popsuć dzień.

Miejciewięc oczy dookoła głowy Obiecałem Jimowi, że was przyprowadzę żywych.

- Paul wyjął maczetę, poczym, widzącprzerażenie na wszystkich twarzach, zawołał: - "Lwy, tygrysyi niedźwiedzie!

Orety!

"

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Dobra, kochani; vamos.

Jaime i Gilberto ruszyli jako pierwsi, Marcos ustawił sięw środku, a Paul przepuścił wszystkich izostał na końcu, żeby ubezpieczać tyły Christine stanęła przy nim.

- Zamierzam się ciebie trzymać.

Wydeptaną idobrze zaznaczoną ścieżkę trudno było zgubić, ale podłożebyło bardzo błotniste.

W wielu miejscachdrogę przecinały grube, wystające korzeniei powalone kłó218 jej po nodze, a potem po nodze Joan.

Obie kobietyoderwały się z piskiem.

- Te są niegroźne - powiedział ze spokojem Paul.

Gdy wszyscy zajęli miejsca w łódkach, rozdano wiosłai cała grupa wyruszyła w stronę południowego krańcajeziora.

Słońce chowało sięza porośniętą drzewami linię horyzontui ostatnie promienieświatłamigotały na wodzie niczym płynne złoto.

Potemznikły, a pomarszczona tafla jeziora przybrała groźną, ciemną barwę. Zmierzch trwało krótko i momentalnie zapadła ciemność. Czółna trzymały się blisko siebie i płynęły w kierunku mającego w oddali zarysu drzew.

Niespełna godzinę później dojrzel na horyzoncie słabe światło latarni.

- Makisapa - powiedział Marcos.

- Jesteśmy na miejscu - dodał Paul.

W miarę jak się zbliżali, stłumiony odgłos generatora prądu przybierał na sile.

Pierwsza łódka dobiła do przystani.

Jaime wyskoczył z niej i przywiązał cumę do pala.

Nagle na brzegu pojawił się jakiś człowiek w dzinsach i białej koszulce.

Paul zawołał do niego i mężczyzna podszedł do nich podeskacz pomostu.

Na głowie siedziała mu małpka, która owinęła ogon wokół jego szyi.

- To jest Leonidas - oznajmił Paul.

- A jego przyjaciel tonasza tutaj ma maskotka, mały czepiak.

Nazywa się Maruha.

- Jaka śliczna - zachwyciła się Christine.

Paul odłożył wiosło i podał rękę Leonidasowi, który pomógł mu wysiąść.

- Hermana - powiedział Paul.

- Es un placer volver a verte.

"

- Esm gusto volver a verte.

Está lista la cena?

"

- Si.

Inaczej małpa-pająk, czyli makisapa [przyp.

tłum.

].

Miło cię znowu widzieć.

Nawzajem.

Czy kolacja jest już gotowa?

220

y.

dy, a od czasu do czasu niewielki strumyk.

W którymś momencie woda zrobiła się głęboka na ponad pół metra i zaczęła im się wlewać do butów.

Parasol liści nad głowami stawał się coraz gęstszy, aż w końcu przesłonił prawie całe światło.

- Cuidado con las anacondas - krzyknął za siebie Gilberto.

- A ellas ksgusta este tipo de agua.

- Uważajcie na anakondy - przetłumaczył Paul.

- One bardzo lubią taką wodę.

Christine nic nie mówiła, ale na jej twarzy malował się coraz większy niepokój. Paul mocno uchwycił maczetę.

- Trzymaj się bliskomnie.

Im głębiej zapuszczali się w dżunglę, tym większa panowała wśród nich cisza. Beztroskie rozmowy zastąpił szelest kroków i odgłosy niewidzialnych stworzeń poruszających się w zaroślach.

W pewnej chwili Paul się zatrzymał kucnął przy drzewie.

- Patrz.

- Przesunął dłonią po czterech głębokich brzdach na korze.

- Świeże.

Jaguar czyścił sobie pazury Christine rozejrzała się dookoła.

- Mam się zacząć denerwować?

Paul wstał.

- Nie; one zwykle atakują samotne ofiary. Po mniej więcej czterdziestu minutach droga zaczęła opadać nieco w dół i na horyzoncie ukazało się jezioro.

Dotarli do stromej przybrzeżnej skarpy. W dole, na zielonej, mulistej wodzie kołysało się kilka czółen.

Kiedy Gilberto zaczął schodzić, usłyszał gwałtowny plusk.

To spłoszony krokodyl czmychnął do wody.

- Co to było?

- spytała Christine.

- Nic - odparł Paul.

Gilberto ostrożnie wszedł do jednego z czółen, po czym gestem przywołał pozostałych.

Po kolei wchodzili do łódek, zasiadając parami na drewnianych ławeczkach.

Christine zajęła miejsce bliżej dziobu.

Nagle ogromny pajak przebiegi

219

Kiedy wszyscy znaleźli się na przystani, zabrali bagaże i poszli w stronę stromej zbocza, w którym wycięto ciąg stopni.

Gilberto z Leonidasem wspinali się przodem, oświetlając drogę latarkami.

Spod nóg co chwila uciekały jaszczurki, a po okolicznych drzewach śmigały czarne cienie.

W końcu teren stał się płaski i można było dojrzeć obozowisko - ścieżkę, którą oświetlały olejowe pochodnie, oraz kilka krytych strzechą baraków.

Paul zaprowadził ich do comedor.

Był to największy z budynków i główniejsze spotkań.

W środku mieściła się kuchnia i przestronna jadalnia.

Okrągłe stoły wycięto prostoz pni drzew i oszlifowano.

W oknach zamiast szyb widniały gęste moskitiery. W całym pomieszczeniu roznosił się zapach czosnku i sosu pomidorowego.

- Założę się, że jesteście głodni - powiedział Paul - awięcczęstujecie się, a potem zajmujemy się przydziałem domków i omówimy kilka zasad.

Kucharką ośrodka Makisapa Lodge była żona Leonidasa, Rosana.

Właśnie wystawiła na ladę dwa ogromne garnki ugotowanego makaronu i duży rondel z sosem do spaghetti.

Stał też tam koszyk z pieczywem czosnkowym, dwa całirbuzy, a do picia zimna woda źródłana.

Wszyscy ustawili się kolejce i napełnili talerze po brzeżi.

Gdy zajęli miejsca przy stołach, głos zabrał Paul:

- Pierwsza sprawa: jedzenia jest dosyć, więc jeśli będziecie mieli ochotę na drugą porcję, nie krępujcie się.

- A trzecią?

- zawołał Mason i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Trzecią też.

Witajcie w Makisapa Lodge.

Nasz pobyt będzie krótki, ale za to pełen atrakcji.

Dla własnego bezpieczeństwa musicie się zastosować do kilku panujących tu zasad.

- Wyjął za laminowaną kartkę papieru.

- Zasada numer jeden: nie wolno zaczepiać ani drażnić węży.

Jeżeli zauważycie jakiegoś w pobliżu ośrodka, natychmiast powiadomcie o tym personel.

Uważajcie, bo węże amazońskie są agresywne.

niejsze od północnoamerykańskich, a przy tym w większości jadowite.

- To znaczy, w jakim sensie mamy ich niedrażnić?

- spytał jeden z młodszych uczestników wyprawy.

- Nie próbujcie ich łapać, dotykać patykami ani czymkolwiek w nie rzucać.

- Akurat miałam zamiar to zrobić - rzuciła Joan.

- Zasada numer dwa: jeżeli będziecie chcieli opuścić terenośrodek, zawsze weźcie ze sobą przynajmniej jedną maczetę.

Poproście kogoś z obsługi, to wam da.

Powtarzam: nigdy nie wybierajcie się na spacer w pojedynkę.

Zwłaszcza nocą.

Zarośla są gęste i łatwo stracić orientację.

Możecie się zgubić, będąc nawet dziesięć metrów od zabudowań.

W dżungli są rzeczy, z którymi naprawdę wolelibyście się nie spotkać.

Młoda dziewczyna podniosła rękę.

- Czy zdarza się, że groźne zwierzęta wchodzą na terenośrodek?

- Czasami.

Nawet w tym roku Gilberto zauważył kiedyś pumę spacerującą środkiem placu.

Na szczęście nie miał wtedy ze sobą turystów.

Tom było prawdopodobne, ale gdyby się zdarzyło, że napotkacie pumę albo jaguara, wycofujcie się powoli, cały czas utrzymując kontakt wzrokowy. Pod żadnym pozorem nie uciekajcie.

To tylko wyzwała w nich instynktowiecki.

A wiercie mi, w biegu nie macie z nimi żadnego szans.

Ponownie zajął do listy

- Zasada numer trzy: nie zalecamy kąpieli w jeziorze.

Wzdłuż brzegów żerują krokodyle, a poza tym w wodzie są piranie, węgorze elektryczne, pijawki i anakondy. Podpisaliście oświadczenie, że przyjeżdżacie tu na własną odpowiedzialność, więc decyzja należy do was, ale jakby co, pamiętajcie, że was ostrzegałem.

Wolelibyśmy, żebyście wrócili z nami, najchętniej w jednym kawałku.

Zasada numer cztery: jeśli chcecie łowić piranie, to mamy tu do dyspozycji wędkę z ołowianą żyłką, ale sami nie zdejmujcie ryby z ha-

222

czyka, niech wam to zrobi ktoś z personelu.

Nawet martwa pirania potrafi ugryźć.

To już chyba wszystko.

Aha - spojrział na małpkę siedzącą na głowie Leonidas.

- Zasada numer pięć: zabrania się trzymania małpek w domkach.

Mają talent do niszczenia wszystkiego, czego się dotkną.

Szczególnie znana już wam Maruha: uwielbia zjadać książki.

Sajakięś pytania?

Joan uniosła rękę.

- Czy wyjedziemy stąd żywi?

- Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś tu zginął, ale pamiętajcie: to nie jest

parkrozrywki, to prawdziwa dżungla.

A więc nadmiar ostrożności nie zaszkodzi.

Zauważcie, że cały teren jest ogrodzony, nie tak jak w El Girasol.

To przede wszystkim dla waszego bezpieczeństwa.

W nocy będziecie słyszeć rozmaite odgłosy, głównie ptaków i owadów, ale także większych zwierząt.

Wszyscy jesteśmy intruzami w żywym ekosystemie; wszyscy jesteśmy też potencjalnym ogniwem łańcucha pokarmowego.

O tej porze roku musicie szczególnie uważać na pchły i komary, więc oprócz moskitier stosujcie obojętne przeciwpchelne i preparaty odstraszające.

Jeżeli ktoś zapomniał ze sobą zabrać, mamy duży zapas.

Kolejną ręką powędrowała w górę.

- Co będziemy robić jutro?

- Co chcecie.

Podrugiej stronie jeziora jest wyspa.

Popłyniemy tam rano i zwiedzimy ją.

Przed wszystkim jednak będziemy się relaksować.

Wiem, że wielu z was po tak ciężkiej pracy przyda się trochę odpoczynku.

Mamy tu takie powiedzenie: „W dżungli nie ma zegarów”.

Jemy kiedy jesteśmy głodni, śpimy, kiedy jesteśmy zmęczeni, a comedor jest otwarty na okrągło.

Na koniec jeszcze jedna sprawa: Jim przysłał dla was coś dobrego.

- Sięgnął za ladę i wyciągnął dwa kolorowe pudełka.

- Torciki czekoladowe.

Po jednym dla każdego.

Rozległ się okrzyk radości.

Jedno pudełko wziął Paul, drugie Gilbert i rozdali wszystkim po ciastku.

223.

- Przydział domków wypisany jest na tej kartce - powiedział Paul, machając nad głową podkładką z klipsem.

- Jakskończycie jeść, pozanoście rzeczy i przygotujcie się do spania.

Generator wyłączamy za dwie godziny.

Gdybyście mieli jakieś pytania, znajdziecie mnie tu, w comedor.

Christine podeszła do Paula z plasterkiem arbuza.

- Dziękuję.

- Jest bardzo słodki - powiedziała, siadając obok.

- Uwielbiam arbuzy

- Ja też.

- Paul odgryzł kawałek i wytarł kąciuki ust.

- Który domek jest mój?

- spytała Christine.

- Zakwaterowałem was razem z Joan w Guacamayo.

Jak wyjdiesz, to będzie druga chatka na lewo.

- A ty gdzie będziesz?

- Nad drugim końcem ośrodka, w Yampiro.

Christine wstała.

- Może wpadniecie nas odwiedzić?

- Prawdę mówiąc, miałem wobec ciebie inne plany. W tej chwili muszę załatwić parę spraw z personelem, a potem jestem wolny

Christine się uśmiechnęła.

- W takim razie będę czekać.

ROZDZIAŁ Dwudziesty trzeci:

Zabrałem Christine na nocne polowanie na krokodyla.

Wróciła zachwycona.

Pełnię życia odczuwam najbardziej - wtedy, gdy jest ono zagrożone.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Makisapa Lodge składało się z dziewięciu bungalów połączonych siecią ścieżek oświetlonych pochodniami.

Domki wyglądały dokładnie tak, jak je sobie Christine wyobrażała: zbudowane z ciemnego drewna pozyskanego z okolicznej dżungli, wszystkie miały kryte strzechą dachy, ganki u wejścia, a zamiast okien siatki.

W środku mieściły się trzy łóżka, a nad każdym wisiała moskitiera zawiązana w ogromny supełi przymocowana do sufitu.

Źródłem światła były dwie elektryczne żarówki - jedna na środku pokoju, a druga w łazience.

Łazienkę wydzielala zasłonka.

Stał tam prysznic oraz porcelanowy sedes i umywalka.

Woda miała tylko jedną temperaturę, i to w zależności od tego, co w danej chwili zaoferował dżungla.

Od pływu prysznic odprowadzał zużytą wodę prosto pod podłogę.

W pokoju było czysto, choć czuło się woń nafty

- Co to takiego guacamayo?

- zapytała Joan.

- Brzmi jak nazwa dipa.

Christine szeroko się uśmiechnęła.

- Zdaje się, że papuga.

Joan odwiązała moskitierę i opuściła ją swobodnie na łożko.

- Spałaś kiedyś pod czymś takim?

- Nie - odparła Christine.

- Nigdy nawet nie byłam pod namiotem.

- Jak myślisz, co tak śmierdzi?

- Może to tutejsze drewno.

- Christine oparła się o parapet i wyjrzała na zewnątrz.

Młodzież stała na środku kompleksu i latarkami świeciła w oczyma komwiszącym nagałęziach.

226

- I pomyśleć, że u nas jest zima - powiedziała Christine.

- Ja tam za nią nie tęsknię.

Mam nadzieję, że jest gigantyczna śnieżycą.

- Joan siadła na łożku.

- No to mów, jak to jest z tobą i Paulem?

J Christine była zaskoczona tym pytaniem.

- Nie rozumiem.

- Widziałam, jak na siebie patrzycie.

To nie jest przelotny flirt, jak w przypadku Jessiki i Jima; to takie bardziej romantyczne.

A poza wszystkim, Paul to cholernie przystojny facet.

Ach, gdybym tylko była dwadzieścia lat młodszą i dziesięć kilo chudsza.

Christine z powrotem usiadła na łożku, bardzo pragnąc zmienić temat.

- Ciekawe, co teraz robią Jessica i Jim.

-Mamy szczęście, żeten chłopak przeżył.

- Joan przymrużyła oczy - Co ty tam masz naramieniu?

Christine podniosłarękę.

- Ach, tokomary W Puerto byłyichtysiące.

-Musisz się częściej spryskiwać odstraszcaczem.

Rozległo się pukaniemdo drzwi.

- Proszę!

- zawołała Christine.

Dośrodka wszedł Paul w kapeluszu na głowie i z aparatem na szyi.

- Dobry wieczór, drogie panie.

Zadowolone z lokum?

- Jest fantastyczne, tylko ten zapach.

Co tojest?

- Drewno nasącza sięolejemsilnikowym, który odstrasza termity Tutaj występuje ponad dziewięćdziesiąt gatunków termitów.

-Fascynujące - skomentowała żartobliwie Joan.

- Przepraszam,mam lekkiego bzika na punkcie dżungli.

Wkażdym razie tenolej chroni teżdrewno w czasie porydeszczowej, a przez to jest mniej komarów.

Korzyść jestwięcpotrójna.

Przyzwyczaicie się.

- Mnie się nawet ten zapach podoba - powiedziała Chrisline, a Joan tylko zmierzyła jąwzrokiem.

227.

- To co, dziewczyny, zechcecie mi towarzyszyć?

Wybieram się z kilkoma osobami polować na krokodyle.

- W nocy?

- zdziwiła się Joan.

- Wtedy najłatwiej je złapać.

- I viceversa - dodała Joan.

- Ja dziękuję.

- A ja chętnie - powiedziała Christine.

Paul spojrział na nią z zaskoczeniem.

- Serio?

- Ufam ci.

Nie zaproponowałbyś mi tego, gdyby to nie było bezpieczne, prawda?

- Powiedzmy że w miarę bezpieczne - powiedział.

- Kiedy ruszamy?

- Zaraz.

Wstała.

- No to chodźmy

Wyszli na zewnątrz i Paul zawołał do młodzieży:

- Ruszamy!

Dołączyło do nich w sumie pięć osób oraz Gilberto, który siedział na schodkach comedora i karmił ary skórkami arbuza.

Paul wyrwał maczetę z pnia i kiedy schodzili z brzoza przystani, trzymał ją cały czas w pogotowiu.

Gdy Christine zobaczyła, że wszyscy szykują się, aby wejść do czółna, przystanęła.

- Płyniemy łódką?

Paul odwrócił się i spojrział na nią zdziwiony

- Oczywiście.

A jak inaczej można złapać krokodyla?

Christine ogarnęła wzrokiem czarne jak atrament wody jeziora.

- A nie można z brzegu?

- Nie - roześmiał się Paul.

- Oczekujesz, że wypłynę na jezioro pełne piranii i będę łowiła krokodyle?

- Ktoś tu mówił o zaufaniu.

Christine wzięła głęboki oddech i kręcąc głową, ruszyła w stronę czółna.

228

- Nienawidzę cię.

Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Wziął ją za rękę, pomógł usadowić się na drugiej ławeczce i wręczył wiosła. Sam usiadł przed nią.

Kiedy płynęli w stronę przeciwległego brzegu, odgłosy dżungli zdawały się nasilać.

Niskie, gardłowe pokrzykiwania wyjców niosły się echem po jeziorze, a zaraz po nich dał się słyszeć jeszcze głębszy pomruk dobiegający z czarnej czeluści, która rozciągała się przed nimi.

- Co to?

- spytała Christine.
 - Krokodyl- odparł Paul.
- Pewnie Elvis.
 - Nadajesz im imiona?
 - Tylko Elvisowi.

On tu jest najstarszy Ma chyba z pięćnetrów.

- Co ja tu robię.
- Paulodepchnął się wiosłem.
- Dobrze się bawisz.

Tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Nagle coś im przeleciało nad głowami i Melissa, która siedziała za Christine, krzyknęła:

- Co to było?
 - Yampiros - poinformował spokojnym głosem Paul.
- Tylko nietoperze-wampiry żywią się komarami.
- Och, co za ulga: to tylko wampiry - mruknęła ironicznie Melissa.
- Czółno sunęło ciszy po czarnej tafli jeziora, a w oddalającym się ciemnym zarys przeciwnego brzegu.
- Drzewa zwieszały konary nad wodą, a kiedy pod nimi przepływali, w koronach słychać było szelest uciekających małpi ptaków.
- Nie zbliżajcie się zbyt blisko drzew- ostrzegł Paul.
- Żmije lubią zwisać gałęzi.

Wszyscy naraz przestali wiosłować.

Paul przesunął światłem latarki po powierzchni wody i natychmiast natrafił na parę żółtych oczu, które świeciły w ciemności jak światełka odbłaskowe na przydrożnych słupkach.

- Otoi krokodyl.
- Christine patrzyła zafascynowana.

- Jak mu świecą oczy.
 - Są podobne do kocich, tyle że bardziej odblaskowe.
- Paul poświecił latarką w innym miejscu.
- O, następny Tymrazem młody.
 - Po czym to poznajesz?
 - Po rozstawie oczu.
- Odwrócił się i dodał, ściszej głoś:
 - Podpłyńcie bliżej, spróbuję go złapać.
 - Czym?
- zapytała Christine.
 - Rękami.
 - Oszalałeś?
 - Tak to się robi.

Gdy łódka zbliżyła się do krokodyla, Paul wychylił się zaburtę.

Zwierzę zaczęło się chować pod powierzchnią, więc Paul szybko zanurzył rękę, żeby je złapać.

Nagle mocne szarpnięcie pociągnęło go w dół i znalazł się w wodzie aż po szyję.

- Ratunku!

Dorwał mnie!

- krzyknął.

Christine zaczęła piszczeć, a wtedy Paul dźwignął się dogóry i ze śmiechem opadł z powrotem w łódkę.

Cała ręka ociekała mu wodą.

- Żartowałem.

- Głupi jesteś, wiesz?

- rozłościła się Christine i uderzyła go pięścią w plecy

- Gilberto, vamos a tratar de nuevo.

Paul penetrował latarką powierzchnię jeziora, a reszta wiosłowała.

Gilberto siedział z tyłu i używał wiosła jako steru, pilnując, aby czółno poruszało się prostopadle do brzegu.

Nie minęły dwie minuty, gdy w ciemnościach błysnęła kolejna parę oczu.

- O, jest - powiedział Paul.

- Tym razem trochę większy. Odłóżcie wiosła.

Gilberto, acercame.

"

Gilberto wykonał kilka drugich, lekkich pociągnięć wiosłem, aż zbliżyli się na tyle, by Paul dosięgnął!

krokodyla.

Tym

Spróbujemy złapać innego.

Podpłyn kawałek.

230

razem złapał gadaza szyję.

Zwierzę wściekle młóciło wodęogonem, aż w końcu Paul wyciągnął je na powierzchnię.

Wtedy zamarło bez ruchu, oszołomione nowymotoczeniem.

- Przyświećmi tu - powiedział Paul.

Cztery latarki skierowały światło na krokodyla.

- Ale ma grubąskórę - powiedział ktoś.

Zwierzę miało prawie metr długości i żółte, kocie oczy.

Wokół zaciśniętej paszczywidoczne były zęby, jeszcze czerwone po posiłku, który mu brutalnie przerwano.

Pauluniósł

krokodyla w górę.

- Zauważcie, że brakuje mu prawiewszystkich palców ułap.

To piranie.

Odgryzają je, kiedy krokodyle są małe.

- O, Boże!

O, Boże!

- wykrzyknęłaChristine.

-Nie wierzę, że to zrobiłeś.

- Masz - Paulpodsunął jej schwytane zwierzę.

- Potrzy maj.

Cofnęła się.

- Zabierz to.

-Chcę ci zrobić z nimzdjęcie.

Daszradę, Christine.

- Ty naprawdę nie żartujesz.

-Anitrochę.

Christine gapiała się na krokodyla isama nie mogła uwierzyć w to,co za chwilę usłyszała z własnych ust:

- Co mam robić?

-Przede wszystkim, podejdź tu.

- Christine podeszłai pochyliła się doprzodu.

-Trzyma sięgo podobnie jak węża.

Póki go ściskasz za szyję, nie może cię ugryźć.

Przesuń tudłoń i ustaw tuż zamoją,a kiedy uznasz, że jesteśgotowa, jaszybciutko cofnę rękę, a ty go złapiesz.

Drugą chwyć zaogon.

- Ja chyba śnię.

- Dotknęła ogona krokodyla.

-Ale śliski.

- To gad.

Dobra, daj tu rękę.

Już?

- Nie, nie;jeszcze nie - powiedziałanerwowo.

Przesunęła dłońiapo chropowatym grzbiecie i ustawiłają tuż za dłonią Paula.

Krokodyl nagle się szarpnął i Paul musiałwzmocnić uścisk.

231.

- Robi się niespokojny; musimy się śpieszyć.

Liczę dotrzech i łapię.

Raz, dwa, trzy

Paul cofnął rękę i w tym samym momencie Christine chwyciła krokodyla za szyję.

Nawet się nie poruszył, więc Paul mógł się odsunąć.

- Zrobiłaś to.

Twą twarz Christine aż się ożywiła z emocji.

- Trzymam krokodyla!

Prędko, rób zdjęcie!

Jessica nigdy w życiu wto nie uwierzy.

Paul wziął do ręki aparat i sfotografował ją.

- Cóż teraz?

- Teraz go wypuść.

- Jak?

- Po prostu wrzuć go z powrotem do jeziora.

Christine wystawiła krokodyla za burtę i puściła.

Rozległ się plusk, zwierzę zamachało ogonem i zniknęło pod wodą.

- Kto następny?

- spytał Paul.

Teraz każdy chciał potrzymać krokodyla, więc Paul poświecił latarką wzdłuż brzegu, aż trafił na mokradła, z których wзираło co najmniej dwanaście par oczu.

- Po jednym dla każdego.

- Kiedy wiosłowali w tamtą stronę, Paul zwrócił się do Christine: - Tak sobie myślę, że dla krokodyla takie przeżycie to musi być jak porwanie przez kosmitów: nagle pojawia się oślepiające światło, które cię paraliżuje, potem coś cię unosi w powietrze, gdzie jakieś dziwaczne stworzenia o delikatnej skórze oglądają cię ze wszystkich stron, i wtem z powrotem lądujesz w wodzie.

Założę się, że ten zwierzę będzie miał co opowiadać kumplom w bagnie do końca życia.

Christine wybuchnęła śmiechem.

W sumie wyłowili pięć krokodyli; największy z nich mierzył ponad metr.

Okolo północy wrócili do ośrodka.

Razem przeszli drogę od przystani, a na miejscu młodzież zniknęła w swoich domkach, żeby podzielić się wrażeniami.

Gilberto poszedł do comedora, a Paul odprowadził Christine do

232

ej bungalowu.

Weszli na ganek i stanęli pod drzwiami.

Joanę pała: ze środka dobiegało pochrapywanie.

- Porozmawiamy?

- zapytała Christine.

- Jasne.

Usiedli na schodach.

- Jestem z Ciebie dumny - powiedział Paul.

- Wykazałaś

się dzisiaj dużą odwagą.

- To dlatego chciałaś mnie zabrać, tak?

- Jeżeli potrafisz wypłynąć na pełną piranii rzekę, nad którą przelatują wampiry, igłymi rękami złapać krokodyla, to nic już dla Ciebie nie będzie straszne.

Uśmiechnęła się.

- Wciąż niemożę uwierzyć, że to zrobiłam.

To ty mi pomogłaś pokonać strach.

- Nie.

Zawsze byłaś odważna, tylko nie zdawałaś sobie z tego sprawy

- A ty się nigdy nie boisz?

- Oczywiście, że się boję.

- Czego?

Co było takim najbardziej przerażającym przeżyciem, odkąd przyjechałaś do Peru? Paul zastanowił się chwilę.

- Chyba spotkanie z anakondą.

Christine nadstawiła uszu.

- Brzmi interesująco.

Opowiadaj.

- To było mniej więcej trzy lata temu.

Pojechałem wtedy do dżungli szukać korzenia pewnego drzewa, o którym Gilberto mówił, że leczy infekcje nerek.

Ponieważ okazało się, że rośnie niedaleko naszego obozowiska, nie chciało mi się brać maczety No i wszedłem prosto na anakondę.

Leżała zwinięta, więc dokładnie nie wiem, jaka była duża, ale myślę, że miała spokojnie z sześć metrów.

- Paul rozstawił dłonie na szerokość mniej więcej czterdziestu centymetrów.

- I była co najmniej taka gruba.

Christine zwróciła wzrok i otworzyła usta.

To musiało być straszne.

233.

- Trochę się przeraziłem, to fakt.

Anakondy mają zwyczaj unosić głowę, żeby spojrzeć ofierze w oczy.

Wyobraź sobie: była wyższa odemnie.

Można by sądzić, że człowiek z łatwością potrafiłby prześcignąć tak duże zwierzę, ale nicz tego.

Widząc jednak, że nie mam wielkiego wyboru, zacząłem uciekać, a ona ruszyła za mną.

Nagle mnie oświeciło i rzuciłem za siebie plecak.

Waż momentalnie go dopadł i owinał się wokół niego.

Zanim się zorientowałem, że plecak jest niejadalny, ja już byłem w obozie.

Christine z wytrzeszczonymi oczami słuchała opowieści Paula.

- Nie wiem, jak ty możesz tumieszkować.

Ja bym nie potrafiła.

Dostrzegła jakąś iskierkę w jego oczach i odniosła wrażenie, że te słowa go zasmuciły.

- Prawdę mówiąc, w Stanach widywałem gorszerzeczy - powiedział ponuro.

- Robiłem rezydenturę w klinice w Waszyngtonie.

Któregoś dnia przywieźli nam siedem osób z ranami od maczety. Jakiś facet na przystanku dostał szalu i zaczął atakować przypadkowych przechodniów.

Innym razem przywieźli mężczyznę, który stracił przytomność z powodu rany kłutej serca.

Otworzyłem mu klatkę piersiową i zrobiłem bezpośrednią defibrylację, a pielęgniarka w tym czasie próbowała założyć dren.

Krew tryskała na wszystkie strony.

Nagle, w środkowej części akcji, facet się budzi.

I teraz tak: ja stoję jego sercem nad łoni, dosłownie, a on na mnie patrzy i zastanawia się, co jest grane.

Mówię ci, przy tym, co widziałem w Ameryce, dżungla wydaje mi się czasami całkiem cywilizowanym miejscem.

W comedor zgasło światło i Paul zerknął na fosforyzujące wskazówki swojego zegarka.

- I tym optymistycznym akcentem zakończę i pozwolę ci się wreszcie położyć.

Masz wszystko, co trzeba?

- Tak, tak.

Dziękuję za dzisiejszy wieczór.

234

- Nie ma za co.

- Nachylił się i pocałował ją.

- Do zobaczenia rano.

- Co mamy w planach?

- Wybierzemy się na wycieczkę przyrodniczą.

Obiecuję, że zobaczysz pająki.

- Dzięki.

Paul zeskoczył z ganku.

Christine patrzyła, jak znikaw ciemności, a potem weszła do domku, wślizgnęła się pod moskitierę i ułożyła do snu.

ROZDZIAŁ Dwudziesty czwarty:

Dżungla pochłania wszystko, co się w niej znajdzie.

Drewno gnije, gleba się rozpuszcza i wszystko rozpływa się w nieprzerwanym cyklu życia i śmierci.

Znaleźć się w dżungli to znaczy stać się jej częścią.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Naleśniki Rosany nie rzucały może na kolana, ale niktnienarzekał.

Było to w zasadzie ich pierwsze normalne śniadanie od przyjazdu do Peru.

Christine siedziała przystole razem z Masonem i Joan i opowiadała o wrażeniach z nocnej wyprawy.

Paul zjawił się w comedor ubrany w firmowy T-shirt.

Nagłowie siedziała mu Maruha, a jej długie łapki wyglądały jak futrzana czapka.

Podszedł do stolika.

Cała trójka podniosła głowy.

- Dzień dobry

- Dzień dobry - odpowiedział Paul i usiadł.

- Nie wiem, czy wiesz, ale na twojej głowie siedzi małpa - powiedziała Joan.

- Wiem.

A czy ty wiesz, że mieszkasz w jednym pokoju z łowczynią krokodyli?

- Spojrzał na nią, krojąc naleśnik.

- Dzisiaj popłyniemy we trójkę.

- Chyba żartujesz.

A poza polowaniem na krokodyla, jakie mamy plany na dzisiaj?

- Po śniadaniu pójdziemy na wycieczkę i zapoznamy się z miejscową florą.

Przez całe lato Gilberto i Leonidas wycinają w tym celu specjalną ścieżkę w dżungli.

- O której ruszamy?

- spytała Christine.

- Zaraz po śniadaniu.

- Paul wsunął kęs do ust.

- Mamy coś zabrać sobą?

- spytał Mason.

- Środek przeciw owadom, krem z filtrem i aparat fotograficzny

Pół godziny później wszyscy zebrali się na przystani.

Była piękna pogoda i po raz pierwszy mieli okazję zobaczyć

237.

wyraźnie całe jezioro i przeciwległy brzeg.

Podzielili się nadwie grupy Wsielido łódek i popłynęli w miejsce, gdzie tafla jeziora skręcała na południe.

- Jakież pół roku po tym, jak kupili tę ziemię pod budowę ośrodka - powiedział Paul, gdy oddalili się od przystani - odkryli, że w jeziorze żyją wydry morskie. To zagrożony gatunek, więc w tej chwili ten teren stanowi rezerwat objęty ochroną rządu.

- Widziałeś je kiedyś?

- spytała Christine.

- Odkąd tu przyjeżdżam, wiele razy, ale przeważnie z daleka.

Chociaż raz podплыnęły do łódki.

Są bardzo ciekawskie.

- Jak one tu żyją wśród tych wszystkich krokodyli i piranii?

- spytał Mason.

- Wbrew pozorom to twarde stworzenia.

Tu byłcy nazywają je los lobos, czyli wilki.

Poruszają się stadami i w zasadzie wszystko, co pływa w jeziorze, się ich boi.

- Mam nadzieję, że udasię nam je zobaczyć - powiedziała Christine.

Po półgodzinie pierwsza łódka dobiła do brzegu, wpływając w niewielki przesmyk w zaroślach.

Obok niej ustawiła się druga.

Wszyscy kolejno zeszli na ląd, oprócz Gilberta i Jaime.

Obaj mieli przepłynąć na drugi brzeg i tam czekać na grupę.

Kiedy uczestnicy wycieczki zanurzyli się w dżungli, usłyszeli narastający odgłos przypominający ćwierkanie ptaków.

- Ciekawe, co to za ptaki - powiedziała do siebie Christine.

- Nie ptaki, małpy - odezwał się Leonidas, co ją zaskoczyło, ponieważ nie sądziła, że Peruwiańczyk zna angielski.

- Chodźcie za mną.

Zaprowadził ich kilkanaście metrów w głąb dżungli, namalował polanę.

Wszędzie roiło się od małp.

W najwyższych partiach drzew widać było sylwetki większych osobników, które na okomiałły nawet półtora metra wysokości.

Paul wskazał palcem do góry

238

- To wyjce, one są dosyć duże.

Te mniejsze małpki to rezusy i kapucynki, a najmniejsze nazywają się tamaryny

Mniejsze małpki zeszły niżej, żeby przyjrzeć się przybyszom.

Zwieszały się z gałęzi i huśtały na pnączach, jak gdyby chciały się popisać swymi akrobatycznymi umiejętnościami.

Kilka z nich zbliżyło się do Christine na wyciągnięcie ręki.

Na gałęzi obok przysiadła mała tamarynka wielkości dłoni.

Poruszała się szybko i zwinnie.

- Jaka śliczna - zachwyciła się Christine.

Podeszła do małpki.

- Dam jej coś do jedzenia.

-Z kieszonki na piersiach wyjęła balonik muesli, odłamała kawałek i wystawiła nadłoni.

Tamaryna go porwała i uciekła nadrzewo.

Christine odłamała następny kawałek i chciała poczęstować większą małpkę, czarną kapucynkę.

Ta jednak, zamiast wziąć go z ręki, skoczyła Christine na ramię.

- Paul!

- krzyknęła Christine.

Małpka sięgnęła do jej kieszeni, chwyciła cały balonik jednym susem przeskoczyła z powrotem na pobliską gałąź.

Paul się roześmiał, a Christine złapała się za serce.

- Ale się wystraszyłam.

Kapucynka przytrzymała balonik tylnymi łapkami i oderwała papierek w taki sposób, jak się zdejmuje skórkę z banana.

Natychmiast doskoczyły do niej dwa inne osobniki i podniósł się wrzask.

Wtedy małpka schowała balonik pod pachę i czmychnęła między drzewa, ścigana przez dwie pozostałe.

- Koniec pokazu - oznajmił Leonidas, popisując się swoją angielszczyzną.

- Iść dalej.

W przeciwnieństwie do trasy, którą musieli przemierzyć w drodze do jeziora, była sucha i w miarę niedawno wycięta.

Wszyscy uważnie podążali za Leonidasem, który prowadził kolumnę.

Gdzieś napotykała pajęczę sieci z nic grubości żyłki wędkarskiej.

W jednym z takich miejsc Paul położył Christine dłoń na ramieniu, chcąc jej pomóc ominąć

239.

pajęczynę.

Kiedy zdjął rękę, ślady palców nadal były widoczne na mokrej koszulce.

Spojrzał z niepokojem na Christine.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, tylko trochę się zadyszałam.

- Jesteś strasznie spocona.

- No pewnie, w taki upał.

Stometrów dalej dotarli do dziwacznie wyglądającego drzewa, którego korzenie wyrastały z pnia metr nad ziemią.

- To jest tak zwana wędrująca palma - wyjaśnił Paul.

- Wyobraźcie sobie: potrafi się poruszać.

- Jakim cudem?

- spytał ktoś.

- Gdy w glebie zaczyna brakować składników odżywczych, drzewo wypuszcza z jednej strony nowe korzenie, a stare odrzuca.

Nie dzieje się to szybko, ale palma rzeczywiście się przemieszcza.

- Istny Park Jurajski - skomentował Mason.

Powędrowali dalej.

Co jakiś czas zatrzymywali się i przyglądali śladom zwierząt, które przeszły ścieżką.

Następnie Leonidas zboczył trochę z trasy, żeby im pokazać ciekawe drzewo o cienkim pniu pokrytym białą korą.

Wyglądało jak samotna brzoza, którą ktoś tu posadził przez pomyłkę.

- To drzewo nazywa się tangarana - powiedział Paul.

- Zwróćcie uwagę, że wokół niego nie rośnie.

Wszyscy się przyjrżeli i rzeczywiście: w promieniu metra nie było widać żadnych śladów życia.

- Dziwne - powiedziała Christine.

- Las otras plantas le tienen miedo - wyjaśnił Leonidas.

- Inne rośliny się go boją - przetłumaczył Paul.

- Jak to: boją?

- Owszem, z dwóch powodów.

Po pierwsze, tangarana wydziela kwas niebezpieczny dla innych roślin.

A drugim powodem są mrówki, które ją zamieszkują: mrówki tangarana.

- Paul postukał w drzewo ręką i maczeta z podstawy pnia wysypała się armia czerwonych i czarnych mrówek i zaczęła maszerować do góry

240

- One chronią to drzewo.

Ugryzienie takiej mrówki boli siedem razy bardziej niż ugryzienie osy

Młody chłopak, który opierał się o drzewo, natychmiast skoczył.

- Potrafią też skakać.

Odsunął się jeszcze dalej.

- A ciebie kiedyś ugryzła taka mrówka?

- spytała Joan.

- Mnie nie, ale Gilberta.

Mówił, że to było przeżycie inolydable, czyli "niezapomniane".

Z tym drzewem wiąże się ciekawa historia.

Opowiadano mi, że dawniej, kiedy jakąś kobietę przyłapano na cudzołóstwie, członkowie plemienia przywiązywali ją do pnia i oddawali mrówkom na pożarcie.

- Potworne - skrzywiła się Christine.

- A co robił z kochankiem?

- zapytała gniewnie Joan.

- O tym nie wspominali - odparł Paul.

Wróciłina ścieżkę.

- Czemu wszystko tutaj gryzie, żądli albo chce cię pożreć?

- spytała Christine.

- Nie wszystko.

Są także rzeczy, które leczą.

Naprzykład - podszedł do drzewa oplecionego kłębowiskiem lian- to pnącze jest odtrutką na jad żmii guajawa.

Ta żmija to jeden z niewielu gatunków, który nie jest jaskrawo ubarwiony, więc trudno ją zauważyć.

Niestety, mało, że jest agresywna, to jej jad jest wyjątkowo toksyczny.

Jeżeli cię ukąsi, już nie wyjdiesz z dżungli żywa.

W zeszłym roku taka żmija zaatakowała Leonidasa.

Znalazł te pnącza i zaczął je żuć.

Potem naciął trochę na zapas i zabrał do ośrodka.

Zaparzył z nich wywar i wypił.

Jak widzisz, żyje.

Wszystkie złe rzeczy w przyrodzie mają swoje przeciwieństwa.

Rośnie tu na przykład drzewo, które pomaga na kłopoty z nerkami.

Jest też ponad dwieście gatunków roślin o udowodnionym działaniu przeciwnowotworowym.

Ruszyli dalej i w pewnym momencie Paul zerknął na Christine.

- Na pewno dojrzesz się czujesz?

241.

- Nie bardzo.

-A coci jest?

- Czuję się jakaś rozbita.

Jakby mnie brała grypa.

Paul przyłożył rękę do jej czoła.

- Jesteś trochę rozpalona.

No, alew sumie jest upał.

- Tona pewno jakaś błahostka - powiedziała Christine.

Kilka minut później siedzieli już w czółnach i wracali do Makisapa Lodge.

ROZDZIAŁ Dwudziesty piąty:

Christine zachorowała.

Uznałem, że lepiej będzie, jeśli wyłącze emocje i postaram się w miarę możliwości podejść do tego z dystansem, ponieważ paniczny strach, który odczuwam, w niczym nikomu nie pomoże.

Z PAMIĘTNIKA PAULACOOKA

Na lunch podano sałatkę z owoców, których Amerykanie nigdy wcześniej nie widzieli na oczy, oraz rybne risotto przygotowane z piranii, którą Marcos złowił rano.

Powycieczce Paul wrócił do bungalowu, żeby się chwilę zdrzemnąć, a potem zjawił się na lunchu w comedor.

Większość osób już zjadła i młodsza część grupy rozłożyła na stole planszę do gry w Monopol.

Nigdzie nie było widać Joanani Christine.

- Cześć, Paul - przywitał się jeden z chłopców.

- Graszz nami?

- A już zaczęliście?

- Właśnie zaczynamy

- Dobrze.

Ja gram pieskiem.

- Już zajęty - powiedziała któraś dziewcząt.

- Możesz wziętaćzkę.

- Niech będzie.

Tylko skoczę po jedzenie.

Rosana nałożyła mu na talerz dwie kopiaiste chochle ryżu i Paul dołączył do reszty

Właśnie przeskoczył pole szansy, kiedy w comedor zjawiła się Joan.

Podeszła prosto do niego.

- Paul, z Christine nie jest najlepiej.

Podniósł wzrok znad planszy.

- Co siedzieje?

- Chyba ma gorączkę.

Jęczy i wygaduje dziwne rzeczy.

Paul wstał.

" W amerykańskich edycjach Monopolu pionkami są miniaturowe figurki, np. :psa, jeźdźca na koniu, okrętu, worka z pieniędzmi [przyp.

tłum.

].

244

- Wybaczcie, kocham, ale muszę przerwać grę.

W drodze do bungalowu Paul spytał Joan:

- Podawałaś jej coś?

- Dałam jej tabletkę tylenolu i położyłam mokry ręcznik na czoło.

W pokoju Christine leżała nawznak, przykryta moskitierą.

Była blada, a na twarzy perlily jej się krople potu.

Paul przysiadł na brzegu łóżka.

- Cześć, co ci jest?

- Paul, ja nie chcę nigdzie iść.

- Mówiłaś powoli i niewyraźnie.

- Gdzie nie chcesz iść?

- Nie chcę już oglądać krokodyli.

Ja się ich boję.

- Nie musisz.

Odetchnęła głęboko i z wysiłkiem.

- Joan mówi, że nie czujesz się najlepiej.

- Paul odsunął moskitierę i zawiązał u góry. Potem zdjął Christine ręcznik z czoła i przyłożył dłoń.

- Jesteś cała rozpalona.

- Czuję się.

jakbym się spiekła na słońcu.

Paul spojrział na Joan.

- Idź do mojego pokoju; mieszkam w Yampiro, to drugi domek po drugiej stronie comedor.

Obok różowa leży fioletowa plastikowa torba; zauważysz ją od razu.

Przyniesij mi ją, proszę.

- Już lecę.

Paul nachylił się nad Christine i delikatnie odgarnął jej włosy z czoła.

- Masz jakieś inne objawy?

Zawahała się.

- Czuję się.

dziwnie.

- Możesz to opisać dokładniej?

- Jakbym była pijana.

Wszystko mi pływa przed oczami.

- Zauważyłaś jakąś wysypkę?

Chwila ciszy.

- Nie wiem - wyszeptała i głowa jej opadła na bok.

245.

Tymczasem wróciła Jóan, zadyszana po przebiegnięciu całego ośrodka, i podała Paulowi torbę.

Postawił ją na ziemi, otworzył i wyjął termometr.

- Chris, zmierzę ci teraz temperaturę.

Musisz troszeczkę otworzyć buzię, dobrze?

Christine delikatnie rozchyliła usta, a Paul wsunął jej termometr pod język.

Joan przyglądała się temu z niepokojem.

Paul sprawdzał czas na zegarku i po dwóch minutach wyjął termometr i zbliżył do okna.

Zmarszczył brwi.

- Kiedy zażyła ten tylenol?

-Z pół godziny temu.

- Ona ma prawie czterdzieści stopni.

- Schował termometr do futerału i zwrócił się do Christine:

- Chris, bolą cię stawy?

-Oczy mnie bolą.

- Jej głos był coraz słabszy.

- A stawy nie?

Łokcie, ramiona, kolana.

- Nie wiem.

Przechwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- Masz jakieś ślady pokomarach?

-Ma - wtrąciła Joan.

- Nawet wczoraj wieczorem o tym rozmawialiśmy.

- A kiedy ja pogryzły?

-Jeszcze w Puerto Maldonado.

- Chris, naco się szczepiłaś przed wyjazdem?

Christine z trudem wydobywała z siebie słowa.

- Teżec.

i żółtaczkę.

- A na malarię albo żółtą febrę?

-Mówili, że nie trzeba.

Paul westchnął przeciągle.

- Powinni z tym wreszcie skończyć.

Joan przygryzła wargi.

Paul wstał, cały czas trzymając dłoń na ramieniu Christine.

- Zaraz wracam.

Wyszedłna zewnątrz i kiwnął na Joan, żeby do niego podeszła.

Wyglądała na bardzo przejętą.

246

- Co jej jest?

- zapytała.

- Nie da się stwierdzić na sto procent, ale jestem niemal pewien, że to albo malaria, albo żółta febra, albo gorączka dengi.

Podejrzewam to ostatnie.

- A co to takiego?

- Jeszcze jedna z chorób przenoszonych przez komary. Niedawno mieliśmy tu małą epidemię.

- Można od tego umrzeć?

- Zdarzają się, ale to raczej bardziej woleto niż malarię czy febrę.

Joan załamała rękę.

- Nie powinniśmy jej zawieźć do szpitala?

- Jest za słaba na podróż, a poza tym żaden szpital w promieniu tysiąca kilometrów nie zdoła więcej niż ja mogąc zrobić tu, na miejscu.

- Kiedy będziemy mieć pewność, co jej jest?

- W ciągu najbliższej doby, dwóch.

Jeżeli zacznie się skarżyć na bóle stawów, będzie wiadomo, że to denga.

Cokolwiek to jest, przez najbliższy tydzień na pewno nie wstanie z łóżka.

- Ale przecież jutro mieliśmy wyjeżdżać.

H - Ona zostanie.

Kiedy ostatnio coś jadła albo piła?

MJ, - Nie wiem.

Odrana chyba nic.

H - Niemożemy dopuścić do odwodnienia organizmu.

Skocz do comedora i przynieś parę butelek wody. Znasz Jaime?

i. - To ten niski człowieczek z sierocińca?

I' - Tak.

Odszukaj go i powiedz, że muszę z nim porozmawiać.

- Ale ja nie znam hiszpańskiego.

- Po prostu powiedz moje imię; on już będzie wiedział, i co chodzi.

- Lecę - powiedziała i pobiegła.

Paul wrócił do domku.

Wyjął z torby pudełeczko wazeliny, nabrał odrobinę na palec i posmarował Christine spierzchnięte wargi.

247.

- Nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

Po pięciu minutach wróciła Joana z wodą i zaniepokojonym Jaime.

- Jaime, Christine está muy enferma.

No puedo salir de la jungla con el grupo.

Tu tendrás que llevarlos sin mí.

Jaime pokiwał głową.

- Necesitas llamar a la madre de Christine.

Ellos necesitan llamar a la madre de Christine.

Diganle que no se preocupe.

Después regresa a El Girasol y mira cómo están las cosas.

Gilberto y Marcos llevarán a Puerto.

"

- Si - odparł Jaime i wyszedł.

Paul wziął poduszkę z drugiego łóżka i wsunął Christine pod głowę.

Potem odkręcił butelkę z wodą i przystawił ją delikatnie do ust dziewczyny.

- Christine, musisz dużo pić.

Lekko rozchyliła wargi, a Paul wlewał jej wodę do ust, robiąc przerwy, żeby mogła przełknąć.

Gdy butelka była w połowie pusta, ułożył głowę Christine na poduszce.

- Bardzo ładnie.

- Poszedł zmoczyć ręcznik w zimnej wodzie, potem wycisnął go na podłogę i z powrotem przykrył czoło chorej.

- Paul?

- Słucham.

- Chcę do mamy.

- Co ja bym dała, żeby ona tu była.

Christine przez chwilę nic nie mówiła.

- Czy ja umrę?

- Nie, ale jesteś bardzo chora.

ROZDZIAŁ Dwudziesty szósty:

Uchyliły się jakieś drzwi w duszy Christine.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Christine jest bardzo chora.

Nie będzie w stanie jutro wyjechać razem z innymi.

Musisz ich wyprowadzić beze mnie.

Trzeba zadzwonić do Jima i powiedzieć mu, co się stało.

Niech zawiadomi matkę Christine i powiedzą, żeby się nie martwiła.

Potem wróć do El Girasol i miej oko na wszystko.

Gilberto i Marcos pojedą z tobą do Puerto.

- Co mi jest?
 - Jeszcze dokładnie nie wiem.
 - Proszę, nie opuszczaj mnie.
 - Jestem przy tobie.
 - Mężczyźni zawsze odchodzą.
- Po policzku spłynęła jej łza.
- Boję się.
 - Ja nie odejdę - powiedział Paul i palcem otarł łzę.

Potemnachylił się i pocałował Christine wczoło.

- Przysięgam.

Dżungla tonęła w całkowitej ciemności, tylko miejscami światło księżycy przebijało się przez sklepienie drzewi połyskiwało na wilgotnej powierzchni liści. Można byłoodnieść wrażenie, że tuż zaotwartym terenemośrodka siedzą ukryci w gęstwinie widzowie, którzy wszystko bacznieobserwują, niczym publiczność w teatrze po wygaszeniuświatał.

Było wpół do czwartej rano, kiedy cała grupa, słaniając się nanogach, dowlokła się do comedora.

Rzucili bagaże w kąti rozsiedli się na ziemi.

Młodzi spali oparci osiebie, a reszta, ziewając, pomstowała na tych, którzy wymyślili, żeby ichzrywać z łózek o tak niehumanitarnej porze.

Nie było innego wyjścia, jeśli mieli zdążyć opuścić dżunglę dotrzeć do

PuertoMaldonado, zanim odleci ich samolot.

Paul spędził tę noc przy Christine, a Joan w tym czasieprzeniosła się dojego domku, żeby rano spokojnie się ubrać i spakować, nie budząc chorej.

Gdy grupa była już w komplecie, Jaime przyszedł obudzić Paula.

Tenwstał, włożył ubranie z poprzedniego dnia, wsunął nogi w sandały i ruszył do comedora.

Wchodząc, spojrzął po wszystkich i stwierdził, że wygląda jak kadr z filmu Świt żywych trupów.

- Wiem, że jesteście zmęczeni, ale jak tylko wypłyniecie na rzekę, będziecie mogli się zdrzemnąć.

Ja z wami nie wracam.

Christine jest za bardzo chora, żeby podróżować, więc zostanę i zaopiekuję się nią. Zostawiam was w dobrych rękach.

Jaime, Gilberto i Marcos przeprowadzą was z powrotem przez dżunglę.

Jeszcze raz dziękuję za wszystko, co zro251.

biliście dla tych ludzi.

Mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy Przyjemnej podróży

Po tych słowach wszyscy wstali z podłogi.

Paul uściśnięła parę dłoni, po czym grupa pozbierała torby i plecaki i ruszyła za Jaime w stronę przystani.

Paul ich odprowadził i patrzył, jak odpływają, a potem samotnie wrócił do bungalowu.

Przyłożył Christine dłoń do czoła.

Było rozpalone, alenienie na tyle, żeby budzić szczególny niepokój, więc wślizgnął się pod moskitierę na sąsiednim łóżku i zasnął.

Dwie godziny później obudziło go marmotanie Christine.

Słońce ledwo zaczynało rozpraszać ciemność, Paul dostrzegł, jak Christine wierci się nerwowo pod moskitierą i obraca głowę z boku na bok.

- Muszę zadzwonić - odezwała się.

- Muszę koniecznie do nich zadzwonić.

Paul wstał z łóżka i podszedł do niej.

- Dokogo, Christine?

Do kogo musisz zadzwonić?

- Do firmy cateringowej.

- Nie trzeba; już wszystko załatwione - uspokajał ją.

- Nie jest załatwione - zaprotestowała.

- Może zabraknąć eklerów.

- To jado nich zadzwonię.

- A to dobrze, dobrze; zadzwoń.

- Uspokoiła się i jej oddech zwolnił.

Kilka minut później odezwała się znowu: - Martin?

Paul wziął ją za rękę.

- Martin, czyże mną jest coś nie tak?

Pogłaskała ją po twarzy.

- Skądże, Christine.

- Dlaczego mnie nie chcesz?

- Zaczęła cichutko popłakiwać, choć oczy miała zamknięte, spod powiek wypłynęły łzy i potoczyły się na poduszkę.

- Dokąd idziesz, tatusiu?

Kiedy wrócisz?

Dlaczego mnie nie kochasz?

Paul wziął ją za rękę, a Christine uchwyciła się go tak mocno, jak gdyby bała się, że spadnie.

W końcu trochę się

252

uspokoiła, zaczęła coś niewyraźnie marmotać i znowu zapadła w sen.

Ostatnie słowa, które Paul zdołał zrozumieć, brzmiały: "Nie zostawiaj mnie".

ROZDZIAŁ Dwudziesty siódmy:

Z każdą chwilą, którą z nią spędzałem, stawała się bliższamemu sercu.

Ona się boi, że ją zostawię.

Skąd mawiedzieć,żenie potrafię znieśćmyśli o życiu bez niej?

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Drugiego dnia późnym popołudniem nadeszła burza.

Podwarstwą wzbierających chmur małpie wrzaski stały się jeszcze głośniejsze, a dżunglę okrył cień.

Deszcz bębnił o dach,woda ściekała zesłomianych okapów na rudą ziemię, pędzącsetkami wąskichstrużek ku jezioru.

W dżungli takjuż jest -wszelka woda dąży do spotkania z jeszcze większą.

Paul ani na chwilę nieodstępował Christine.

Obserwował, jak zbliża się burza i cieszył się, że grupa zdążyła wyjechać.

Zapalił w pokoju świeczkę.

Generatorwyłączono, bynie ryzykować wyczerpaniasięzapasów gazu.

Paul postawił przy łóżku krzesło i co cztery godziny mierzył Christine temperaturę.

Cały czas oscylowała wokół 39 C,rosnąc chwilami, kiedy lekprzeciwgorączkowe przestawały działać.

Paulmiał już kiedyś do czynienia z dengą.

Kilkalatwcześniej, w trakcie ekspedycji humanitarnej do dżungli,przywiezionomu zarażone tą chorobą dziecko oraz starszegomężczyznę.

Dziecko przeżyło, mężczyzna nie.

Chociaż Paul martwił się stanem Christine, starał sięnieodpuszczać do głosu swego strachu.

Złe bysię stało, gdybydziewczyna widziała, że onsię boi.

Rosana donosiła im z kuchni jedzenie i porcje lodu z zamrażalnika.

Parzyła też mocnąherbatę zkory drzewachinowego.

Christine niewiele jadła,ale Paul zmuszał ją do picia,żeby się nieodwodniła.

Tego bałsię najbardziej.

Gdy zapadłzmrok, wypowiedziała jego imię.

Po raz pierwszy od wielugodzinmówiła z sensem.

- Kiedyzaczęło padać?

- spytała.

255.

- Parę godzin temu.

Nadal cię bolą oczy?

Lekko skinęła głową

-1 plecy.

Mam wrażenie, że ktoś mi się wwierca w kości.

Paul odetchnął.

To potwierdzało jego przypuszczenia, że Christine zapadła na gorączkę denga.

W przypadku tej choroby śmiertelność jest dużo niższa niż przy żółtej febrze czy malarii.

- To tylko gorączka.

Wkrótce ci przejdzie.

- Strasznie boli.

Pogłaskał ją delikatnie po ramieniu.

- Wiem, ale to minie.

Dopiero nazajutrz wieczorem Christine w pełni zdała sobie sprawę, że wszyscy pozostali uczestnicy wyprawy wyjechali z dżungli.

Spytała o Jessicę.

- Jest w Cuzco - przypomniał jej Paul.

- Kiedy wyjechała?

- Nie było jej tutaj, została z Jimem.

- Spojrzał na nią z współczuciem.

- Nie pamiętasz?

- ...

kiedy spadł z góry - przypomniała sobie.

Miała wrażenie, jakby to było dawno.

Głęboko wciągnęła powietrze.

- Joan też nie ma?

- Wyjechał dwa dni temu razem z wszystkimi.

- Kto jeszcze został?

- Tylko ja - powiedział Paul.

- I Rosana z Leonidasem.

- Moja mama będzie się niepokoić.

- Jessica doniej zadzwoni.

- Zamartwi się na śmierć - Znowu zamknęła oczy.

Pokolejnych kilku minutach spytała: - Kiedy będę mogła wrócić do domu?

- Jak odzyskasz siły na tyle, żeby znieść podróż.

Musimy poczekać, aż spadnie gorączka.

- Ty też wyjedziesz?

- Bez ciebie nie.

256

- Obiecujesz?

- Nie zostawię cię, Christine.

Obiecuję.

Mocno ścisnęła mu dłoń i znowu zamknęła oczy.

Deszcz lał przez całą noc i cały następny dzień.
Stan Christine się ustabilizował, choć kilka razy temperaturę przekraczała czterdzieści stopni.

Wtedy Paul okładał jej czoło mokrym ręcznikiem, dopóki gorączka nie spadła.

Piątego dnia choroby Christine deszcz wreszcie ustał.

Gilberto i Marcos przyprowadzili czółna i zameldowali, że grupa wyleciała z Puerto.

Paul jadł i spał w pokoju Christine, czytając książki, które Rosana w dużej liczbie przynosiła mu z comedor.

W szóstej dobie choroby w środku nocy nastąpiło przesilenie.

Christine szczykała zębami i jęczała tak głośno, że Paul się obudził.

Wstał z łóżka, podszedł do niej i przyłożył dłoń do jej czoła.

Było całe mokre, włosy u nasady także były wilgotne.

Koszulka, którą Christine miała na sobie, całkowicie przesiąkła potem.

Paul przyniósł z łazienki ręcznik, ostrożnie otarł twarz czoło Christine, a potem ściągnął jej koszulkę przez głowę i zaczął delikatnie wycierać całe ciało, które w zetknięciu z chłodnym powietrzem pokryło się gęsią skórką.

Kiedy skończył, nałożył dziewczynie swój T-shirt i przykrył ją kocem.

Później usiadł przy łóżku.

Księżyc wyrżał pomiędzy chmurami i oświetlił pokój, rzucając jasną poświatę na twarz Christine.

Paul pamiętał, jak na studiach uczono go, że lekarz nie powinien wiązać się emocjonalnie z pacjentem.

W tym wypadku zawiódł na całej linii.

Czuwał przy Christine prawie od tygodnia i im dłużej z nią przebywał, tym bardziej stawała się mu bliska.

Patrzył teraz na nią, jakby była Julią spoczywającą na marach.

j - Nie masz pojęcia, jaka jesteś piękna - wyszeptał - anico się teraz dzieje w moim sercu.

Leżała bez ruchu, a Paul pochylił się i pocałował ją delikatnie w usta.
Ona tylko lekko obróciła do niego twarz i westchnęła.
Położył obok niej głowę zasnął z wyczerpania.

ROZDZIAŁ Dwudziesty ósmy:
Śpiąca królewna się obudziła.
Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Przez wschodnie okno wdarł się ostry promień słońca i spoczął na łóżku Christine. Uniosła rękę, żeby zasłonić twarz, zamrugała powiekami i otworzyła oczy. W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest, ale widok starannie splecionych liści palm nad głową przywiódł ją do rzeczywistości.

Paul jeszcze spał.

Leżał na łóżku z głową wtuloną w jej biodro.

Był nieogolony i miał sińce pod oczami.

Przez cały ten czas nie odstępował jej ani na chwilę.

Christine czuła się jakby z mrocznej otchłani sennego koszmaru wyszła na światło dzienne, a obok niej leżał mężczyzna, który ją stamtąd wydobłą.

Pociągał ją od chwili, gdy go poznała, ale teraz czuła się wręcz przytłoczona siłą własnych uczuć.

Bliskość jego ciała sprawiała jej przyjemność, ale Christine pragnęła czegoś więcej - chciała go poczuć całego przy sobie.

Powoli wysunęła rękę i delikatnie przeczesała palcami kosmyki jego włosów. Potem dotknęła szorstkiej od zarostu twarzy.

Paul cicho zamruczał, uniósł głowę i spojrzał na nią.

- Cześć - powiedział.

Zauważył, że w oczach Christine pojawił się dawny blask.

- Ale mi napędziłaś strachu.

- Przepraszam.

Dotknął jej czoła.

- Jak się czujesz?

- Lepiej.

- Słodka, intensywna woń drewna mieszała się z zapachem jej ciała.

- Jaki dziś dzień?

- Czwartek.

- Od ilu dni tak leżę?

- Od siedmiu.

- Siedmiu - powtórzyła, jak gdyby musiała to usłyszeć z własnych ust.

- Już po wszystkim?

- W zasadzie tak.

Kryzys minął około trzeciej nad ranem, ale upłynęło jeszcze trochę czasu, zanim całkiem dojdzie do siebie.

Christine spojrzała na T-shirt, który miała na sobie.

Przypomniała sobie jak przez mgłę, że Paul ją rozbierał, ale wcale nie czuła się skropowana, lecz tylko wdzięczna, że ktoś się nią troszczy.

- Gdzie moje rzeczy?

- Tam leżą.

Były całe mokre.

Rzuciła okiem na stertę ubrań i ręczników, a potem spojrzała na Paula.

Wzięła go za rękę.

- Cały czas byłeś tu ze mną, prawda?

- Tak.

Jeszcze mocniej ścisnęła mu dłoń i przytuliła dopoliczka.
- Nie zostawiłeś mnie.
260.

ROZDZIAŁ Dwudziesty dziewiąty:

Wszyscy nosimy w głowie obraz tego, jak powinny wyglądać nasze życie, namalowany pędzlem naszych pragnień i celów.

Tymczasem w ostatecznym rozrachunku okazuje się, że on nigdy nie wygląda tak, jak sobiewyobrażaliśmy.

W tym tkwi najgłębsza tajemnicachłowieczeństwa.

Choć wolimy w to nie wierzyć, życie w znacznej części jest tylko reakcją na okoliczności.

Z PAMIĘTNIKAPAULACOOKA

Pod wieczór Christine czuła się już na tyle silna, że by samodzielnie wstać.

Rosana przyniosła im chleb i zupę.

Uśmiechnęła się, widząc Christine siedzącą na łóżku.

- La señorita esta mejor ahora.

,

- Si- odparł Paul.

- Mucho mejor.

"

Cieszyło go, że chorej wrócił apetyt.

Zjedli wspólnie kolację, a potem Rosana przyniosła świeże ręczniki.

Paul wyszedł, żeby Christine mogła się wykapać.

Wzięła prysznic, umyła włosy, a potem posypała skórę talkiem.

Przyjemnie było poczuć się znów jak człowiek albo lepiej - jak kobieta.

Zapięła pasek w szortach i zdała sobie sprawę, że schudła jeszcze bardziej.

Paul wziął z comedora talię kart, a ze swojego pokoju dwie paczki ciastek i wrócił z tym wszystkim do domku Christine.

Siedziała na posłanym łóżku.

Z zaciekawieniem przyglądała się pudełkom, które trzymał w ręku.

- Masz ciastka?

Paul położył pudełka na łóżku i pomachał kartami.

- Prawdziwe amerykańskie.

Przyniosłem też karty. Zagramy?

- Pewnie.

A w co?

- Nauczę cię gry, która się nazywa Texas Hold'em.

- Poker?

- Tak.

- Super.

O co gramy?

' Panienska czuje się już lepiej.

Znacznie lepiej.

263.

Rozbawił go ten nagły entuzjazm.

- Nie tak szybko; najpierw musisz poznać zasady

- Tchórzysz?

- A o co chcesz grać?

- Copowiesz na moje ciastka?

- Moje ciastka?

- No wiesz, skoro i tak są twoje, to nie będziesz miał takich wyrzutów sumienia, że mi je zabierasz.

- Słuszna uwaga.

Paul rozpakował ciastka.

- Markizy będą warte jeden, a imbirowe pięć.

Zanim zapadła noc, Christine wygrała od Paula ostatnie ciastko.

- A więc jesteś szulerką - powiedział.

- Jeszczewielu rzeczy o mnie nie wiesz.

Przyznaję, trochę mniej niż tydzień temu, ale wciąż skrywam parę tajemnic.

- Wzięła do ręki markizę, przełamała ją i połowę podała Paulowi.

- Masz ochotę na moje ciasteczko?

- Tak.

- To cię będzie kosztowało.

- Ile?

Posłałam kokieterijne spojrzenie.

- To jest bardzo pyszne ciasteczko i wątpię, żebyś znalazł takie drugie w tej dziczy

- Co za nie chcesz?

- Randkę.

- A gdzie ja miałbym cię na tę randkę zabrać?

- Na przykład na przejażdżkę łodzią.

Spojrzał na nią zaskoczony

- Chcesz jeszcze raz wypłynąć na jezioro?

- Tym razem tylko z tobą.

Zastanowił się przez moment.

- A czujesz się na siłach?

- Nie mogę wytrzymać w tym pokoju; muszę się gdzieś wyrwać.

- Uniosła ciastko w górę.

- Nie chcesz?

264

- Chodźmy

Podniósł latarkę spodłogi, wziął dziewczynę za rękę i wyszli na zewnątrz.

Christine była słabsza niż sądziła i pokonanie krótkiego odcinka do nabrzeżnej skarpy zupełnie pozbawiło ją tchu.

Spojrzała na strome, nierówne stopnie i zasepiła się.

- Chyba nie dam rady

Paul zszedł niżej i stanął na niewielkim występie.

- Obejmij mnie za szyję.

-Masz zamiar mnieprzenieść na rękach?

- Tak, proszę pani.

-Jestem cięższa niż myślisz.

- Wieleraży przeszedłem Szlak Inków z plecakiem, który ważył więcej od ciebie.

Ale za to poniesiesz latarkę.

- Dobra.

To mogę zrobić.

Wzięła od niego latarkę i objęła go za szyję, opierając mu głowę naramieniu.

Paul chwycił ją pod kolana, podniósł ostrożnie zaczął schodzić.

Christine w tym czasie świeciła mu pod nogi.

Gdy dotarł na dół, postawił ją z powrotem na ziemi.

Dyszał z wysiłku.

- Widzisz?

Wbrew pozorom dużo waży.

- Skąd, jesteś lekka jak piórko.

-Zobaczymy jak przyjdzie ci wnieść mnie z powrotem.

Czołna stały przycumowane równolegle do siebie.

Paul podał Christine rękę i pomógł jej przedostać się do tego, które stało od zewnątrz.

Odwiązał linę, wrzucił do środka i usiadł za plecami dziewczyny. Potem podniósł wiosło i zanurzył je w wodzie.

Łódka bezszelestnie odbiła od przystani i wpłynęła na czarne wody jeziora.

Gdy brzeg zniknął z nimi w ciemnościach, jedynym odgłosem, który

słyszeli, był jednostajny szum kołowodnego i rozlegający się od czasu do czasu plusk wiosła.

Tego wieczoru Christine nie czuła lęku przed wodą.

Kiedy dopłynęli mniej więcej do połowy jeziora, Paul wciągnął wiosło do łodzi i odłożył je piórem do tyłu.

Potem

265.

zdjął oparcie z siedzenia Christine i oparł deskę o swoją ławkę.

- Połóż się.

Christine odchyliła się do tyłu, położyła mu głowę nakolanach i spojrzała w górę na bezchmurne, rozgwieżdżone niebo.

Łódka delikatnie kołysała się nawodzie, awilgotny, tropikalny oddech dzungli ogrywał ciało.

- Aż trudno uwierzyć, że niedługo Boże Narodzenie - odezwała się Christine.

- Nawet nie wiem, który dziś jest.

- Piętnasty

- A więc zostało tylko dziesięć dni na zakupy. Jakie masz plany na święta?

- Gdyby nie dzieciaki, dla mnie święta mogłyby nie istnieć.

- Scrooge - powiedziała z wyrzutem.

- Mam swoje powody - Przesunął jej palcami po twarzy, a potem wplótł je we włosy i odgarnął kosmyki do tyłu.

Christine przymknęła oczy, mrużąc z zadowolenia.

- W takim miejscu łatwo uwierzyć, że jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie.

- Bo jesteśmy - Paul nagle przycichł i przez chwilę tylko głaskał ją po głowie.

- Dlaczego postanowiłeś przyjechać do Peru?

Nadal miała zamknięte oczy i Paul przez dłuższy czas przyglądał się jej w milczeniu.

W końcu odpowiedział:

- Z tych samych powodów co ty

- Ciebie też Martin wystawił do wiatru?

Oboje się roześmiali.

- Wariatka z ciebie.

- Najwyraźniej.

Leżę w przeciekającym czółniemna środku jeziora pełnego piranii i krokodyli, i nie zamieniłabym się z nikim innym na świecie.

aluzja do bohatera "Opowieści wigilijnej" K.

Didcensa.

266

Paul przygarnął ją do siebie i przytulił.

Przez momentnie musiał nic mówić.

Po chwili wziął głęboki oddech i zaczął opowiadać:

- Wszystko się zaczęło pewnego Bożego Narodzenia.

Miałem wtedy dyżur na oddziale ratunkowym.

Był straszny ruch, tylko dwóch lekarzy. Ten drugi musiał się zająć ratowaniem kobiety, która dostała ataku serca w czasie porodu.

Przywieźli nam chłopca, który czymś się zadławił.

- Wyjął zza koszuli żołnierzyka.

- Właśnie tym.

Choć Christine widziała już wcześniej zabawkę, teraz rzuciła okiem.

Potem spojrzała na Paula.

Zauważyła, że głosmu się zmienił, ale dopiero widząc jego oczy zrozumiała, jak bardzo wciąż przeżywa to zdarzenie.

Domyśliła się, że właśnie otwiera przednią jakąś część swej duszy, którą niewielu było dane poznać.

- Zaczęłam reanimować tego dzieciaka, ale w tym samym czasie karetka przywiozła faceta z zawałem.

Robiłem wszystko, co mogłem, żeby ich uratować, ale obu straciłem.

- Zaczęłam mówić wolniej.

- Ten chłopiec miał zaledwie pięć lat; mężczyzna czterdzieści kilka.

Zostawił żonę i pięcioro dzieci.

Christine dotknęła twarz Paula.

- Tak mi przykro.

- To był najgorszy dzień w moim życiu.

I na tym się nieskończyło.

Spojrzała na niego pytająco.

- W większości społeczeństw na świecie ludzie akceptują fakt, że złe rzeczy czasem się zdarzają.

Ale w Ameryce, kiedy wydarzy się coś złego, ludziom się wydaje, że ktoś powinien za to zapłacić.

Matka chłopca była przekonana, że to ja zabiłem jej synka.

Ale to nie ja zostawiłem go samego w pokoju, gdzie było pełno drobnych przedmiotów.

Natomiast żona zmarłego mężczyzny uznała, że nie dołożyłem należytych starań, aby uratować jej męża.

Facet miał dwadzieścia kilo nadwagi, nadciśnienie i od sześciu lat nie był u lekarza.

Ale obie obarczyły mnie winą za swoje tragedie i wniosły sprawy do sądu.

267.

- Przeciwno tobie?

- Takie rzeczy zdarzają się na każdym kroku.

W drugim roku mojej rezydentury jakaś kobieta włamała się na oddział ratunkowy i ukradła kilka fiolek morfiny. Dała je swojemu chłopakowi, a ten przedawkował. Kobieta wytoczyła szpitalowi proces i wygrała.

Wygląda na to, że przysięgli zawsze muszą sobie znaleźć kogoś ofiarnego. I zawsze znajdzie się też jakiś pan doktor, który z chęcią weźmie pieniądze, żeby opowiedzieć przed sądem, co też zrobiłeś źle.

A w wielu wypadkach nie ma jednej właściwej drogi postępowania.

Czasami masz tylko kilka sekund na podjęcie decyzji.

Wybierzesz dobrze - jesteś

aniołem; źle - diabłem wcielonym.

A w gruncie rzeczy to tylko loteria.

Wiedziałem, że choćbym byłnie wiem jak dobrym lekarzem, w końcu ino mnie trafi.

Myślałem, że dam sobieradę.

Sprawa powinna być prosta.

Wszystko zrobiłem zgodnie z podręcznikiem.

Dyrekcja szpitala mnie poparła; personel oddziału też stanął po mojej stronie.

Obie sprawy wygrałem.

W tym okresie odwiedziłem mojego znajomego psychiatrę.

Powiedział mi, że statystycznie rzecz biorąc, liczba zgonów wśród lekarzy, którzy mają za sobą takie doświadczenie, jest znacznie wyższa niż wśród więźniów przebywających w celi śmierci.

- Z powodu samobójstw?

- zapytała Christine.

- Nie tylko.

Załamuje się ich układ odpornościowy albo po prostu nie udaje im się w porę zjechać z drogi nadjeżdżającej ciężarówce.

Wola życia, czy też jej brak, to potężna rzecz.

Wcześniej tego samego roku, w Święto Dziękczynienia, zaręczyłem się.

Mieliśmy się pobrać w lipcu.

Ale sytuacja między nami stawała się coraz bardziej napięta.

Zaczął się od tego, że odłożyliśmy decyzję o ślubie w nadziei, że wszystko wróci do normy. Nic z tego.

Próbowałem wrócić do zawo268

iu, ale nie umiałem się odnaleźć; udawałem tylko, że pracuję.

Przestałem ufać swoim instynktom.

Czułem się trochę jak kawodowy hodowca węży: nieważne, jak bardzo jesteś ostrożny, wiesz, że itak pewnego dnia zostaniesz ukąszony.

W końcu nie mogłem już wytrzymać.

Powiedziałem narzeczonej, że rzucam medycynę.

Naiwnie sądziłem, że tonie będzie miało dla niej znaczenia; że miłość pozwoli nam przetrwać trudne chwile.

- Pokręcił głową.
-Niestety Onachciaławyjść za lekarza i wieść życie pani doktorowej.
-Spojrzałw oczy Christine.
- Cóż, to chybaprawda, co mówią, że mężczyzna żenisię zkobietą, a kobieta poślubia jegostatus społeczny

Christine nic nie odpowiedziała.

- Wtedy się już kompletnie załamalem.
Chciałem ze sobąskończyć.

Wiesz, są takie chwile w środku nocy, kiedy człowiek dochodzi do wniosku, że lepiejbyłoby oszaleć.

Wiedziałem, co robić; wystarczyłoby odpowiedni koktajl z leków.

Nic bym nie poczuł: poprostu bym zniknął.

W końcu jednak sięna to niezdobyłem.

Zamiast tego kupilem plecak i bilet w jedną stronę do Brazylii.

Nie powiedziałem nikomu, dokąd sięwybieram, bo samnie wiedziałem.

Włóczyłem się autostopem po Ameryce Południowej; byłemw Ekwadorze, Paragwaju, Kolumbii.

Nocowałemw schroniskach albo pod gołym niebem.

Zapuciłemwłosy.

Gdzieś po drodze doktorCook przestał istnieć.

Pewnegodnia, a jeszcze wtedynie dotarłem do Peru, usłyszałem od kogoś o MachuPicchu.

Chyba miałem w głowiejakieś newage'owe wyobrażenie, że w tym świętymmieściemogę doznać rodzaju iluminacji.

Prosiłem Boga, żeby wskazał mi drogę; jakakolwiek.

Najbliższym pociągiem pojechałem do Peru.

PrzeszedłemChocaqui, Szlak Inków; medytowałem w ŚwiątyniKsiężyca, ale natchnienie nie nadchodziło.

Nie zaznałem boskiegoprzewodnictwa.

Wtedy właśnie, kiedy wracałem pociągiem z MachuPicchu, spotkałem grupęmłodzieży zHouston.

Okazało się, że przyjechali do Peru

269.

na wakacje z misją kościoła baptystów.

Rozmawiali o pracy w jakimś sierocińcu.

W końcu zagadnąłem ich o to, bo z jakiegoś powodu nie mogłem przestać o tym myśleć.

Noi kiedy dotarliśmy do Cuzco, złapałem okazję, pojechałem do Lucre i odnalazłem El Girasol.

Początkowo chciałem tam zostać tylko kilka dni, ale praca z tymi dziećmi coś we mnie zmieniła.

Codziennie sobie powtarzałem, że wyjadę w następnym tygodniu.

I tak to się przeciągnęło dopół roku.

Pewnego dnia oficer policji, który kierował tym ośrodkiem, dostał zawiadomienie, że przenoszą go do Limy.

Nie byłokomu go zastąpić.

Miałem dwa wyjścia: albo przejąć tę instytucję, albo odesłać dzieci z powrotem na ulicę.

I tak oto się tu znalazłem.

Ale po tylu latach wreszcie osiągnąłem to, czego szukałem.

- Czyli?

- Spokój.

- Zamilkł na chwilę.

- Przynajmniej do teraz.

Christine spojrzała na niego pytająco.

- Nie rozumiem.

- Pamiętasz, jak mnie pytałaś o najbardziej przerażającą rzecz, jaką przeżyłem, odkąd tu jestem?

- Jak mogłabym zapomnieć.

- No więc myliłem się.

- Przypomniało ci się coś gorszego?

- Ty

Usiadła i spojrzała na niego z oburzeniem.

- Jestem bardziej przerażająca od węża?

- Najgorsze, co ci może zrobić wąż, to cię zabić.

A to przynajmniej trwa krótko.

A ty za niecały tydzień wrócisz do Dayton, a ja zostanę tutaj i przez resztę życia nie będę w stanie o tobie zapomnieć.

Patrzyła na niego przez chwilę, potem pochyliła do przodu i mocno przyłgnęła do niego ustami.

Gdy się wreszcie odsiebie oderwali, Christine położyła Paulowi głowę na piersiach. Słyszała, jak łomocze mu serce.

- Jedź ze mną - szepnęła.

270

Po chwili namysłu odpowiedział:

- A co z dziećmi?

. . Christine wtuliła się w niego jeszcze mocniej).

Łódka tagodnie kołysała się na wodzie, a oni leżeli objęci podrozwieżdzonym niebem.

ROZDZIAŁ Trzydziesty:

Miłość nigdy nie jest prosta - i rzadko kiedy bezbolesna.

Z PAMIĘTNIKAPAUŁA COOKA

Christine obudziła się we własnym łóżku tuż przed południem.

Gorączkaniemal zupełnie minęła, ale trochę ją jeszcze bolały mięśnie i stawy - czuła się jak biegacz nazajutrzpo maratonie.

Usłyszała dolatujące z zewnątrz głosy Paula, Gilberta i Marcosa; zdała sobie sprawę, że zbliża się czas wyjazdu.

Wstała, wzięła prysznic i włożyła ostatnie czyste ubrania.

Właśnie się pakowała, kiedy wszedł Paul z plastikowym pojemnikiem w ręku.

Domyśliła się, że tego ranka bywał już tu wcześniej kilka razy

- Jak się czujesz?

- spytał.

- Dużo lepiej.

- Podeszła, objęła go za szyję i pocałowała.

Potem westchnęła z zadowoleniem i powiedziała: - Mam wrażenie, że wczorajszy wieczór to był tylko sen.

- Za tydzień całą tę przygodę uznasz za sen.

- Podał jej pojemnik.

- Przyniosłem ci śniadanie: przyda ci się dawka energii.

Christine usiadła na łóżku i podważyła wieczko.

W pojemniku był jogurt, owoc, rogalik cynamonowy i serwetka.

- Dzięki; umieram z głodu.

- Nic dziwnego: od tygodnia nic nie jadłaś.

- Dieta Denga, powinnam to opatentować.

- Ugryzła kawałek rogalika.

Był świeży, choć zdążył wystygnąć.

- Mmm, przepyszny.

- Rosana to mistrzyni.

Christine ugryzła kolejny kęs.

- Kiedy wyruszamy?

273.

- W ciągu godziny.

Przed zmrokiem musimy dotrzeć do

Puerto.

Wytrzeła palce w serwetkę i odstawiła pojemnik.

- A co potem?

- Jutro wracamy do Cuzco, do Jima i Jessiki.

No, a potem

ty polecisz do Limy i dalej do domu.

- A ty?

- Wracam do El Girasol.

Cofnęła się.

- I co, to wszystko?

Miło mi cię poznać, kocham cię, do
widzenia?

- Masz pomysł na lepsze zakończenie?

- A ty masz?

Paul włożył ręce do kieszeni.

- Mam, ale o to nie mogę cię prosić.

- Dlaczego?

- Bo na pewno nie chciałabyś zostać.

Spojrzała mu w oczy i nagle zrozumiała, dlaczego nie zapytał ją o to wczoraj: wydawało mu się, że zna odpowiedzi nie chciał jej usłyszeć, tak samo jak ona nie chciała się przyznać sama przed sobą, że miał rację.

"Mężczyzna żenisz kobietą, a kobieta poślubia jej status społeczny" Niewiedziała, co powiedzieć.

Podczas tej chwili ciszy atmosfera między nimi zrobiła się napięta.

W końcu Paul powiedział:

- Wrócę po bagaż.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem.

Christine poczuła, jak poczucie winy wzbiera w niej i boleśnie chwytają gardło.

Dokończyła pakowanie.

Gdy Paul wrócił, Christine siedziała na ganku.

Bez słowa zarzucił torby na ramię i w milczeniu odbyli drogę doskarpy nad przystanią.

- Zaczekaj, wrócę po ciebie - powiedział.

- Dam radę sama - odparła chłodno.

274

Popatrzyła na nią.

- Jak chcesz.

Christine schodziła tuż za nim, pomagając sobie rękami, żeby nie stracić równowagi.

Na dole podeszła do niej Rosana i ucałowała ją, a Christine podziękowała Peruwiance za wszystko, co ta dla niej zrobiła.

Gilberto z Marcosem już siedzieli w łódce: jeden z przodu, a drugi z tyłu.

Pierwsza weszła Christine, za nią Paul.

Mężczyźni chwycili za wiosła i odbili od brzegu.
Gdy odpływali, Rosanai Leonidas machał im na pożegnanie.
Christine patrzyła, jak Makisapa maleje woddali.
Ani ona, ani Paul nie odzywali się do siebie.

Przełynęli już jedną czwartą szerokości jeziora, gdy nagle Marcos krzyknął do Paula i zaczął pokazywać ręką przed siebie.

- Christine, wydry - powiedział Paul.

Na wprost nich, w odległości mniej więcej stu metrów, zwierzątka wesoło baraszkowały w wodzie, raz poraz wychylając na powierzchnię mokre pyszczki. Zboczył więc trasę, żeby im się bliżej przyjrzeć, ale nim tam dopłynęli, wydry zniknęły.

Godzinę później dotarli naskraj dżungli i Gilberto rozdał im kalosze.
Paul wziął obuwię Christine i włożył rękę do środka.

- Puste.

- Dziękuję.

Potem chwycił bagaże swoje i Christine; wspięli się na brzeg i cienionym szlakiem ruszyli w głąb dżungli.

Tym razem Christine nie bała się drogi, wiedziała bowiem, że nie jest już tą samą kobietą, która przed tygodniem pierwszy raz przekraczała próg dżungli.

Bardzo starała się nie opóźnić marszu, choć wiedziała, że to na nic.

Zmęczenie narastało z każdym krokiem i kilkakrotnie musiała przystanąć, żeby złapać oddech.

Paul poprosił Gilberta i Marcosa, żeby poszli dalej samii przygotowali łódź, a on tymczasem zaczeka na Christine.

- Przepraszam - powiedziała.

275.

- Nie śpiesz się.

Ciągle jesteś osłabiona.

Zrzucił torby na ziemię, wyjął maczetę i przewiesił ją sobie przez ramię.

Prawie godzinę zajęło im dotarcie do polany.

Widząc przed sobą rzekę, szerszą i szybszą niż zapamiętała, Christine poczuła ogromną ulgę.

Marcos z Gilbertem czekali na nich, siedząc na trawiastej skarpie.

Christine zdjęła kalosze z pomocą Gilberta i zeszła na brzeg.

Potem Gilbert wszedł do łodzi i uruchomił silnik.

Za nim wsiedli Marcos i Christine.

Paul wrzucił bagaże na pokład, odwiązał cumy i odepchnął łódź od brzegu, jednocześnie do niej wskakując.

Silnik zaterkotał i wypchnął ich w nurt rzeki.

Marcos siedział nadziobnie, wypatrując przeszkód, a Paul i Christine rozłożyli się na ławeczkach.

Wiatr się wzmógł i zaczął mżyć.

Paul bez słowa wyjął koc i owinął nim Christine.

To milczenie stawało się dla niej nie do zniesienia.

Spojrzał w jego stronę.

Nie odwrócił wzroku, ale w jego błyszczących oczach widać było smutek.

Szukała w nich czegoś.

Łaski?

Przebaczenia?

Miłości?

Nie była pewna.

W końcu przymknęła powieki i spróbowała zasnąć.

Po półgodzinie otworzyła je znów.

Paul przyglądał się jej.

- Jesteś głodny?

- zapytała.

- Nie.

- Mam ciastka.

Uśmiechnął się lekko i Christine poczuła, jakby słońce przebijało przez chmury.

Przysunęła się bliżej.

- Paul, wybacz mi; ja.

- Nic nie mów - przerwał.

- Rozumiem.

- Ale.

ja cię kocham.

- Spojrzała na niego i westchnęła.

- Kocham cię, Paul.

Nie zostało nam już wiele czasu i nie mam zamiaru zmarnować ani chwili więcej.

Uśmiechnął się smutno i wyciągnął ramiona.

- Chodź do mnie.

Objął ją i przytulił, a ona próbowała wmówić sobie, że ta podróż nigdy się nie skończy

ROZDZIAŁ Trzydziesty pierwszy:

Wróciliśmy do cywilizacji.

Boje się, że i w tak zwanym prawdziwym świecie czyha na nas więcej niebezpieczeństw niż w najmroczniejszej dżungli.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Dżungla stopniowo zmieniała swoje oblicze; koryto rzeki się poszerzyło, a las zrobił się rzadszy. Później do krajobrazu dołączyły ślady ingerencji człowieka: polany wykarczowane przez drwali i farmerów oraz ohydne hałdy przyosadach poszukiwaczy złota.

Z plecaka Paula dobiegło nagle pikanie komórki.

- Złapałem zasięg - powiedział.

Wyjął telefon i spojrzął na wyświetlacz: miał dwadzieścia dwie nowe wiadomości.

- Chcesz zadzwonić do Jessiki?

- Jeszcze nie teraz.

Paul obudził Christine, gdy dopłynęli do Laberinto.

W porcie było tłoczniej niż zwykle i Gilberto musiał zręcznie manewrować łodzią, żeby się wślizgnąć w wolniejsze miejsce, między dwie barki załadowane po brzegi zielonymi bananami.

- Tutaj się pożegnamy - powiedział Paul, podnosząc się z ławki i schylając pod zadaniem łodzi.

- Marcos i Gilberto zabierają łódkę w dół rzeki, żeby ją odstawić do innego portu.

Christine spojrzała serdecznie na Peruwiańczyków.

- Gracias, Marcos.

Gracias, Gilberto.

- De nada - odpowiedzieli równocześnie.

Paul zaniósł rzeczy na brzeg i wrócił, by pomóc Christine.

Uściskali się z Marcosem, poczym ten zajął swoje miejsce w łodzi.

- Chao, hermano - powiedział, odpychając ją od nabrzeża.

Silnik zaterkotał, zaskoczył i łódź wypłynęła na rzekę.

- Umieram z głodu - wyznał Paul.

- A ty?

278

- Zjadłabym nawet cudy - odpowiedziała Christine.

Paul wybuchnął śmiechem.

Przeszli kawałek ulicą i wstąpili do kawiarni.

Starsza kobieta przyniosła im do stolika mały bochenek chleba, a Paul zamówił do tego pieczonego kurczaka ze słodkimi ziemniakami i pomarańczową fantę.

- Jesteś gotowa na powrót do domu?

- spytał Christine.

Skinęła głową.

- Stęskniłam się za mamą.

No i mam nadzieję, że szefmnie w międzyczasie nie zwolnił.

- Pomyśl, ile będziesz miała do opowiadania przy automacie do kawy. Przyślę ci zdjęcie z krokodylem.

- Paul odłamał kawałek chleba i zjadł.

- Mogę teraz zadzwonić do Jessiki?

- Oczywiście.

- Wyjął telefon z kieszeni, wystukał numer i przyłożył słuchawkę do ucha.

Christine nachyliła się i wzięła go za rękę.

- Hola, amigo.

Que pasa?

- Uśmiechnął się patrząc na Christine.

- Tak, napędziła nam trochę strachu, ale już wszystko w porządku.

Troszkę zeszczuplała, ale żyje.

Nie, wcale nie musiała się odchudzać.

- Słuchał przez chwilę.

- Chciała pogadać z Jessicą.

- Pokiwał głową.

- Nie ma sprawy.

Zadzwońmy później.

- Mogę z nim zamienić słówko?

- poprosiła Christine.

- Zaczekaj, Christine chce z tobą mówić.

Podał jej komórkę.

- Jim?

- Christine!

Witamy wśród żywych.

Ucieszyła się na dźwięk jego głosu.

- I kto to mówi?

Jak się czujesz?

- Byle góra nie powstrzyma Jima Hammera.

Oczywiście zaszkodzi mieć pod ręką jakiegoś lekarza.

Zerknęła na Paula.

- Wiem, o czym mówisz.

Gdzie Jessicą?

- Nudziło się jej i poszła na zakupy

- Nie wiesz, czy dzwoniła do mojej mamy?

279.

- Dzwoniła.

U niej wszystko w porządku, tylko martwiszę o ciebie.

- A jak Jessica?

- Pielęgniarki w szpitalu wymyśliły dla niej przezwisko:

La Loca .

- Jakoś mnie to nie dziwi- roześmiała się Christine.

- Kiedy wróci?

- Za kilka godzin.

Nie może się doczekać, żeby się z tobą zobaczyć.

Ma dla ciebie sensacyjną wiadomość.

- Jakąż to?

- Zabiłaby mnie, gdybym ci powiedział.

Przekazujej,

żeby zadzwoniła.

Strasznie się cieszę, że wracasz, Christine.

Nie mogę się doczekać jutra.

- Ja też- odparła.

- Pa!

Rozłączyła się i oddała telefon Paulowi.

- Jim mówi, że Jessica ma dla mnie jakąś nowinę.

- Jaką?

- Nie chciał powiedzieć.

- Zastanowiła się chwilę i dodała z uśmiechem: - Może oni wzięli potajemnie ślub?
Kelnerka przyniosła zamówione dania.

Kiedy skończyli jeść, Paul zostawił Christine w kawiarni i poszedł szukać taksówki.

Po kilku minutach podjechał na tylnym siedzeniu jakiegoś kombi.

Wysiadł, żeby otworzyć drzwi Christine.

Gdy zajęli miejsca, kierowca na środku ulicy wykonał zwrot naręcznym i ruszył w kierunku Puerto Maldonado.

ROZDZIAŁ Trzydziesty drugi:

Bywają w miłości dni podstępne, gdy rozkosz miesza się z bólem.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

'Wariatka, szalona.

Było już prawie ciemno, kiedy podjechali pod hotel DonCarlos.
Paul zameldował ich w recepcji, a potem zaniósł bagaże do pokoi.

Wróciwszy, zapytał:

- Jak się czujesz?
- Trochę jestem zmęczona.
- Chcesz się położyć?
- Nie; tonaszostatni wspólny wieczór.
- A masz ochotę coś zjeść?
- Nawet nie jestem głodna, ale może napiłabym się kawy.
- Paręlicstąd jest kawiarnia.

Szli przez zakurzone uliczki miasta, trzymając się za ręce.

Na bezchmurnym, tropikalnym niebie nawet półksiężyc zdawał się lśnić
wyjątkowym blaskiem.

Od dłuższej chwili oboje milczeli.

- Októrej mamy jutro samolot?
- Muszę zadzwonić na lotnisko, ale przeważnie wylatuje kołoósmiej.

Szkoda, że nie mamy więcej czasu: jest jeszcze tyle rzeczy, które chciałbym
cipokazać.

- Ta wyprawa i tak dostarczyła mi więcej wrażeńniż sięspodziewałam.
- Nieda się zaprzeczyć.

Gorączka denga, złamane nogi.

- Złamaneserca -dodała.

- A ja myślałam, że przyjeżdżam tu po to, żeby się wyleczyć z miłości.

-Spojrzała naniego.

- Paul, powiedz mi: co ja mam zrobić?

- Sama musisz podjąćdecyzję.
- Wiem - odwróciła głowę i zachmurzyła się.

Dotarlido kafejki.

Właściciel zaprowadziłich do stolikai zapalił świeczkę.

Zamówili dwie kawy bezkofeinowe i mi282

seczkę chipsówz taro.

Migoczące światło świecy odbijałosię w twarzyPaula i kiedy Christine tak naniego
patrzyła, myśl o nieuchronnym rozstaniu stawała się dla niej niedo zniesienia.

- Nie chcę, żeby ten dzień się skończył.

Wtym momencie rozległ się dzwonek telefonu.

Paul zerknąłna wyświetlacz.

- To Jessica.
- Nieodbieraj.

Paul spojrział na nią, wyłączył telefon i schował goz powrotem do kieszeni.

Właściciel kawiarni przyniósłzamówieniei postawił na stoliku.

Christine upiła łykkawy i spojrzała Paulowi w oczy

- Poproś, żebym została.

Paul powoli pokręcił głową.

- Nie mogę.

-Nie chcesz tego?

- Oczywiście, że chcę; tylko nie sędę, że byłabyś szczęśliwa żyjąc tutaj.
Christine zmarszczyła brwi.

- Ja też tego nie wiem, ale wiemna pewno, że bez ciebiebędę nieszczęśliwa.
Paulw zamyśleniu obserwowałpłomieńświecy i naglepodniósł wzrok na

Christine.

- Wyjdź za mnie.

Wbiła wniego zdumione spojrzenie.

Paul wziął ją za rękę.

- Chris, ja całęzycie czekałem, żeby móckochać kogoś takiego jak ty.

Nie masz pojęcia, coze mną zrobiłaś.

Niemogęoddychać, kiedypomyślę, że mógłbym cięstracić.

Christine spuściła głowę.

Miała łzy w oczach.

Kiedyznówpodniosła wzrok, na jej twarzy powoli rozkwitał uśmiech.

Roślina uprawna o jadalnych bulwach, podobna doziemniaka [przyp.
tłum.

].

283.

- No, a gdzie masz pierścionek?

Paul zrobił zaskoczoną minę.

- Mam rozumieć, że sięgadzasz?

Christine uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

-Tak.

Jego oczy roziskrzyły się w blasku świecy Zdjął z palca złotą obrączkę.

- Czy na razie może być to?

Christine wyciągnęła dłoń.

- Będzie idealna.

Drżącą ręką nasunął jej obrączkę na palec.

Była za luźna i oboje się roześmiali.

- No, prawie idealna - powiedziała Christine.

- Tymczasem ponoszę ją na kciuku.

Paul przełożył obrączkę, apotem chwycił dziewczynę za rękę.

- Przysięgam, że zrobię wszystko, abyś była szczęśliwa.

Christine nie przestawała się uśmiechać.

- Już zrobiłeś, kochanie.

ROZDZIAŁ Trzydziesty trzeci:

Wiadomość o naszych zaręczynach przyjęto mniej więcej takim entuzjazmem jak włos w zupie.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Wylot z Puerto opóźnił się o dwie godziny, więc spędzili ten czas w barze na lotnisku, grając w karty i popijając colęw nieznośnym upale.

Gdy wreszcie mogli wejść na pokład, okazało się, że samolot jest w połowie pusty. Schowali podłokietnik między fotelami i Christine oparła się o Paula.

- Kontaktowałeś się z Jimem?

- Wyjdą po nas na lotnisko.

- Umieram z ciekawości, co takiego Jessica ma mi do powiedzenia.

A co, jeśli oni rzeczywiście się pobrali?

- Myślisz, że o to chodzi?

- Nic innego niemożę wymyślić.

- Uśmiechnęła się.

- Nie mogę się też doczekać, kiedy mi to przekażemy im naszą nowinę.

Paul pogładził ją po policzku i odgarnął włosy z uszy.

- Dawno nie czułem się taki szczęśliwy. Christine ujęła jego dłoń i pocałowała.

- Musisz nadrobić zaległości.

Z chwilą gdy samolot wylądował w Cuzco, Christine poczuła narastający ucisk w skroniach.

Potarła czoło. Paul pochylił się i pocałował ją.

- Klimat?

- Tak.

Czy ja się kiedykolwiek do tego przyzwyczaję?

- W końcu tak.

Samolot podjechał pod terminal.

Pasażerowie wysiedli, Paul i Christine cały czas trzymali się za ręce.

W hali, w punkcie odbioru bagażu, czekali na nich Jessica z Jimem.

Na widok Christine przyjaciółka puściła się biegiem w ich stronę.

286

- Christine!

- Jess!

Rzuciły się sobie na szyję.

Potem Jessica odchyliła się do tyłu i zmierzyła ją wzrokiem.

- O kurczę, chudzielec z ciebie.

- Odwróciła się w stronę Paula.

- Witaj, przystojniaku.

- Cześć, Jess.

- Uściskali się.

Jim przykuśtykał o kulach.

- Fajnie was znowu widzieć.

Christine podeszła i objęła go.

- No i jak się czujesz?

- Lepiej niż wtedy, gdy się ostatnio widzieliśmy.

- Miło widzieć, zwróciłeś do pionu - powiedział Paul.

- Ja też się z tego cieszę.

Dzięki, stary, że mnie poskładałeś dokupy. W ogóle dzięki za wszystko.

Widziałem się z grupą przed wylotem do Limy; powiedzieli, że pobyt w dżungli to była najfajniejsza część wyprawy

- Cieszę się, że mogłem pomóc.

Christine stanęła obok Paula i objęła go w pasie.

- Dobra, kochani, już dłużej nie wytrzymam tego napięcia.

Co takiego chcieliście nam powiedzieć?

- To może poczekać - odparła Jessica, zerkając na Paula.

Christine zrobiła zaskoczoną minę.

- Jak to poczekać?

No coś ty!

- Nie, serio; to nie jest aż takie ważne.

Christine przyjrzała jej się podejrzliwie.

- To czemu do mnie wydzwaniałaś?

- Później ci powiem - ucięła Jessica.

Christine pokręciła głową.

- Zwariuję przez ciebie, dziewczyno.

No trudno.

Zatomy mamy dla was nowinę i ona nie może czekać.

- A co?

- Jessica nerwowo przeskakiwała wzrokiem z jednego na drugie.

- Zaręczyliśmy się.

287.

Jessica spojrzała na nią tak, jakby czekała na puentę dowcipu.

-1 co wy na to?

-spytała Christine.

- Gratulacje!

- powiedział Jim.

-To wspaniale.

- Podeszedł do nich i oboje wyściskał.

-A nie mówiłem, że wszystkim się ułoży?

- Cóż, musiałeś się dopiero połamać, żeby tak się stało.

-Właśnie nadałaś sens mojemu cierpieniu.

Jessica podeszła i objęła Christine.

- Gratuluję - powiedziała słabym głosem.

-Wyglądasz, jakbyś była w szoku.

- Bo jestem.

To dość.

niespodziewana wiadomość.

- Zawsze mi powtarzałaś, że jestem za mało spontaniczna.

-Widzę, że czekałaś, żeby zrobić odpowiednio duże wrażenie.

Paul, więc jednak zdecydowałaś się wrócić do Stanów?

Po chwili wahania odezwała się Christine:

- Mamy zamiar mieszkać tutaj.

Twarz Jessiki zastygła w wyrazie rozpacz.

- Jakto, przeprowadzasz się do Peru?

-Taki jest plan.

Wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.

Christine poczuła się urażona reakcją przyjaciółki i atmosfera stała się bardzo niezręczna.

Jim odezwał się, żeby rozładować napięcie:

- Toco, odwieziemy was do hotelu.

- Podał Paulowi klucze.

-Muszę załatwić kilka spraw, a ty tymczasem zainstaluj się u mnie i odpocznij.

- Dzięki - odparł Paul, nie odrywając wzroku od Christine.

Chciał jaja jakoś pocieszyć, ale wiedział, że teraz musieć spędzić trochę czasu z przyjaciółką.

- Byłbym zapomniał: Jaime próbował się z tobą skontaktować.

Mówił, że to muy importante.

- Zadzwoń do niego z hotelu.

288

Kiedy szli na parking, Jessica na chwilę odciągnęła Christine na bok.

- Widzę, że nie jesteś do końca przekonana do tego pomysłu - powiedziała

Christine, starając się opanować złość.

-Mało powiedziane.

Przecież ty kompletnie oszalałaś.

- Oszalałam?

- powtórzyła oburzona Christine.

- Rezygnacja z całego dotychczasowego życia dla faceta, którego się prawie nie zna, to jest, owszem, szaleństwo.

Wiem, zawszecipowtarzałam, że nie wolno poddawać się schematom, ale, kobieto, typy prostu przegięłaś.

- Dzięki za ciepłe słowa.

Jessica przystanąła,

- Chris, jest jeszcze coś.

Christine spojrzała na nią wystraszona.

- Mama?

Coś się stało z mamą?

- Twoja mama ma się świetnie.

-To o co chodzi?

Jessica rzuciła okiem na Jima i Paula.

- Poczekaj, aż wrócimy do hotelu.

ROZDZIAŁ Trzydziesty czwarty:

Jeżeli piekło jest wybrukowane dobrymi chęciami, to dzisiaj poznałem samego szefa ekipy kamieniarskiej.

Z PAMIĘTNIKA PAULACOOKA

Paul leżał na łóżku w pokoju Jima, kiedy nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Nieruszając się z miejsca, zawołał:

- Proszę!

Do środka weszła Jessica.

Minę miała jeszcze bardziej zdrczoną niż na lotnisku.

Paula aż coś ścisnęło w żołądku.

- Cześć, Jess; jak tam?

- Masz chwilę?

- Jasne.

Gdzie Chris?

- Siedzi u mnie.

i ryczy.

Podniósł się.

- Co się stało?

Jessica przysiadła w rogu łóżka.

- Ona naprawdę się w tobie zakochała.

- Mówisz tak, jakby to było coś złego.

- W tym wypadku jest.

Przybrała skupiony wyraz twarzy, jakby szukając odpowiednich słów.

- Posłuchaj mnie, Paul.

Wiedz, że darzę cię ogromnym szacunkiem.

To, co robisz dla tych dzieci, w takich warunkach, jest wspaniałe.

Aleta Christine, którą znam, nigdy nie będzie potrafiła tak żyć.

Ta kobieta co drugi dzień szczotkuje dywany w domu.

- Pokręciła głową.

- To wszystko moja wina.

Niepowinnam była jej tu przywozić, kiedy jest w takim stanie.

- Czy nie dlatego właśnie ją przywiozłaś?

Spojrzała na niego ze współczuciem.

291.

- Paul, nie czarujmy się, Christine zakochała się w tobie, żeby sobie odbić utratę Martina.

Takie związki nigdy nie kończą się dobrze.

Nigdy nie możesz jej tego zrobić.

Na te słowa Paul zareagował gniewem.

- Ja jej doniczego nie zmuszam.

Christine sama potrafi decydować za siebie; nie jest już dzieckiem.

- Jeśli chodzi o mężczyzn, niestety jest.

- Ściszyła głos.

- Zanim w jej życiu pojawił się Martin, była związana z takim jednym Justinem.

Kawał drania.

Potrafił ją publicznie poniżać, nie przychodził na umówione spotkania, zdradzał ją.

Traktował ją jak szmatę.

Błagałam, żeby go olała, ale nie chciałam nie słuchać.

Ona po prostu potrafi być sama.

W końcu pewnego dnia postanowiła mu się postawić.

Pobił ją.

To powinno zakończyć sprawę, ale nawet wtedy go nie rzuciła.

Znalazła dla niego jakieś idiotyczne usprawiedliwienie.

Zagroziłam mu więc, że mój ojciec, który jest kongresmanem, już dopilnuje, żeby gość na długo wylądował zakratkami.

A on odparł, że niema problemu i właściwie jest z nią tylko dla zabawy.

- Przybrała stanowczy ton.

- W sprawach facetów od zawsze musiałam nad nią czuwać.

- Tak jak teraz?

- Dokładnie.

Posłuchaj: nie jestem największą fanką Martina, ale pomijając tę tchórzliwą zagrywkę przed ślubem, on zawsze był wobec niej w porządku.

Nawet po tym, jak złamał jej serce, Chris wyznała mi, że Martinu osabia wszystko, czego zawsze pragnęła.

Dlatego byli ze sobą sześć lat.

To kawał historii.

- Właśnie - uciął Paul.

- To już historia.

- Niezupełnie.

Spojrzał na nią pytająco.

- On jest w Limie.

Przez chwilę Paul nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Czy ona wie?

- Już tak.

Ukrył twarz w dłoniach.

292

- Ach, więc to była ta twoja sensacyjna wiadomość.

-

Podniósł wzrok.

- Co ona na to?

- Niewiedziała, co powiedzieć.

- Jessica westchnęła.

- Ona się przy nim czuje szczęśliwa, Paul.

To jest jej happy

end.

Odezwała się komórka Paula.

Zignorowała ją.

- To co ja mam zrobić?

Tak po prostu odejść w siną dal?

Jessica nie odpowiedziała.

- Nie zrobię jej tego.

- To zrób to dla niej.

Paul wstał.

- Nie do wiary, że z tobą o tym rozmawiam.

- Dla mnie to też nie jest przyjemne, Paul - odparła.

- Naprawdę mi przykro.

Jesteś fantastycznym facetem, ale Christine nigdy nie byłaby szczęśliwa, żyjąc tak jak ty. Wspominała ci o swojej matce?

One są nierozłączne.

Niepotrafiłaby żyć z dala od niej.

To cała jej rodzina.

Nawet gdyby się zdecydowała ją zostawić, nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

Telefon Paula znów się odezwał, ale tym razem Paul go wyłączył.

Jessica splótła dłonie.

- Wybacz, Paul, ale jeśli nie pozwolisz jej odejść, w końcu będzie przez ciebie cierpieć.

A wiem, że tego byś nie chciał.

Paul oparł głowę o ścianę przez kilka minut w pokoju panowała cisza.

Zadzwonił hotelowy telefon.

Po trzynastym dzwonku Paul podszedł i podniósł słuchawkę.

- z-O?

Jessica słyszała, jak po drugiej stronie ktoś podniesionym głosem mówi po hiszpańsku.

Paul odpowiedział w tym samym języku:

- Jak to?

I żaden z chłopaków jej nie widział?

A Richard?

- Pokręcił głową.

- Dobrze, już jadę.

- Odłożył słuchawkę.

Cierpienie w jego oczach stało się miejscem panice.

- Co się stało?

- spytała Jessica.
 - Roxana zniknęła.
- Chwycił plecak.
- Muszę tam pojechać.
- Podeszedł do drzwi.

293.

- Co mam powiedzieć Christine?

Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na nią zimnym, przenikliwym wzrokiem.

- Powiedz, że życzę jej Martinowi jak najlepiej.

Zamknął zasobą drzwi.

Jessica opadła na łóżko, nakryła głowę poduszką i rozplakała się.

ROZDZIAŁ Trzydziesty piąty:

Wszystko to chaos.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Christine dwukrotnie zapukała do pokoju Jima, po czym uchyliła drzwi.
Miała zapuchnięte i czerwone oczy. Zdziwiła się, widząc Jessikę siedzącą na łóżku.

- Gdzie Paul?

Jessica głęboko westchnęła.

- Wszedł.

- A dokąd?

- Pojechał do sierocińca.

- Co?

- Wrócił do domu, Chris.

- Tak ci powiedział?

- Tak.

- Pogniewał się czy co?

Jessica biła się z myślami.

Nie wiedziała, czy powiedzieć jej prawdę.

- Prosił tylko, żeby ci przekazać, że wraca do domu.

Christine podeszła do telefonu i wykręciła numer komórki Paula.

Nikt nie odbierał.

- I nic więcej nie mówił?

- Mówił.

- Jessica spojrzała na nią ze współczuciem.

- Powiedział, że życzy ci i Martinowi jak najlepiej.

- Powiedziałaś mu?

- Oczywiście - Jessica podeszła i chciała ją objąć, ale Christine ze złością odskoczyła.

- Nie miałaś prawa.

- Chciałam cię tylko ochronić.

- Stała przed nią.

- Mówiłaś mi, że wszystko, czego pragniesz, to żeby los dał wam z Martinem jeszcze jedną szansę.

On przeleciał taki kawał

296

drogi aż z Ohio, żeby cię zabrać do domu.

Czy nietego właśnie chciałaś?

Christine usiadła na łóżku.

- Tak.

Nie.

- Westchnęła ciężko i zaczęła płakać.

- Jestem

kompletnie skołowana.

- Wiem, skarbie.

- Jessica usiadła obok.

- Ale jak tylko spotkacie się z Martinem, wszystko się ułoży. Zobaczysz.

ROZDZIAŁ Trzydziesty szósty:

Martin, były narzeczony Christine, przyleciał po nią do Peru.

Chociaż zapewniono mnie, że tak będzie lepiej dla
wszystkich, ja wcale tak nieczuje.

Ktoś kiedyś powiedział, że kochać kogoś to nie znaczy pożądać tej osoby, lecz jej
szczęścia.

Jeśli to prawda, będę musiał zweryfikować swoje uczucia - boja rozpaczliwie pragnę
Christine.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Jessica i Christine zniosły bagaże do holu.

Christine usiadła samotnie w kącie, a Jessica w tym czasie poszła pooglądać
skórzanetorebki, które sprzedawano w hotelowym kiosku.

Kilka minut później wrócił Jim, kuśtykając o kulach.

Z kieszeni na piersi wystawały mubilety lotnicze.

Zbliżył się do Jessiki.

- Jak poszło?

- Nie pytaj.

- Gdzie Paul?

- Pojechał do domu.

- Jak to?

- zdziwił się.

- A Christine?

- Tam siedzi.

Christine siedziała z podkurczonymi nogami na sofie.

- O nie - westchnął.

- Jest załamana.

- Da się z nią rozmawiać?

- Spróbuj - wzruszyła ramionami Jessica.

Jim podszedł do Christine, postawił kule pod ścianą i przysiadł na oparciu sofy.

- Hej.

I jak tam?

- Niedobrze.

- Wyobrażam sobie, jak się musisz czuć.

- Jak idiotka, kretynka, zdrajczyni - mam wymieniać dalej?

- Przykro mi.

- Przez chwilę nie mówił.

- Z drugiej strony, tonie samowite, że twój chłopak przyleciał z drugiego końca świata,
żeby się z tobą zobaczyć.

To znaczy.

tochyba fajnie, nie?

299.

Minęła chwila, zanim odpowiedziała:

-Tak.

Jim położył jej rękę na ramieniu.

- Nie martw się; jeszcze wszystko się ułoży jak zawsze.

- Nie jak zawsze - powiedziała Christine.

- Racja: nie jak zawsze.

Siedzieli tak w milczeniu, aż Jim spojrzał na zegarek.

- Czas nanas.

Chodź, zobaczymy jak zakończy się ta historia.

ROZDZIAŁ Trzydziesty siódmy:

To już drugi taki przypadek w moim życiu, że ginie dziecko, które powierzono mojej opiece.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Pokonanie półgodzinnej odległości z Cuzco do Lucrezajęło Paulowi niecałe dwadzieścia minut.

Zatrzymał samochód na zwirowym podjeździe przed hacjendą i wpadł nad dziedziniec wołając Jaime.

Ten, zrozpaczony, wybiegł muna spotkanie.

- (Yaregresó?

-No, señor.

- fDónde han buscado?

-Hemos buscado en el pueblito en el campo.

- j Y despues dónde?

-(En que otro lugar pudiera ella estar?

Si ella hubiera estado caminando alguien la habría visto.

Pero nadie la ha visto. Alguien debe haber robado.

Jaime aż tchu zabrakło, gdy wypowiadał te ostatnie słowa. Za nic w świecie nie chciał dopuścić do siebie myśli, że ktoś mógłby to zrobić. Zorganizowany handel dziećmi to prawdziwy przemysł przynoszący zyski w wysokości miliardów dolarów rocznie. Na całym świecie ponad dwa miliony dzieci przetrzymuje się siłą i wykorzystuje do celów seksualnych.

Wróciła?

Nie, proszę pana.

Gdzie jej szukaliście?

Sprawdzaliśmy w miasteczku i w okolicy.

I gdzie jeszcze?

Gdzie mogłaby być?

Gdyby sama gdzieś poszła, zauważono by ją w mieście.

A nikt jej nie widział.

Musieliby ją porwać.

302

To zresztą nie jedyny sposób, w jaki się je wykorzystuje. Kilka lat temu policja w Cuzco rozbiła gang peruwiańskich porwaczy, którzy dzieci zbierane z ulicy wysyłali do Szwajcarii i Włoch, gdzie uśmiercano je w celu pozyskania organów do przeszczepów.

W jednym i drugim wypadku szansę na odnalezienie Roxany byłyby znikome. Paul próbował nie dać się opanować panice i jednocześnie zmagął się z poczuciem winy.

Dziewczynka mu zaufała, myślała, że będzie bezpieczna pod jego opieką, a teraz jej nie ma.

Zadzwoił do komendanta policji w Cuzco, by zgłosić zaginięcie Roxany, modląc się, że by się okazało, że może już ją znaleźli i czeka w komisariacie. Niestety Komendant, który był zawsze wielkim orędownikiem stworzenia tego sierocińca i w ciągu ostatnich czterech lat bardzo zaprzyjaźnił się z Paulem, wyraził swój najszerszy żal i obiecał, że osobiście dopilnuje śledztwa.

Paul poszedł do siebie i odszukał kilka zdjęć Roxany Potem zabrał Jaime i Richarda; razem udali się do pobliskiego Lucre, żeby się rozejrzeć.

ROZDZIAŁ Trzydziesty ósmy:

"Rozłaka jest dla miłości tym, czym wiatr dla ognia - małą gasi, a wielką roznieca.

"Autor nieznany

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Na lotnisku w Limie Jim złapał taksówkę, która zawiozła ich do LarcoMar, bogatej podmiejskiej dzielnicy położonej nad samym oceanem.

Cała trójka w ponurych nastrojach zasiadła do kolacji w HardRock Cafe.

Zanim skończyli jeść, Christine przeprosiła i wyszła na zewnątrz.

Chciała w samotności przemyśleć parę spraw.

Przeszła promenadą do miejsca, skąd rozciągał się malowniczy widok na Pacyfik.

Oparła się o balustradę i obserwowała, jak fale rozbijają się o skaliste wybrzeże.

Pół godziny później za jej plecami pojawiła się Jessica.

- Wszystko w porządku?

Christine nie odpowiedziała.

Jessica przebiegła wzrokiem horyzont.

- Nocą ocean zawsze wydaje się taki groźny. Christine wciąż wpatrywała się w dal.

- Jak to jest, że tutaj jest tyle bogactwa, a wszędzie dookoła tyle biedy?

- powiedziała.

Jessica westchnęła.

- Martin dzwonił przed chwilą - oznajmiła.

- Sprawdzał, czy dojechaliśmy. Jesteś gotowa, żeby się z nim spotkać?

- Nie wiem.

Jessica otoczyła przyjaciółkę ramieniem.

- Przykro mi, że musisz przez to przechodzić.

Ale uwierz, że wszystko jeszcze obróci się na dobre.

- Tak się mówi, kiedy już nie może być gorzej.

- Fakt - uśmiechnęła się lekko Jessica.

- Wiesz, że ciękocham?

- Wiem.

- To co, idziemy?

305.

Christine wzięła ją za rękę.

- Chodźmy.

Taksówka wysadziła ich przed hotelem Swissôtel, najładniejszym, jaki Christine widziała dotąd w Peru.

Gdy bagażowi w uniformach wkładali ich rzeczy na mosiężny wózek, rzuciła okiem na główne wejście wyłożone marmurową posadzką.

W centralnym punkcie holu stał duży, bogato zdobiony mahoniowy stół, a na nim ogromny wazon z bukietem świeżych kwiatów.

Jim zameldował całą trójkę w recepcji i wręczył Jessice klucze do pokoju.

- Siódme piętro, pokój numer siedemsettrzydzieści.

Jabę piętro niżej.

- A gdzie mieszka Martin?

- spytała Christine.

- W trzysta jedna.

Jessica spojrzała na nią z uśmiechem.

- Do dzieła, skarbie.

- Powodzenia - dodał Jim.

- Dzięki.

Weszła do windy i nacisnęła guzik z numerem 3.

Jessica posłała jej w powietrzu całusa, Christine uśmiechnęła się przymusem drzwi windy się zamknęły. Wysiadła na trzecim piętrze i stanęła, żeby się przejrzeć w lustrze na korytarzu.

Odgarnęła włosy, pociągnęła szminką usta, a potem ruszyła w stronę drzwi z numerem 311.

Ze środka dochodziły dźwięki telewizora.

Christine spojrzała na złotą obrączkę, którą dał jej Paul.

Zdjęła ją i wsunęła do kieszeni spodni.

Następnie zapukała do drzwi.

Telewizor ucichł.

Usłyszała czyjeś kroki.

Zazgrzytał mosiężny łańcuch i drzwi się otworzyły. Przed nią stał Martin.

Przez chwilę trwali w milczeniu, obserwując się nawzajem w poszukiwaniu jakiejś podpowiedzi, co robić dalej.

Martin pierwszy zebrał się na odwagę.

Wyszedł za próg i uściskał Christine.

- Dobrze cię znów widzieć.

306

Christine położyła mu głowę na ramieniu.

- Nawzajem.

Po chwili uwolnili się uściskowi Martin cofnął się o krok.

- Strasznie się o ciebie martwiłem.

Wejdz, proszę.

Podążyła za nim do środka.

W pokoju panował idealny porządek, wszystko leżało na swoim miejscu: walizka

Martina na wózku bagażowym, a na samym środku biurka przykrytego szklanym blatem - laptop.

- Trochę tu ładniej niż tam, gdzie ostatnio miałam okazję przebywać - powiedziała.

- Całkiem nieźle jak na Trzeci Świat - odparł Martin.

- Kiedy twoja mama powiedziała mi, że wyjechałaś do Peru, powiem szczerze: byłem mocno zaskoczony. Oczywiście domyśliłem się, że Jessica musiała maczać w tym palce.

- Oczywiście.

- Jak się czujesz?

- Całkiem dobrze.

- Nawet nie wiesz, jak się wystraszyłem, kiedy się dowiedziałem, że jesteś chora.

Wiedziałem, że muszę być tutaj, przy tobie.

Christine nie odezwała się ani słowem.

Martin podszedł do stołu i wziął do ręki wiązaną długich czerwonych róż.

- Kiedy Jessica powiedziała, że wracasz dzisiaj, specjalnie poszedłem ich poszukać.

Nie masz pojęcia, jak trudno znaleźć róże w Limie.

Przyjęła bukiet.

- Dziękuję.

Zapadła niezręczna cisza.

W końcu Martin zdobył się na uśmiech.

- Nie do wiary, że tu jesteśmy. Kto by pomyślał, że wylądujemy akurat w Peru.

Boże, ale ty schudłaś.

Nic dziwnego, po tym, co przeszłaś przez ostatnie trzy tygodnie.

- Trzy miesiące - poprawiła Christine.

- Przy czym denga to był akurat najmniejszy problem.

307.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Chyba sobie nato zasłużyłem.

Christine odłożyła kwiaty na łóżko.

- Nawet nie zadzwoniłaś.

Czy tyzdajesz sobie sprawę, jakja przez ciebie cierpiałam?

Obeszło cię to choćtrochę?

- Oczywiście, że tak, tylko.

Byłem głupi.

Sam nie wiedziałem, czego chcę.

- Toco się zmieniło?

-Zdajesię, że czasem musimy kogoś stracić, żeby zrozumieć, jak bardzo był dla nas ważny.

Sięgnął do kieszeni.

- Wiem, że trudno ci będzie znówmi zaufać.

Dlatego przyjechałem tu taki szmat drogi.

Powiedzmy, że to moja pokuta.

- Zbliżył się dotknął jej ręki.

-Coś ci przywiozłem.

-Wyjął z kieszeni aksamitne pudełeczko.

- Chcesz zobaczyć, co jest w środku?

- spytał melodyjnym głosem.

Christine odchyliła wieczko.

Był to jej stary pierścionek zaręczynowy, tyle że brylant zastąpiono znacznie większym kamieniem, co najmniej dwukaratowym.

Spojrzała na pierścionek, a tego nie wzięła.

Westchnęła ciężko.

- Sama nie wiem, Martin.

-A pamiętasz, jak się cieszyłaś, kiedy ci go podarowałem?

Pokazywałaś go wszystkim naokoło, nawet temu dziwakowi na ulicy.

Uśmiechnęła się zachichotała na wspomnienie tamtego zdarzenia.

Martin pogładził ją po policzku.

- Właśnie na to czekałem: na ten uśmiech.

- Chwył ją zarękę.

-Przez sześć lat było nam ze sobą dobrze, prawda?

Kiwnęła głową.

- Potem popełniłem błąd.

Przyznaje, niemały.

Ale razna sześć lat?

- Zwróciłaś nią błagalne spojrzenie.

-Daj mi szansę, żebym mógł ci to wynagrodzić.

Ciągle jeszcze możemy spełnić nasze marzenia.

- Ukląkł przed Christine i wy308

ciągnął do niej dłoń z pierścionkiem.

- Proszę cię, daj mi szansę.

Kto cię będzie tak kochał jak ja?

Patrząc na ten piękny pierścionek z brylantem, Christine pomyślała o skromnej obrączce spoczywającej w kieszeni jej spodni.

A potem spojrzała naróże.

ROZDZIAŁ Trzydziesty dziewiąty:

Całe życie stawiamy coraz wyższe płoty, montujemy mocniejsze zamki, tymczasem największe zagrożenia tkwią już w środku.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Paul, Richard i Jaime chodzili ulicami Lucre, pukając do domów, wstępując do sklepów i zatrzymując każdego napotkanego przechodnia.

Nikt nie widział Roxany.

O siódmej wieczór Richard wrócił do ośrodka, żeby dać chłopcom jeść, a Paul i Jaime kontynuowali poszukiwania aż do zmroku.

Roxana po prostu rozplynęła się w powietrzu.

Była już dziesiąta, kiedy wrócili do El Girasol.

Gdy wjeżdżali na podjazd, Paul spytał Jaime:

- Co powiedzieliście chłopcom?

1- Wiedzą, że Roxana zniknęła i martwią się o nią.

Paul jeszcze bardziej spochmurniał.

- Pogadam z nimi.

Zaraz po wejściu obaj udali się na górę.

Richard zauważył, że wrócili i poszedł za nimi.

Gdy stanęli w drzwiach, chłopcy ucichli.

Po ich twarzach poznali, że Roxany nie znaleziono.

Paul zwrócił się do chłopców po hiszpańsku:

- Nie znaleźliśmy jej.

To aż dziwne, że tak po prostu zniknęła.

Ktoś musiał coś słyszeć.

- Myśmy spali - powiedział Deyvis.

- Nie dalibyśmy jej
nikomu porwać.

- Wiem, wiem.

- Paul spojrzał po nich i westchnął.

- No

dobrze.

Kładźcie się spać.

Chłopcy zaczęli się rozchodzić do łóżek, tylko Pablo nie ruszył się z miejsca.

Paul podszedł do niego.

- Co się stało?

Pablo spuścił oczy, potem zerknął ukradkiem na Richarda, ale nic nie powiedział.

311.

- Spróbuj po angielsku - zachęcał Paul, powoli wymawiając słowa.

Pablo przełknął ślinę i nie odrywając wzroku od podłogi, powiedział:

- Usłyszałem jakieś głosy i wyjrzałem przez okno.

Zobaczyłem samochód i kilku panów.

- A widziałeś Roxanę?

Pablo pokręcił głową.

- Słyszałem hałas.

Mogła być w samochodzie.

- Łzy zakręciły mu się w oczach.

- Nie wiedziałem, że zginęła.

Paul schylił się i kucnął przy chłopcu.

- Tonie twoja wina.

Wiesz może, co to był samochód?

- Duży.

- Widziałeś go już wcześniej?

Pokręcił głową.

- A znasz tych mężczyzn?

- Jednego.

Paul chwycił go za ramiona.

- Kto to był?

Pablo spuścił wzrok, bojąc się powiedzieć to na głos.

- Szepnij mi na ucho.

Chłopiec nachylił się i wyszeptał:

- Richard.

Paul uściskał go mocno.

- Znajdziemy ją.

A teraz idź spać.

Zeszli na dół, Paul życzył Richardowi dobrej nocy, a ten

wrócił do kuchni, żeby dokończyć przygotowywanie śniadania na jutro.

Tymczasem Paul odciągnął Jaimena stronę.

Po jakimś czasie wszedł do kuchni i zwrócił się do Richarda po hiszpańsku:

- Gdzie jest Roxana?

Richard spojrzał na niego zaskoczony.

- No se, señor Coofe.

Cały dzień jej razem szukaliśmy, a pan

mnie pyta, gdzie ona jest?

- Ile ci za nią zapłacili?

- Ja nic nie wiem.

Nie wiem!

- Dobrze wiedziałeś, o której chłopcy kładą się do łóżek.

Tyle tylko, że jeden z nich nie spał.

Widział cię z nią.

Richard przerwał krzątaninę.

Miał przerażenie w oczach.

W tym momencie do kuchni wszedł Jaime zmaczetą w rękę.

- Teraz chyba nam powiesz - wycedził Paul.

- Nie mogę.

Ci ludzie.

- Nie bój się tchórzy, którzy polują na dzieci.

Powinieneś się bać raczej tych, którzy je kochają.

- Odwróciłeś.

-

Jaime?

Jaime podszedł bliżej i spokojnym głosem powiedział:

- Powiesz nam po dobroci czy mamy to z ciebie wyciągnąć?

Richard wycofał się w kąt kuchni.

- Od czego mam zacząć?

- spytał Jaime.

Przeżony Richard strzelał oczami nawszystkie strony

- Nie róbcie mi krzywdy.

Powiem wam, gdzie ich szukać.

Pięć minut później Paul rozmawiał przez telefon z komendantem policji.

Dwadzieścia minut po telefonie od Paula policja aresztowała Richarda. Korzystając z uzyskanych od niego informacji, komendant, który zresztą zjawił się osobiście, zaplanował obławę na przestępców.

Paul i Jaimecałą noc spędzili w kuchni przy kawie, z niepokojem oczekując jakichś wiadomości.

Telefon zadzwonił o dwadzieścia siódma rano.

Roxanę wraz z trzema innymi dziewczynkami znaleziono skrepowaną łańcuchami w garażu zaledwie dwa kilometry od lotniska w Cuzco.

Oprócz nich policja znalazła tam pewną ilość gotówki oraz rozkład lotów. O dziesiątej po dziewczynkach nie byłoby już śladu.

Kiedy Paul zjawił się na komendzie w Cuzco, zastał Roxanę skuloną na kanapie, z głową schowaną między kolanami.

Delikatnie jej dotknął, a mała gwałtownie podskoczyła, po czym przestraszona podniosła wzrok.

Zobaczywszy, że to Paul, rzuciła mu się na szyję.

On przytulił ją do siebie tak mocno, jak jeszcze nigdy nikogo.

A potem się rozplakał.

- Już nigdy cię nie zawiodę - powiedział.

- Przrzekam.

Na prośbę komendanta Paul zabrał wszystkie cztery dziewczynki do El Girasol.

Chłopcy przywitali je na dziedzińcu okrzykami radości.

Pablo na migi powiedział Roxanie, że bardzo za nią tęsknił.

Roxana odpowiedziała mu tym samym.

Tej nocy Paul na kolanach dziękował Bogu, że oszczędził życie tej małej dziewczynki.

Raz po raz powtarzał złożoną Roxanie obietnicę: "Już nigdy jej nie zawiodę".

Później położył się do łóżka.

Kiedy leżał, wpatrując się w ciemność, panika i szaleństwo ostatnich trzydziestu godzin zaczęły stopniać.

ROZDZIAŁ Czterdziesty:

Drzę na myśl, jak niewiele brakowało, abym stracił Roxane, albo jaki los mógł ją spotkać.

Zbyt wiele dzieci ma świadomość, że świat, w którym żyją, to nie jest bezpieczne miejsce.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

Dwadzieścia minut po telefonie od Paula policja aresztowała Richarda. Korzystając z uzyskanych od niego informacji, komendant, który zresztą zjawił się osobiście, zaplanował obławę na przestępców.

Paul i Jaimecałą noc spędzili w kuchni przy kawie, z niepokojem czekując jakichś wiadomości.

Telefon zadzwonił za dwadzieścia siódma rano.

Roxanę wraz z trzema innymi dziewczynkami znaleziono skrepowaną łańcuchami w garażu zaledwie dwa kilometry od lotniska w Cuzco.

Oprócz nich policja znalazła tam pewną ilość gotówki oraz rozkład lotów. O dziesiątej po dziewczynkach nie byłoby już śladu.

Kiedy Paul zjawił się na komendzie w Cuzco, zastał Roxanę skuloną na kanapie, z głową schowaną między kolanami.

Delikatnie jej dotknął, a mała gwałtownie podskoczyła, po czym przestraszona podniosła wzrok.

Zobaczywszy, że to Paul, rzuciła mu się na szyję.

On przytulił ją do siebie tak mocno, jak jeszcze nigdy nikogo.

A potem się rozplakał.

- Już nigdy cię nie zawiodę - powiedział.

- Przrzekam.

Naprosbę komendanta Paul zabrał wszystkie cztery dziewczynki do El Girasol.

Chłopcy przywitali je na dziedzińcu okrzykami radości.

Pablo na migi powiedział Roxanie, że bardzo za nią tęsknił.

Roxana odpowiedziała mu tym samym.

Tej nocy Paul na kolanach dziękował Bogu, że oszczędził życie tej małej dziewczynki.

Raz po raz powtarzał złożoną Roxanie obietnicę: "Już nigdy jej nie zawiodę".

Później położył się do łóżka.

Kiedy leżał, wpatrując się w ciemność, panika i szaleństwo ostatnich trzydziestu godzin zaczęły stopniać.

niowo ustępować, uwalniając umysł i pozostawiając w nim miejsce na refleksję.
Dopiero wtedy pozwolił sobie na to, by się zadrećczać myślami o Christine.

ROZDZIAŁ Czterdziesty pierwszy:

'Nadeszło kolejne Boże Narodzenie.

To, co tak wielu ludziom przynosi radość, dla mnie jest tylko źródłem cierpienia.

A jednak staram się ukrywać swoje uczucia przed dziećmi.

Nikt nie ma prawa pozbawiać ich dzieciństwa.

Z PAMIĘTNIKA PAULA COOKA

PIERWSZY DZIEŃ ŚWIĄT

Paul siedział w fotelu, popijając kakao i wpatrując się w sznury kolorowych lampek zawieszonych na doniczkowej palmie, która służyła im za choinkę. Z odtwarzacza trzecią z rzędu leciała płyta The Christmas Classic Collection - Roxana siedziała przy nim i przykładała rączki do głośników. Najbardziej upodobała sobie piosenkę Holly Jolly Christmas

Burla Ivesa - widocznie odbierała z niej jakieś szczególne wibracje.

Grudniowa grupa wolontariuszy okazała się bardzo hojna.

Wszystkie dzieci dostały w prezencie nowe ubrania i zabawki.

Paul pojechał do Cuzco i kupił lalki dla trzech nowych dziewczynek, które teraz bawiły się w swoim pokoju na górze.

Roxana wołała bawić się sama.

Chłopcy wyszli na dwór wypróbować nową piłkę.

Ich okrzyki odbijały się echem po całym dziedzińcu.

Paul nie wiedział tylko, gdzie jest Jaime, ale przypuszczał, że udał się na sjętę.

Chciał, żeby ten dzień jak najszybciej się skończył.

Odstawił kubek, powtórzył z przekąsem słowa piosenki, pokręcił głową i westchnął.

Podszedł do Roxany, dotknął jej ramienia i przekazał na mię, że idzie do siebie.

Potem pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Wesołych świąt, moje dziecko.

Szedł obrzeżami dziedzińca, żeby nie przeszkadzać chłopcom w grze.

- Hej!

- zawołał Pablo.

- Zagra pan z nami?

318

- Nie, dzięki.

Znudziło mi się to ciągle przegrywanie.

Pablo wystawił w górę ręce

- Są święta, damy panu wygrać.

Paul się uśmiechnął.

- Może później.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Usiadł na łóżku i spojrzał na zdjęcie rodziców.

To jeszcze pogłębiło jego melancholię.

Rano, jak co roku o tej porze, zadzwonił do domu.

Tak jak przypuszczał, stan jego matki jeszcze się pogorszył i choć ojciec nie powiedział mu tego wprost, czuł, że bardzo go tam potrzebują.

Obok fotografii rodziców wisiało zdjęcie Christine, zrobione w dniu, kiedy po raz pierwszy się rozstali.

Stała na nim cudownie uśmiechnięta, z kwiatem słonecznika przytwarzy

Paula ogarnęła bolesna tęsknota.

Zastanawiał się, co go właściwie opętało, żeby tutaj powiesić to zdjęcie.

Pewniecoś między nostalgią a masochizmem.

Jeżeli to ogóle jakaś różnica.

Jaime sprezentował mu na gwiazdkę książkę: thriller polityczny.

Paul padł na łóżko i zabrał się do czytania, ciesząc się, że choć na chwilę oderwie się od rzeczywistości.

Właśnie zaczynał się zagłębiać w fabułę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę- powiedział, nawet nie starając się ukryć swej irytacji.

Drzwi się uchylły i ukazała się w nich głowa Pabla.

- Cześć.

- Powiedziałem, że nie mam ochoty grać.

- Ale ja nie po to.

Mam dla pana niespodziankę.

Paul spojrzał w stronę chłopca, niespecjalnie zainteresowany.

- Jaką?

- Chwila, zaraz wracam.

- Pablo zamknął za sobą drzwi.

Paul pokręcił głową i wrócił do czytania.

Nagle drzwi znów się otworzyły, więc leniwie podniósł głowę.

319.

W progu stała Christine.

-Wesołych świąt.

Zerwał się i usiadł na łóżku, przecierając oczy ze zdumienia.

Wyglądała piękniej niżkiedykolwiek.

Miała nasobie cienką letnią sukienkę bez rękawów.

Włosy spływały jej na nagie

ramiona, delikatnie okalając twarz, a oczy aż lśniły z podniecenia.

- Mogę?

- Proszę.

Weszła do środka i podeszła do niego.

Zerknęła na swoje zdjęcie na ścianie i uśmiechnęła się.

Potem spojrzała Paulowi w oczy

- Słyszałam, co się przydarzyło Roxanie.

Musieliście tu przeżywać straszne chwile.

Uratowałeś jej życie.

No, ale ty przecież jesteś w tym specjalistą.

Paul nie był w stanie nic powiedzieć.

Patrzył na nią; przez

głowę przelatywały mu setki pytań, lecz na żadne nie mógł się zdecydować.

- Przypuszczam, że się zastanawiasz, co ja tutaj robię.

- Przemknęło mi przez myśl i to pytanie.

- Powinam teraz spędzać święta z narzeczoną, prawda?

- Uniosła dłoń.

Na palcu miała jego obrączkę.

- A co z Martinem?

- Martin.

- Westchnęła głęboko.

- Rzecz w tym, że z pozoru Martin wydawał się bezpieczną inwestycją:

porządna rodzina, dobra praca.

Wszystko, co uważałam za ważne.

Ale prawda jest taka, że każdy związek jest podróżą, a podróż bez ryzyka nie istnieje.

A więc najlepsze, co możemy zrobić, to znaleźć sobie towarzysza, z którym chciałoby się ja odbyć.

- Nawet jeśli ta podróż prowadzi przez Peru?

- Nawet wtedy

- Jesteś na to gotowa?

- Teraz wiem, że tak.

- Skąd masz pewność?

320

- Ponieważ pewien mądry człowiek powiedział mi kiedyś bardzo ważną rzecz.

Paul wpatrywał się w nią oczami wilgotnymi ze wzruszenia.

- Co takiego?

- Miłość jest silniejsza od bólu.

Podszedł do niej, a ona rzuciła mu się w ramiona.

Złączyli się w pocałunku, a ich radość była tak wielka, że wypełniła całą pustkę, którą Paul odczuwał przez ostatnie dwutygodnie.

Ogarnęli ich szczęście, jakiego sobie nawet nie wyobrażali.

- Wesołych świąt, kochany - powiedziała Christine.

- Wesołych świąt - odparł Paul.

Po raz pierwszy od ponad pięciu lat mówił to szczerze.

EPILOG

W życiu, jak w powieści, wszystko zatacza koło.

ZPAMIĘTNIKA PAULA COOKA

W.

Jessica w końcu miała okazję włożyć suknię pierwszej drużyny.
Wesele Paula i Christine odbyło się w marcu następnego roku w domu rodziców Paula.
W ciągu sześciu miesięcy udało im się załatwić wszelkie formalności związane z adopcją Roxany i Pabla, których zabrali ze sobą do Stanów.
Zamieszkali w domu w Oakwood, na przedmieściach Dayton.
Matka Paula zmarła wkrótce później, w lipcu.
Był przy niej w ostatnich chwilach.

Skontaktowałem się z Christine następnego dnia po powrocie z Peru.
Ucieszyła się powiedziała, że Paul wspominał, że mogę dzwonić.
W rozmowie była czarująca, pewna siebie, i to był dla mnie dowód, jak dusza potrafi rozkwitnąć pod wpływem miłości i zaufania.

Zacząłem już spisywać ich historię i trochę dziwnie się czułem - jakbym rozmawiał z postacią wyjętą z powieści.
Zastąpiłem ją pewnej soboty pod telefonem komórkowym.
Była akurat w parku w Dayton i kibicowała Pablowi w meczu piłki nożnej.
Uśmiechnąłem się do siebie: Christine jak typowa amerykańska matka i Pablo, który bardziej martwi się swój następny mecz niż o następny posiłek.
Było tak, jakby powinno: każde dziecko zasługuje na to, aby mieć dzieciństwo.

Roxana przebywała w tym dniu u matki Christine, jak się dowiedziałem, zachwyconej rolą babci.

W parku spotkałem również Jessicę.
Zamieniłem z nią kilka słów i przekonałem się, że jest w każdym calu tak żywo, jak ją opisywał Paul.
A nawet bardziej.

324

Szybko wywnioskowałem, że jej związek z Jimem nie przetrwał próby czasu, ponieważ zapytała mnie, czy jestem żonaty. Kiedy odpowiedziałem, że tak, i to w dodatku szczęśliwie, spytała, czy nie znam jakichś bogatych pisarzy, którzy byliby zainteresowani znalezieniem sobie atrakcyjnej żony. Oboje się roześmieliśmy, choć podejrzewam, że ona przynajmniej po części mówiła poważnie.

Na koniec zasugerowała, że gdyby moja powieść kiedykolwiek miała zostać zekranizowana, jej rolę powinna zagrać Kate Hudson.

Zapewniłem ją, że w razie czego przekażę tę uwagę komu trzeba.

Przez następne pół roku rozmawiałem z Christine wielokrotnie.
Podczas jednej z takich rozmów spytałem ją, czy uważa, że dokonała właściwego wyboru.

- O, tak - odpowiedziała.

Mógłbym przysiąc, że słyszę, jak uśmiecha się po drugiej stronie słuchawki.
Wyglądało, że Jim miał rację: "Jeśli miłość jest prawdziwa, sprawi same się układają".

Jaime został dyrektorem El Girasol.

Paul co dwa miesiące wyjeżdża do Peru, prowadząc ekspedycje i jeżdżąc do dżungli razem z innymi lekarzami, którzy przebywają tam na misjach humanitarnych.
Większość czasu spędza jednak w Stanach, gdzie założył fundację, która ma pomagać

dzieciom.

W akcję włączył się kilka szpitali w Ohio do tej pory pomogli już ponad pięciu tysiącom dzieci, oferując opiekę medyczną, odzież i nadzieję.

Dzięki wsparciu ojca Jessiki, Paulowi udało się również zorganizować skuteczny lobbing w Kongresie, żeby położyć kres turystyce seksualnej amerykańskich pedofilów.

Zawsze w trakcie naszych rozmów Paul starał się bagatelizować swoje osiągnięcia.

Myślę, że kiedy spojrzymy szeroko na ten problem, możemy dyskutować, czy nie przypomina to opróżniania oceanu napastkami.

Być może.

Na świecie ponad sto milionów dzieci żyje na ulicach - czym jest te parę tysięcy, którym tu i ówdzie pomożemy?

Ale z drugiej strony,

325.

zadajmy sobie pytanie: czy to jest powód, żeby nie próbować?

Znam kilkoro dziewczyńi chłopców, którzy sądzą inaczej -to są te dzieci, które odnalazły nadzieję i nowe życie w pewnej zrujnowanej hacjendzie o nazwie Słonecznik.

OAUTORZE

Richard Paul Evans jest autorem dziewięciu powieści, które trafiły na pierwsze miejsca listy bestsellerów "New York Timesa", a także pięciu książek dla dzieci.

Za te ostatnie otrzymał American Mothers' Book Award (nagrodę książkową przyznawaną przez amerykańskie matki).

Dwukrotnie zajął też pierwsze miejsce w dorocznym plebiscycie Storytelling World Award (międzynarodowa nagroda dla autorów bajek dla dzieci).

Jego utwory przetłumaczono na osiemnaście języków, a ukazały się w ponad trzynastu milionach egzemplarzy.

Evans jest także założycielem organizacji Christmas Box House International, której celem jest pomoc dzieciom zaniebawianym i będącym ofiarami przemocy.

W budowanych przez tę fundację ośrodkach znalazło dotąd schronienie ponad trzysta tysięcy z nich.

Ponadto za swą działalność humanitarną Evans został uhonorowany tytułem Humanitarian of the Century (Dobroczynca Stulecia), przyznawanym przez dziennik "The Washington Times", a także nagrodą "Volunteers of America National Empathy Award" (przyznawaną przez organizację amerykańskich wolontariuszy).

Mieszka w Salt Lake City wraz z żoną i pięciorgiem dzieci.

- Richard Paul T.

YanfmiffiffifwKeri i pięciorgiem i.

i w Salt I.

akc Citywstanie Utah.

W 11) iku w prezencie dlaswych córek napisał ; podnoszących na, duchu, ciepłych opowiadań, które stworzyły bazę do powstania powieści The Christmas Box.

Dzięki niej Evans stał się pisarzem numerem j-\wi na liście "New York Timesa".

Prawie każda z jego kolejnych książek (wśród nich: The Last Promise, A Perfect Day

i Timepiece} została bestsellerem, przetłumaczonym na więcej niż

siedemnaście języków i doczekała się adaptacji telewizyjnej.

Jest zdobywcą wielunagród.

